M.B. im. L. W. w Łodzi

- Polityczny portret Lecha Wałęsy str. 2
- Polemika na temat Józefa Piłsudskiego str. 13
- Kto kieruje mafią? str. 4
- Przyczyny konfliktu w Bełchatowie str. 7
- Błazen Józefa Stalina str. 5
- Zapiski oficera Armii Czerwonej str. 16

OPOLE: — 18 lutego 1990 roku odbyły się wybory czy plebiscyt?

Połączył ich ten sam los

MARZENA MRÓZ

Kto wygra wybory uzupełniające do Senatu na Opolszczyźnie? Kandydatka Komitetu Obywatelskiego **Dorota Simonides**, czy niezależny kandydat (w rzeczywistości reprezentujący mniejszość niemiecką) — **Henryk Król?**

Pierwsza tura wyborów nie rozstrzygnęła tego problemu. Prof. **Dorota Simonides** otrzymała 35,6 proc. ogółu głosów, na **Henryka Króla** głosowało 39,9 proc. Pozostali dwaj kandydaci: Józef Pitrzykowski (WPZZ) — 15,8 proc. głosów i Jerzy Bobrowski (prywatna inicjatywa) — 8 proc. głosów, właściwie od samego początku nie liczyli się.

Druga runda wyborów przewidziana na niedzielę 18 lutego 1990 r. ma ostatecznie zadecydować, kto zasiądzie w fotelu senatorskim po zmarłym Edmundzie Osmańczyku.

Kampania wyborcza trwa. Miasta w województwie opolskim oblepione są plakatami prof. **Doroty Simonides**, w okolicznych wsiach dominują hasła **Henryka Króla**. Przeciętny obserwator nie znający skomplikowanych realiów społecznych Opolszczyzny nadziwić się nie może zarówno programom kandydatów na senatorów, jak i zainteresowaniom wyborców. Zaskakuje przede wszystkim fakt, iż tezy programów prof. Doroty Simonides i Henryka Króla są bardzo do siebie podobne. Opowiadają się za bardzo zbliżonym modelem gospodarki, obiecują walkę o ochronę środowiska naturalnego, oboje również deklarują się być pierwszymi prawdziwymi przedstawicielami Ślązaków w Senacie. Walka trwa. Tym zacieklejsza i ciekawsza, że nie

6

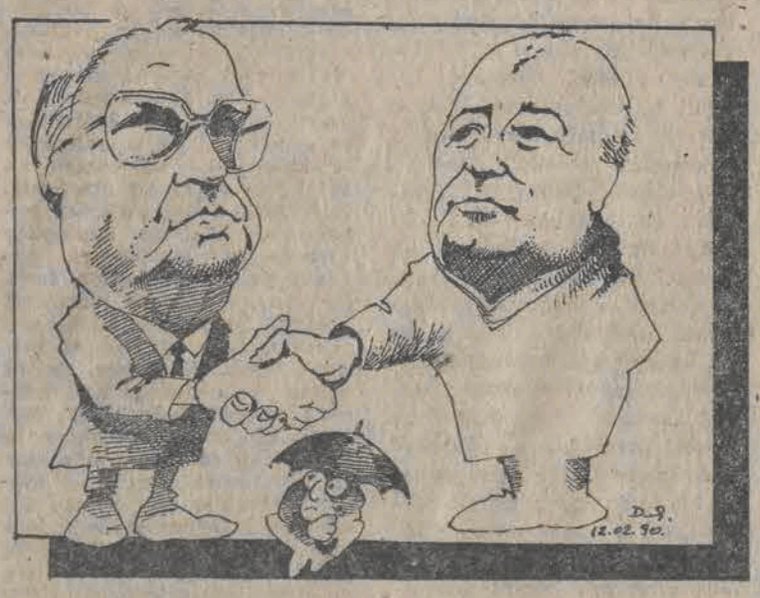

Rys. Dariusz Romanowicz

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NR 8 (1665) ROK XXXIII 25 LUTEGO 1990 ROKU CENA 1000 ZŁ

Jak żyją artyści w Kanadzie?

Nie sprzedaję hamburgerów

Rozmowa z JANEM NOWINĄ ZARZYCKIM, polskim reżyserem, który od 1983 roku mieszka na stałe w Kanadzie.

— Twoje początki były dość nietypowe w zawodzie reżysera. Jak się to wszystko zaczęło?

— Jeszcze w szkole średniej zacząłem robić krótkie filmy amatorskie. Potem studiowałem pedagogikę na UŁ, pracowałem jako asystent przy filmach fabularnych dla dzieci robionych przez Wytwórnię Filmów Oświatowych w Łodzi. Po skończeniu studiów zostałem na uczelni i pracowałem przez dwa lata.

— Nie próbowałeś zdawać na reżyserię?

— Próbowałem i zdałem wszystkie egzaminy oprócz politycznego, to był rok 1976. Ale nie przejąłem się tym zbyt mocno. Kilka tygodni wcześniej podjąłem pracę jako asystent Grzegorza Królikiewicza przy realizowanym przez niego widowisku „3 Maj".

— Jak to się stało?

— Od znajomej dostałem numer telefonu. Postanowiłem zaryzykować i zadzwoniłem. Umówiliśmy się na spotkanie. Rozmawialiśmy, pamiętam, parę godzin i potem on zaproponował mi, że mogę jechać z nim do Warszawy i być asystentem właśnie przy widowisku „3 Maj". Oczywiście chciałem, ale przecież ciągle pracowałem na uczelni, musiałem więc rzucić tę pracę i zrobiłem to. Pracowałem z nim przez parę lat, przy wszystkich widowiskach, które wtedy robił...

— Na uczelnię filmową już więcej nie zdawałeś?

— Próbowałem jeszcze raz, ale właściwie wiedziałem, że to nie ma większego sensu. W trakcie mojej pracy poznałem wielu studentów i zobaczyłem, że w gruncie rzeczy ja wiem więcej. Chodziłem jako wolny słuchacz na niektóre zajęcia. Historii sztuki mogłem się przecież nauczyć sam.

— Czy w trakcie pracy z Grzegorzem Królikiewiczem robiłeś własne filmy?

— Tak, udało mi się zrobić kilka filmów dokumentalnych dla telewizji. Między innymi eksperymentalny film pt. „Rozmowa". I jeszcze inny — „Nazwisko", ten film trwał około 25 minut i opowiadał o historii jednej rodziny. Pracowaliśmy wtedy przy widowisku Królikiewicza, w którym miały być przedstawione stosunki polsko-niemieckie na przestrzeni 700 lat. Jedną z głównych ról grał Andrzej Wojaczek, brat poety Rafała. Losy ich rodziny były świetną ilustracją tego problemu. Rodzina Wojaczków pochodziła bowiem ze Śląska i, jak to często na tym terenie bywało, została podzielona. Ojciec Andrzeja i Rafała jako młody chłopak walczył w Powstaniu Śląskim, a jego starszy brat został lekarzem wojskowym, ale przy armii niemieckiej. Potem w okresie międzywojennym ojciec Rafała był nauczycielem języka polskiego w jedynym polskim gimnazjum w Bytomiu, brat w dalszym ciągu lekarzem w armii. W 1939 roku, kiedy wkroczyli Niemcy, nauczyciel języka polskiego został wywieziony do Dachau. Brat jednak, który musiał mieć już wtedy dość znaczące wpływy, wyciągnął go stamtąd. W całej historii nie zmieniło się tylko nazwisko, pisane ciągle tak samo. I ja to wszystko pokazałem przez pryzmat aktora Andrzeja, który przygotowuje się do roli i zarazem odkrywa własną przeszłość. Potem, w latach 1980—81 rozluźniły się bardzo moje kontakty z telewizją. Dostałem wtedy szereg zleceń na zrobienie filmów oświatowych, co muszę przyznać było rzeczą rzeczywiście dla mnie bardzo zdrowotną, ponieważ pozwoliło mi się oderwać od problemów, które dotknęły mocno środowisko filmowe. I taki stan trwał aż do roku 1983.

— Wtedy wyjechałeś z kraju.

— Tak, w Kanadzie był organizowany Światowy Kongres Zdrowia i zostałem zaproszony z moimi filmami do wzięcia w owym kongresie udziału. Cały wyjazd musiałem finansować sam. Jechałem trochę z myślą, by odwiedzić mojego ciotecznego brata w USA. Ale tak się zło-

8

LONDYN: — Kto ponosi winę za deportację Chorwatów, Kozaków i Serbów z Karyntii w 1945 roku?

Półtora miliona funtów za zniesławienie

MAREK BRZEZIŃSKI

Rys. Dariusz Romanowicz

Nad Tamizą dzieje się sporo. Afera szpiegowska pięknej Hinduski, świadczącej usługi towarzyskie panom od pułkownika Kadafiego oraz od pani Margaret Thatcher. Afera „czwórki z Guilford" — po kilkunastu latach „odsiadki" wypuszczono na wolność czworo niewinnych ludzi, których niegdyś oskarżono o podłożenie bomby pod pub w Guilford i spowodowanie tym samym śmierci niewinnych ludzi. Podejrzewa się o nadużycia inspektorów śledczych, ale sędziowie mówią, iż w tym wieku nie będzie można zajrzeć do akt sprawy „czwórki z Guilford", aby poznać prawdę. Na światło dzienne wyszła sprawa nielegalnego handlu nerkami. Turków ściągano do Wielkiej Brytanii, gdzie za kilka tysięcy funtów wycinano im zdrową nerkę, po czym odsprzedawano z dużym zyskiem. Wydano wyrok w sprawie Lorda Aldingtona, który wytoczył proces historykowi — hrabiemu Nikołajowi Tołstojowi oraz niejakiemu Nigielowi Wattsowi, iż dopuścili się oni oszczerstwa oskarżając Lorda Aldingtona o wydanie na pewną śmierć Kozaków, Serbów i Chorwatów.

Rzecz miała miejsce w 1945 roku.

W czasie przewodu sądowego zadano ponad 20 tysięcy pytań. Wypowiedziano ponad milion słów, zapisano 37 tomów i przedstawiono 1000 dodatkowych dokumentów. W trakcie przewodu przeprowadzono dokładną weryfikację ławników z ławy przysięgłej, aby zadać kłam zarzutom jakoby większość z nich rekrutowała się spośród bezrobotnych.

Sędzia Michael Davies utrzymywał w czasie procesu, że przed sądem postawiono nie honor Wielkiej Brytanii, Anglii ani armii, ale sprawa dotyczy osób prywatnych.

— *Chociaż jest to szósty czy siódmy proces tego typu w mojej karierze* — powiedział sędzia Michael Davies — *jest to również najbardziej niezwykły proces w ciągu ostatnich 45 lat, [illegible] musimy się mocno nagimnastykować, aby wcielić się w [illegible]ę tych ludzi, którzy brali udział wtedy, w 1945 roku, we wspomnianych wydarzeniach.*

Obaj oskarżeni, Nigiel Watts i hrabia Nikołaj Tołstoj przyznali, iż praca którą opublikowali znacznie zniekształca rolę Lorda Aldingtona. Opisali go jako gentlemana w każdym calu, do tego odznaczonego wysokimi orderami brytyjskimi, mianowanego brygadierem w wieku 30 lat.

— *Oskarżając takiego człowieka* — oznajmił sędzia Michael Davies — *należy dysponować niezbitymi dowodami.*

Mr. Nigiel Watts mógł, o czym wspomniał sędzia, popaść w obsesję zadania ostatecznego ciosu Lordowi Aldingtonowi, gdyż ten stojąc na czele towarzystwa ubezpieczeniowego „Sun Alliance", odmówił Mr. Wattsowi wypłacenia należnych mu tytułem odszkodowań sum pieniędzy. Nie było również tajemnicą, że to „Sun Alliance" pokrywała w pewnym stopniu koszty procesu wytoczonego przez Lorda Aldingtona. Jednocześnie sędzia Michael Davies dobitnie podkreślił osiągnięcia hrabiego Nikołaja Tołstoja jako poważnego historyka i naukowca.

— *Czy hrabiego Tołstoja ogarnęła obsesja i to do takiego stopnia, iż wpłynęła ona na rzetelność jego opinii i osądu?* — zapytał siebie i ławników sędzia Michael Davies — *Zdarzają się przecież przypadki, iż ktoś ogarnięty jest obsesją pomimo, iż kierowany jest najbardziej uczciwymi pobudkami i szlachetnymi motywacjami.*

Występując przed trybunałem Sądu Najwyższego, hrabia Nikołaj Tołstoj stwierdził, że władze brytyjskie celowo ukrywały przymusową repatriację 70 tysięcy

11

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36 52 44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36 80 99,
publicyści: 36 77 70, 32 89 70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Konrad Frejdlich, Jacek Indelak, Eugeniusz Iwanicki, Marek Koprowski, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Bogumił A. Makowski, Paweł Tomaszewski,
Graficy: Dariusz Romanowicz, Janusz Szymański-Glanc,
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński,
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk,
Stale współpracują: Marek Brzeziński, (Paryż — Londyn), Anna Gronczewska, Andrzej Grun, Janusz Janyst, Marek Juśkiewicz, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Włodzimierz Krzemiński, Monika Matuszak, Zenon J. Michalski, Marzena Mróz, Adam Ochocki, Henryk Pustkowski.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 32 59 11.

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz**, tel. 36 80 99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty w 1990 roku: 1) Z możliwości prenumerowania mogą korzystać mieszkańcy wsi, osiedli oraz miasteczek w których nie ma Oddziałów RSW, a także osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania. 2) Natomiast nie mają możliwości prenumerowania mieszkańcy miast.

Wpłaty na prenumeratę przyjmują: 1) Oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora. odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumerator w wyznaczonych punktach sprzedaży lub w inny uzgodniony sposób. 2) Urzędy pocztowe i listonosze — od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości, w których nie ma oddziałów RSW a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych.

Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne. Należność za przyjętą prenumeratę pocztową obejmuje cenę tygodnika oraz opłatę za doręczenie. Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc. wyższa w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą — koszt dostawy lotniczej w pełni pokrywa prenumerator.

B-10

Przegląd prasy

Szkic do portretu Lecha Wałęsy przedstawił w „TYGODNIKU SOLIDARNOŚĆ" (nr 6) Piotr Wierzbicki. W artykule zatytułowanym „Gdański sfinks" autor próbuje rozstrzygnąć następujące dylematy: symbol czy strateg, nieobliczalny czy nieprzewidywalny, ugodowiec czy lis, prosty człowiek czy człowiek po prostu, marionetka czy tyran, kapryśnik czy komputer, kameleon czy pragmatyk, związkowiec czy biznesmen?

Piotr Wierzbicki twierdzi, że zwyczaj wywyższania dyplomu i inteligenckości przeszkadza nam w poznaniu Lecha Wałęsy jako męża stanu. Polacy widzą problem w tym, że na wysokim stanowisku publicznym jest człowiek bez odpowiedniego wykształcenia, posługujący się robotniczym słownictwem. Niektórzy podejrzewają, że Wałęsą sterują eksperci.

„W amerykańskich głowach taki dylemat byłby teoretycznie niemożliwy: tam, odwrotnie, jajogłowy inteligent jest na cenzurowanym, swój zaś chłop robi gigantyczną karierę. Amerykanin by w ogóle nie zrozumiał, że tu w Polsce ktoś może mieć problem z tym, iż Wałęsa nie skończył uniwersytetu. Może właśnie dlatego Amerykanie poznali się na Wałęsie wcześniej niż Polacy i już dobrych kilka lat temu zaliczali go do paru czołowych osobistości współczesnego świata. W Australii premier, żeby się przypodobać ludności, posuwa się do tego, że specjalnie zaciąga robotniczym, plebejskim akcentem.

Po Polsce krążą legendy, że Wałęsa studiuje na KUL, że zrobił zaocznie magisterium, że wertuje jakieś tomy książek. Polak chciałby koniecznie, by Wałęsa coś czytał i studiował. Nic z tego, Wałęsa pozostał, jaki był, nie studiuje, nie wertuje książek ani gazet. Obcował dziesięć lat z intelektualistami, ale nie popełnił tego fatalnego błędu: nie zmienił się z wybitnego robotnika w tuzinkowego półinteligenta".

Piotr Wierzbicki stanowczo odrzuca mit, że Wałęsa jest tylko symbolem i marionetką inteligenckich doradców. Zapewnia czytelników, że przewodniczący „Solidarności" działa sam i na pewno nikt nim nie steruje. Lech Wałęsa jest nawet skrajnie niepodatny na wpływy. Jego otoczenie często nie ma pojęcia, co zrobi „przebiegły gdański sfinks" udający poczciwego elektryka. Wałęsa przewyższa wszystkich.

„Każdy, kto choć cokolwiek wie o Wałęsie z dobrych, wiarygodnych źródeł, rozumie, iż gdyby nawet pominąć ów fakt w tej sprawie zasadniczy, że Wałęsa przerasta swych znakomitych skądinąd doradców po prostu politycznym talentem, że szybciej od nich myśli, chytrzej wybiega w przyszłość i sprawniej podejmuje decyzje... każdy, powiadam, kto ma pojęcie o Wałęsie, wie, że Wałęsa nie może być kręcony przez doradców z powodu jednej tylko cechy swego charakteru: jest nieufny, nieufny totalnie i skrajnie. Słucha wszystkich. Nie wierzy nikomu. Odwrotnie: gdy do niego przyjdziesz z dobrą radą, on cię najpierw prześwidruje podejrzeniem, że przyszedłeś, by go w coś wmanewrować, że coś knujesz. O, Wałęsa nie jest poczciwiną. Ma potężny instynkt samozachowawczy, skierowany ku politycznemu posiadaniu. Jego żywiołem jest polityka. A polityka to świat mroczny, bezwzględny, okrutny. Polityczna dusza Wałęsy jest mroczna, skryta, chytra i do tego potwornie podejrzliwa."

Piotr Wierzbicki częściowo zgadza się z opinią, że Lech Wałęsa łatwo zmienia poglądy. W różnych miejscach mówi czasem sprzeczne rzeczy. Może więc komuś wydawać się kameleonem. Ale faktycznie jest stuprocentowym pragmatykiem. Prowadząc nieprzeniknioną, lisią grę, często wypowiada się tak, żeby ukryć, a nie ujawniać swe poglądy.

„Wykazując nieprawdopodobny refleks w czasie wywiadów i konferencji prasowych, z dziecinną łatwością w paru słowach potrafi wybrnąć z najbardziej niewygodnej sytuacji. Jak chce, umie wyrażać się ze zdumiewającą wprost jasnością i prostotą, ująć istotę zjawiska świetną literacką metaforą. Ale jak chce, wyraża się wieloznacznie, kręci, kluczy i gada naraz na dwie strony. Urban złościł się zawsze, że rząd nie wie, co myśleć o Wałęsie, bo on za każdym razem mówi co innego. Urban złościł się nie bez powodu. Wałęsa wywija się jak piskorz, nie pozwala się złapać za słowo, zwodzi."

URBAN O WAŁĘSIE

Jerzy Urban przyznaje dziś, że błędnie oceniał szanse Wałęsy. Na podstawie badań opinii publicznej sądził, że jest to postać symboliczna dla 1980 roku, która nie odegra już żadnej roli. Nagły wzrost popularności Wałęsy nastąpił dopiero po wiosennych strajkach 1988 roku.

Jak obecnie ocenia przywódcę „Solidarności" były rzecznik prasowy trzech rządów: Wojciecha Jaruzelskiego, Zbigniewa Messnera i Mieczysława Rakowskiego? W wywiadzie udzielonym Januszowi Michalakowi z tygodnika „WPROST" (nr 6) mówi:

„Nie zmieniłem mego stosunku do Wałęsy. Nie uważam, by Wałęsa jako taki był postacią wielkiego kalibru. Uważam, że jego rola symboliczna nadal góruje nad realną. Moim zdaniem jest to przede wszystkim postać bardzo plastyczna, która może odegrać jeszcze bardzo różnorodną rolę, ponieważ nie ma osobowości, która by determinowała jego przyszłość polityczną. Przyszły Wałęsa może przybrać bardzo różne role: charyzmatycznego przywódcy o autokratycznym charakterze, który zastąpi w decydującym momencie rządzącą obecnie ekipę jako „zbawca kraju", może również — przeciwnie — stać się alternatywą wobec autokratycznych zapędów jakiegoś nowego polityka. W tej postaci bowiem zawsze kłóciły się nikłe skłonności do demokratyzmu z naturalną skłonnością do ugodowości. Są to po prostu dwie, nie całkiem do siebie przystające, cechy jego osobowości".

W okresie stanu wojennego telewizja, radio i prasa opublikowały „rozmowę Wałęsy z bratem", która miała odbyć się 29 września 1982 roku w Arłamowie. Podano wówczas, że Stanisław Wałęsa nagrał rozmowę, aby mieć decyzję brata w sprawach majątkowych, a potem milicja skonfiskowała kasetę. Indagowany w tej kwestii Jerzy Urban odpowiada:

„Ja do dziś nie wiem, jak było naprawdę, bo nie znam kuchni powstania tego nagrania. O ile jednak pamiętam, brat pana Wałęsy nigdy publicznie nie zaprzeczył, że nagrał tę rozmowę i wyniósł. W każdym razie nieprawdą jest, że ja byłem za tę emisję odpowiedzialny. Prawdą jest natomiast, że wraz z grupą ludzi z ówczesnych kręgów władzy słuchałem tego nagrania wcześniej i nie protestowałem".

ZDANIEM JERZEGO KROPIWNICKIEGO

Wychodząc z internowania w Arłamowie, 8 listopada 1982 roku, Lech Wałęsa wysłał list do gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Proponował w nim spotkanie i przedyskutowanie interesujących problemów. Wyrażał przekonanie, że przy dobrej woli znajdą rozwiązanie. Podpisał się następująco: **„Kapral Lech Wałęsa".**

Opublikowanie rozmowy z bratem i listu do Wojciecha Jaruzelskiego osłabiło autorytet Lecha Wałęsy. Natomiast odbudowały go później dwa wydarzenia: spotkanie w Stoczni Gdańskiej z ówczesnym wicepremierem Mieczysławem Rakowskim i przyznanie Pokojowej Nagrody Nobla. Tak twierdzi Jerzy Kropiwnicki w szóstym odcinku rozmowy z Markiem Zagajewskim, którą drukuje tygodnik „SPRAWY I LUDZIE" (nr 6).

„W opinii publicznej premier Rakowski prowadząc tamto spotkanie w sposób arogancki i agresywny właściwie przegrał z Wałęsą na punkty w sposób straszliwy i tym samym niesłychanie podbudował pozycję Wałęsy.

Jesienią 1983 roku przyznano Lechowi Wałęsie Pokojową Nagrodę Nobla. To była niesłychana sprawa. Właściwie te dwa fakty absolutnie bezspornie odbudowały przywódczą rolę Lecha Wałęsy. Zapomniano nawet o, łagodnie mówiąc, nie wszędzie jednoznacznie przyjętym podpisie pod listem Wałęsy do Jaruzelskiego w związku z wyjściem z internowania — kapral Wałęsa.

Ten podpis Lecha budził, niestety, szereg rozmaitych zastrzeżeń. Ludzie prości, których w Hrubieszowie nie brakowało, denerwowali się na tej zasadzie, że dla nich Wałęsa zawsze był „generałem" i jak on tu raptem mógł wystąpić jako „kapral". Co to w ogóle może znaczyć i jakim prawem?

Byli też wśród nas koledzy, którzy mieli bliższą styczność z Wałęsą i wiedzieli, jaki był on dumny z tego, że kiedyś Jaruzelski powiedział mu w bezpośredniej rozmowie: „Panie Wałęsa, znam pana kartę wojskową. Wiem, że był pan wzorowym żołnierzem, bardzo dobrym kapralem w swojej jednostce i ja to bardzo cenię". I wiadomo, że Wałęsa też sobie to bardzo cenił i dawał temu wyraz w kilkuosobowych gronach słuchaczy. To znana rzecz.

W rezultacie, te interpretacje wokół podpisu „kapral Wałęsa" były bardzo rozbieżne. Od poglądu, że to takie ironiczne, przewrotne, aż do opinii, że chodziło tu o odwoływanie się do tej nici łączności z generałem w tej sferze, w której Jaruzelski okazywał nieco ciepła w poprzednich kontaktach. Sprawa była niezwykle kontrowersyjna.

A tu naraz spór w stoczni i Pokojowa Nagroda Nobla spowodowały, że wszystko zostało zapomniane i darowane. Przestano się nawet zastanawiać nad nagraną rozmową braci Wałęsów w Arłamowie w „internacie". Czy był to fakt autentyczny, czy nie, w jakim stopniu zmanipulowany i co tam zostało zmontowane. Sprawa efektywnego kierowania działalnością podziemną związku stanęła w zupełnie innych kategoriach".

CHIMERYCZNA OPINIA PUBLICZNA

Jesienią 1985 roku grupa socjologów z Uniwersytetu Warszawskiego i Polskiej Akademii Nauk przeprowadziła badania pod nazwą „Opinie Polaków — Jesień '85". Pytano między innymi, które z wymienionych osób zasługują na zaufanie? I wówczas uzyskano następującą hierarchię: Józef Glemp — 86 proc., Wojciech Jaruzelski — 69 proc., Mieczysław Rakowski — 36 proc., Lech Wałęsa — 34 proc., Jerzy Urban — 27 proc., Alfred Miodowicz — 26 proc., Mikołaj Kozakiewicz — 21 proc., Albin Siwak — 16 proc., Zbigniew Bujak — 10 proc., Jacek Kuroń — 8 proc. Pozostali respondenci odpowiedzieli w każdym przypadku przecząco, nie mieli zdania bądź też nie znali tych osób.

Najnowszy sondaż popularności naszych polityków przeprowadził 22—23 stycznia 1990 roku Ośrodek Badania Opinii Publicznej przy Polskim Radiu i Telewizji. Podaję za „DZIENNIKIEM ŁÓDZKIM" (nr 31) procentowy układ sympatii zadeklarowanej pod adresem wybranych osób: Tadeusz Mazowiecki — 85 proc., Józef Glemp — 79 proc., Lech Wałęsa — 72 proc., Adam Michnik — 55 proc., Jacek Kuroń — 54 proc., Mikołaj Kozakiewicz — 49 proc., Andrzej Stelmachowski — 39 proc., Wojciech Jaruzelski — 32 proc., Leszek Miller — 14 proc., Alfred Miodowicz — 12 proc., Czesław Kiszczak — 11 proc., Mieczysław Rakowski — 9 proc.

W porównaniu z wynikami uzyskanymi w październiku 1989 roku najbardziej wzrosła popularność Adama Michnika — o 22 punkty i Jacka Kuronia — o 18 punktów.

WODZOWIE I MASY

Oglądając dziś stare kroniki, niektórzy dziwią się, że dużą popularnością cieszyli się przywódcy komunistyczni. Jak to było możliwe? W tygodniku „SPRAWY I LUDZIE" (nr 5) Krzysztof Dębek pisze w tej sprawie następująco:

„Od razu wyjaśnijmy, przede wszystkim młodemu pokoleniu: ci ludzie, którzy nie wstydzili się łez na wieść o śmierci Stalina — nie płakali na rozkaz UB. Miliony ludzi, nie tylko w Polsce, odbierały śmierć „Ojca narodów" jako osobistą żałobę, bez mała koniec świata; poeci nie pod przymusem pisali żałobne wiersze, kompozytorzy pisali żałobną muzykę. W tych zbitych tłumach, wyjących z uniesieniem „Sta-lin", „Bie-rut", „Wie-sław", „Gie-rek", „Par-tia", w tych twarzach, skierowanych ku prezydium, ku trybunie, w błyszczących ekstazą oczach — znajdziemy odpowiedź na pytanie, jak mogło do tego wszystkiego dojść. Można było zniewolić naród i mogła „ubecja" tak skutecznie działać przez lata — ponieważ nieboszczka PZPR miała za sobą nie tylko aparat bezpieczeństwa, wojsko, a w rezerwie interwencję sojuszników, ale również olbrzymie rzesze fanatyków i jeszcze liczniejszych zwolenników. Tak naprawdę, to dopiero od Radomia wiece przestały być tak całkowicie spontaniczne (jeszcze w 1968 roku robotnicy naprawdę uwierzyli, że należy przylać warchołom i przylali).

Trudno rozstrzygnąć, w jakim stopniu kolejni partyjni liderzy wierzyli w to, co głosili z trybun kolejnych zjazdów i kolejnych pokryzysowych manifestacji, ilu z nich wierzyło, a ilu cynicznie wykorzystywało społeczne zapotrzebowanie na głoszone przez nich hasła społecznej sprawiedliwości, równości, postępu. Istotniejsze jest to, że kolejni wodzowie (zwani przywódcami) zawsze mogli liczyć — jak to na przestrzeni dziejów bywało nie tylko w krótkiej historii PZPR — na społeczną gotowość podporządkowania swoich myśli i czynów proklamowanej odgórnie idei. Ta ludzka skłonność do szukania uosabiającego ideę autorytetu i emocjonalnego angażowania się — oto baza dla każdego tyrana, dla każdego systemu totalitarnego. Demokracja ma szansę dopiero wtedy, kiedy szans na kult nie ma żaden wódz. Tłum ekstatycznie wrzeszczący IMIĘ I PRAWDĘ — to początek końca. Nikt tłumu nie przekrzyczy, każdy będzie zdeptany".

Jeśli władzę zdobywa człowiek absolutnie przekonany, że odnalazł jedynie właściwą, całą prawdę — to można się spodziewać straszliwych skutków. Wiele złego w dziejach ludzkości narobili doktrynerzy kierujący się dobrą wolą. Ciekawy artykuł na ten temat opublikował niedawno w „TYGODNIKU POWSZECHNYM" (nr 4) Tadeusz Żychiewicz.

Na zakończenie warto przypomnieć słowa starego Żyda z eposu Stanisława Vincenza „Na wysokiej połoninie". Przestrzega on:

„Taki, co mówi, że ma sto procent racji, to paskudny gwałtownik, straszny rabuśnik, największy łajdak".

E. L.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— W 1989 roku LOT przywiózł z Trypolisu do Warszawy zwłoki ośmiu Polaków. Nikt nie powiedział, że człowiek wyjeżdżający za granicę w poszukiwaniu szczęścia i pracy, nie może nagle rozstać się z życiem, nigdzie bowiem nie sprzedają patentu na nieśmiertelność. W Libii można zarobić, ale praca jest ciężka. Sześć i pół tysiąca Polaków skoszarowanych w wielu campach rozsianych na terytorium ośmiokrotnie większym od Polski żyje dostatnio, mieszka wygodnie, nie ma kłopotów z zakupami, klimat sprzyja, kąpać i opalać można się okrągły rok, a mimo to wszystkich zżera nostalgia. Wszyscy mówią bez przerwy o kraju, tylko jednostki zdołały się w pełni zaadaptować, wreszcie wcześniej czy później zaczyna odstawać piąta klepka. Zrozpaczony gość poszedł w pustynię i znaleźli go po ośmiu dniach w odległości 30 kilometrów od campu — kości jego ogryzione przez psy. Inny gość, nie sprawiający bynajmniej wrażenia mężczyzny chorego czy cierpiącego, powiesił się nieoczekiwanie. Jeszcze inny, z którego pokpiwali koledzy, że on w Libii na pustyni, a żona rozrabia w Polsce z armią chłopaków, strzelił nożem rozbawionego żartownisia i poszedł siedzieć dożywotnio w libijskim więzieniu, bo o ekstradycji tutejsze władze nie chciały nawet słyszeć — owszem odesłano do Polski, ale nie tego, który zamordował, lecz tego, który został zabity. W takich wypadkach stosuje się potrójne zabezpieczenie: folia, trumna drewniana i na koniec trumna metalowa, którą ładuje się do bagażowni samolotu — reportaż ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO o dramatach naszych rodaków w Libii.

— We wnętrzu wzgórza pod Pałczewem, 14 km od Łodzi, wydrążono wielką dziurę. Wygląda jak obiekt strategiczny, bo jest nim w istocie: pilnowana przez strażników, otoczona wysokim, betonowym płotem. Upatrzono ją na miejsce wiecznego spoczynku setek tysięcy ton wielkomiejskich śmieci. O to miejsce trwa bój, toczony od kilkunastu lat. Od lat czterech konflikt wszedł w fazę głośną, na granicy użycia przemocy fizycznej. Jeśli przedłuży się jeszcze o kilka miesięcy, do jesieni — dojdzie do katastrofy ekologicznej w Łodzi, albo do ostrych zaburzeń społecznych w co najmniej dwóch wsiach gminy Brójce, które będą miały za sobą całą gminę, łącznie z władzami. Tak się dziś rysuje przerażająca alternatywa — reportaż ANDRZEJA GĘBAROWSKIEGO pt. „Awantura o Pałczew".

— Roman Romkowski, były wiceminister bezpieczeństwa publicznego, jeden z czołowych eksponentów stalinizmu w Polsce, pierwotnie nazywał się Natan Grünspan-Kikiel. Był synem robotnika w zakładzie rzeźnickim w Krakowie. Jako 13-letni chłopiec zapisał się w 1920 roku do Poale-Syjon-Lewicy, żydowskiej partii robotniczej, która wiązała sprawę społecznego wyzwolenia proletariatu żydowskiego z dążeniem do odbudowy jego narodowego państwa w Palestynie — pisze RYSZARD BADOWSKI.

— Do fałszywego obrazu naszych południowych sąsiadów paradoksalnie przyczyniła się popularna powieść Jarosława Haszka. Dzielny wojak Szwejk upowszechnił stereotyp Czecha, który swoje wie, ale zmuszony okolicznościami przybiera różne błazeńskie miny. Nasz ideał romantyczny wymagał jawnych ofiar, śmierci przy otwartej kurtynie. Zapomnieliśmy o ofierze Jana Husa, o bitwie pod Białą Górą, o operze Dubczeka i męczeństwie Jana Palacha. Vaclav Havel, walczący z otwartą przyłbicą, jest właśnie symbolem tyle razy deptanej czechosłowackiej godności — pisze KONRAD FREJDLICH.

Jak długo może trwać okres przejściowy od absurdalnej przeszłości do normalnej przyszłości?

W kolejce do nowoczesnego świata

RYSZARD NAKONIECZNY

Kilka miesięcy temu stanęliśmy w kolejce po przepustki do nowoczesnego świata. Jak na razie kolejka posuwa się wprawdzie w zupełnie przyzwoitym tempie, ciągle jednak stoimy jeszcze przed drzwiami i możemy jedynie wyobrażać sobie, co też czeka na nas w środku.

Niemal wszyscy wydają się wierzyć, że już całkiem niedługo czekają na nas pełne portfele, przy czym każdy uzdolniony i pracowity obywatel dostanie portfel jeszcze pełniejszy. Jeśli zaś idzie o samą zamianę stosu bezwartościowego papieru na stosy prawdziwych pieniędzy, zostanie to szybko załatwione przez bogatych biznesmenów z Zachodu. Ot, zapadniemy sobie na pół roku w drzemkę, co najwyżej z paroma koszmarami, i obudzimy się w doskonale zaopatrzonym sklepie i z odpowiednio wysokim kontem, aby móc wszystkie te cudowności zakupić...

A jak to wygląda w innych krajach?

Tych, które przed nami zdecydowały się wejść na drogę gospodarki rynkowej. Występuje tam taka sama struktura społeczna: niewielki sztab bogaczy, dywizja średniaków i całe armie borykających się z nędzą. Jest ona nie tylko typowa, ale i zadziwiająco trwała. Wynika to po prostu z podstawowej zasady opartego na prywatnej własności systemu rynkowego: pieniądz robi pieniądz; bogaci stają się jeszcze bogatsi, biedniejsi zaś dalej biednieją. Inaczej mówiąc: kto dziś — niezależnie od sposobu w jaki zdobył fundusze — może sobie pozwolić na szampana w hotelu „Ma[illegible] lot do Singapuru za czternaście i pół miliona, jutro najprawdopodobniej wybuduje własny hotel i kupi własny samolot, kto natomiast dziś przeżywa katusze decydując się na nabycie w antykwariacie (w księgarniach nieosiągalny) słownika angielsko-polskiego za trzysta dwadzieścia tysięcy, jutro pewnie w ogóle nie będzie mógł sobie pozwolić na książki, a może i gazety, nie mówiąc już o wykwintnych trunkach czy szybkich środkach lokomocji.

Wszystko to nie znaczy, naturalnie, że sytuacja obecna musi pozostać zupełnie nienaruszona. Przeciwnie, zmiany zapewne nastąpią i to niekiedy całkiem spektakularne: niektóre fortuny gwałtownie runą, a inne równie nagle się pojawią, pewna ilość średniaków osunie się w nędzę, zaś część nędzarzy z niej wydobędzie — może się nawet zdarzyć, że ktoś z samego dołu wydrapie się na szczyt, i odwrotnie. Będą to jednak raczej materiały dla sensacyjnych reportaży niż autentyczne przemiany, w przeciwnym wypadku zamiast systemu rynkowego mielibyśmy raj.

Wystarczy zacytować stary, amerykański dowcip:

— *Jak zostałeś milionerem?*

— *Ano, znalazłem jeden ziemniak, upiekłem go, sprzedałem i kupiłem dwa, upiekłem je, sprzedałem i kupiłem cztery, upiekłem je... i dostałem parę milionów spadku...*

W Boliwii,

o której — jako o jednym ze swoich największych sukcesów — opowiadał niedawno prof. Sachs, jest bardzo prawdopodobne, że budżet państwa został tam w miarę zrównoważony, a inflacja nieco się zmniejszyła. *„Bardzo prawdopodobne"*, ponieważ te na pewno istotne dla wielkiego świata osiągnięcia nie mają — jak dotąd — żadnego wpływu na życie przeciętnego mieszkańca kraju, poza tym, że zmuszają go do dalszego zaciskania pasa.

Sukcesy gospodarcze spowodowane zastrzykami obcego kapitału aplikowanymi konkretnym rodzimym firmom są wprawdzie na ogół znacznie bardziej widoczne, chociażby w postaci zwiększonej podaży towarów na rynek, ale i tu efekt bywa dość dwuznaczny. Po pierwsze dlatego — że olbrzymiej większości ludzi na kupno tych towarów po prostu nie stać, po drugie — ponieważ spora ich część (towarów, chociaż czasem i ludzi) przeznaczona jest na eksport, po trzecie zaś — gdyż reszta gospodarki — ta, która z różnych powodów zastrzyków nie otrzymała — więdnie w oczach, doprowadzając do faktycznej kolonizacji ekonomicznej kraju z jej wszystkimi, stosunkowo dobrze znanymi, konsekwencjami (m.in. niepowstrzymanie rosnący dług zagraniczny, uniemożliwiający jakiekolwiek ewentualne działania ratunkowe)... Ostre i dyskusyjne podziały społeczne, cwaniacy na szczycie drabiny, eksploracja przez obcych kapitalistów... nie wygląda to za wesoło. Czy w ogóle warto nadal stać w tej kolejce? Szkopuł polega na tym, że inne sklepy są już dawno zamknięte, rosną też kłopoty z otrzymywaniem pożądanych wiz... Na pocieszenie można co najwyżej przypomnieć, że kiedyś do lądu amerykańskiego przybili przecież też sami obcokrajowcy, i to o mentalności często gorszej niż u większości szefów naszych spółek, tymczasem nie minęło nawet kilkaset lat i stworzyli niedościgniony wzór dobrobytu...

Na naszych oczach kształtuje się nie tylko nowy rodzaj gospodarki, ale i człowieka.

Jedno bez drugiego nie mogłoby zresztą efektywnie funkcjonować. Ten nowy człowiek natomiast, tzw. homo oeconomicus, to osobnik, który we wszystkich swoich przedsięwzięciach — także dotyczących kwestii duchowych — kieruje się wyłącznie zasadą opłacalności; opłaca się — robię, nie opłaca się — nie robię. Kultura natomiast często się nie opłaca. Tak jest; po prostu elementy naszego układu psychicznego odpowiedzialne za *„ciało"* są filogenetycznie starsze — i tym samym silniejsze — od tych, które zawiadują *„duchem"*. Co prawda starano się dotąd, z większym lub mniejszym skutkiem, temperować nasze zapędy materialne, uparcie wmawiając nam, na przykład, że wiedza, wrażliwość, praca dla wspólnego dobra, itd. są czymś znacznie cenniejszym niż pieniądze i to, co można za nie nabyć. Niekiedy dochodziło nawet do takich zwyrodnień jak uznawanie posiadania pieniędzy za coś wstydliwego, jeżeli wręcz nie przestępstwo. Postanowiono wreszcie usankcjonować naturalne ludzkie popędy, a wszystkie skomplikowane wygibasy ideologiczne sprowadzić do jednego magicznego słowa: rynek! Teraz, zamiast dzielić włos na czworo, wystarczy zaglądnąć do kasy: są pieniądze — znaczy towar dobry, pieniędzy nie ma — knot, przy czym kryterium to jest uniwersalne i podlegają mu zarówno kalesony jak i zasady etyczne noszącego je obywatela; *„pustemu workowi trudno stać prosto"* — ujął to lapidarnie już Beniamin Franklin.

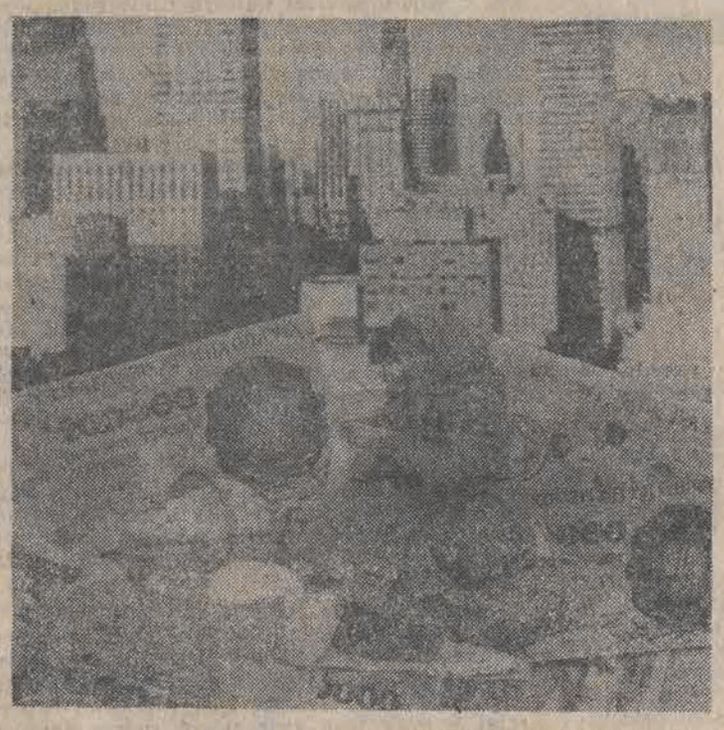

Collage: Grzegorz Gałasiński

Ku szeroko pojętej kulturze olbrzymia większość ludzi — zresztą na całym świecie — zwraca swoje spojrzenie jedynie w chwilach pierwszej miłości (czasem także drugiej) i potem, podczas zapijania bolesnej klęski tego pięknego uczucia, poza tym jednak odstawia ją kompletnie, bądź ogranicza do możliwie prostej, fizjologicznej rozrywki. Opłacalna zatem jest jedynie produkcja tego typu wrażeń! Naturalnie istnieją też wyjątki.

Żeby jednak zaspokajanie gustów opłacało się (a więc było zgodne z etosem homo oeconomicus) muszą być spełnione pewne ogólne warunki. Najważniejszy z nich to przyzwoite nasycenie pieniądzem społeczeństwa, w tym także inteligencji, a zatem dobra gospodarka. Wtedy dopiero może powstać taki realny popyt na „duchowe" dobra, aby ich producenci nie poszli z torbami. Może również wykształcić się subtelna sieć promocji, reklamy i rozpowszechniania.

Nie trzeba udowadniać, że nasza sytuacja z 1990 roku jest diamentralnie inna; pauperyzacja ogromnej części społeczeństwa (w tym prawie całej inteligencji) doprowadzona została do granic śmieszności, w sklepach brak nawet najbanalniejszych towarów, jeżeli natomiast już się pokazują, to po coraz bardziej dowcipnych cenach, ludzi namawia się do pracy wieczorem, w niedziele i święta, a także do świadczenia sobie osobiście różnych rodzajów usług, co ogranicza do minimum ich czas wolny, nie istnieje sieć rozpowszechniania, promocji, reklamy, wyszukiwania talentów — pod względem ilości (i jakości) kin, na przykład, jesteśmy na szarym końcu w Europie. Nie tylko trudno byłoby znaleźć choćby trzy osoby gotowe zainwestować z pół miliarda w realizację, powiedzmy, filmu, ale jest nawet niemożliwe szybkie wydrukowanie książki telefonicznej, dzięki której mający stosowne pomysły mogliby się z nimi skontaktować, nie mówiąc już o tym, że w czasie deszczu telefony przestają funkcjonować nawet w obrębie jednego miasta...

Pomysł zadekretowania w tym stanie rzeczy urynkowienia kultury przypomina zamiar komputeryzacji amazońskiej osady; mimo całej swojej pozornej błyskotliwości napędza tylko klientów sprzedającym paciorki obcym komiwojażerom. Dodatkowo sprawę pogarsza zrozumiała skądinąd gorliwość neofity, z jaką urynkowienie kultury chce się wprowadzić w życie. Nie tylko więc i tu mają być zastosowane abstrakcyjne zalecenia międzynarodowych organizacji finansowych (co kultura znosi fatalnie), ale zamierza się je jeszcze „ulepszyć" proponując, aby podatek od produkcji książki co najmniej dorównywał podatkowi od produkcji wspomnianych wyżej kalesonów, dotacje, nawet na programy edukacyjne, zostały maksymalnie obcięte, zaś ochrona dóbr rodzimych praktycznie zaniechana.

Kultura ma być podporządkowana identycznym zasadom jak inne działy gospodarki.

A w takim razie skutki też zapowiadają się identyczne: drastyczny podział społeczeństwa w dostępie do jej wytworów, zgoła niekulturalne osobistości faktycznie nią dyrygujące, dyktat zagraniczny... Cokolwiek z tego widać już wyraźnie dookoła: w księgarniach, po coraz wyższej cenie, pojawiają się wątpliwej jakości książki sensacyjne, pamiętniki erotyczne i kiepskie romanse, jednocześnie zaś wydawcy zwracają maszynopisy już przyjęte i często interesujące, ale nie rokujące dużego i szybkiego zysku, w kinach królują czysto rozrywkowe i w dodatku kiepskie „przeboje" amerykańskie (zaczynają się również pojawiać erotyki, których bohaterki dobiegają dziś pięćdziesiątki, są więc tańsze), na 1991 rok zapowiada się natomiast realizację najwyżej 4 — 7 rodzimych filmów, też zresztą w większości typu kryptoporno i sensacja made in USA. W muzyce zalew decybeli przysłania wszystko, co wynika po części także z tego, że znajdująca się aktualnie w rozgłośniach Polskiego Radia aparatura nadaje się wyłącznie do uwieczniania tego typu produkcji. W plastyce oleje za parę milionów nie znajdują nabywców, natomiast landszafty i reprodukcje są jeszcze ciągle od czasu do czasu kupowane, żeby zasłonić jakoś gołe ściany. Kto tylko może szuka współpracy z zagranicznym kapitałem, naturalnie na dyktowanych przez ten kapitał warunkach, nieliczni szczęśliwcy w ogóle wyjeżdżają „na Zachód", a wszyscy o wyjeździe marzą.

Rodzajem symbolu tej sytuacji są restauracje, do których tylko desperat może wybrać się na obiad czy kolację (już na początek należy wręczyć orkiestrze około 10 dolarów, aby zaprzestała, prowadzącego do rozstroju żołądka, występu) i — po godzinie zamknięcia sklepów — deprymująco puste ulice, na których można, poza przekleństwami, usłyszeć tylko nabożne pienia i patriotyczne surmy. Także i tu główny problem polega jednak nie na tym jak jest, ale kiedy to się skończy; jak długo ma trwać okres przejściowy między absurdalną przeszłością i normalną przyszłością. Tym razem odpowiedź wydaje się dziecinnie prosta: dopóty normalna przyszłość nie zapanuje gdzie indziej, a nawet odrobinę później.

O ile jednak z niejaką nadzieją można czekać na normalny rynek obuwia czy bielizny, w wypadku kultury sprawy wyglądają o wiele gorzej. Po prostu rzadko kiedy zdarza się, aby ambitny artysta, który postanowił nieco pochałturzyć, żeby zarobić na mieszkanie i samochód, wracał potem do dawnych zamierzeń...

Z tej ziemi.

Jest to czas trudnych wyborów

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

19.02.1990

1.

W sobotnim „Głosie Porannym" przeczytałem wiadomość, że Polska Partia Socjalistyczna — reaktywowana w listopadzie 1987 roku — wystąpiła do Zarządu Głównego RSW „Prasa—Książka—Ruch" z żądaniem przekazania jej „Expressu Wieczornego" — popularnej warszawskiej popołudniówki. PPS chce nie tylko gazetę, ale i wszelki majątek z tą gazetą związany. Żądanie zostało przyjęte ze zrozumieniem i już prawdopodobnie 20 lutego 1990 roku odbędzie się spotkanie z zespołem redakcyjnym, na którym zapadną odpowiednie decyzje.

PPS wszakże na tym nie poprzestaje. Domaga się też zwrotu wydawnictwa „Wiedza", które wraz z pepeerowską „Książką" utworzyło „Książkę i Wiedzę". Domaga się zwrotów domów, które niegdyś PPS używała, a także domów w Radomsku i Przemyślu, które dla PPS zostały wybudowane za prywatne pieniądze. Ponadto: księgarnie, 11 drukarń, Socjalistyczną Agencję Prasową oraz pisma centralne i regionalne, które wychodziły pod szyldem PPS. Jak dobrze wszystko pójdzie, to PPS stanie się najbogatszą partią w Polsce.

Trudno mi przewidzieć przebieg tych rozmów, ale można spodziewać się, że nie będą łatwe. Jak bowiem dziś ustalić, co należy się PPS, a co innym? Na przykład — jak mi zwrócił na to uwagę Edmund Tulko — łódzki „Głos Robotniczy", kiedy w grudniu 1948 roku stał się gazetą PZPR, wchłonął należący do PPS dziennik „Kurier Łódzki". Co więc dzisiaj stanowi część byłego „Głosu Robotniczego" — pisma PPR, a co byłego „Kuriera Łódzkiego" — pisma PPS? Nie zazdroszczę tym, którzy będą o tym pertraktowali. Trudno jednak odmówić Radzie Naczelnej PPS prawa do ubiegania się o to, co do PPS niegdyś należało.

2.

W miniony piątek (16.02.1990) odbyła się konferencja prasowa łódzkiej grupy założycielskiej Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej. Zapytałem na tej konferencji, jakie są wzajemne stosunki między SdRP a PPS?

— *Nie ma takich* — odpowiedział Grzegorz Matuszak, którego obdarzono obowiązkami rzecznika prasowego. Ale zadeklarował, że być powinny, a nawet w budynku przy ul. Piotrkowskiej, gdzie teraz mieści się SdRP, znalazłoby się też pomieszczenie dla PPS. Intencją grupy założycielskiej z Karolem J. Stryjskim na czele jest „prowadzenie domu otwartego", to znaczy, że chętnie gościliby w zajmowanym domu wszystkich, którzy w jakiś sposób sympatyzują z lewicą. Jednak w tradycji polskiej lewicy wpisana jest wzajemna animozja. Różne odłamy lewicy zwalczały się wzajemnie, przynosząc tym więcej szkody niż pożytku. Ta tradycja daje i dziś znać o sobie. Lewica jest podzielona skutecznie, co może mieć fatalny wpływ na rozwój wydarzeń politycznych w Rzeczypospolitej Polskiej.

W ubiegły czwartek w budynku przy ul. Piotrkowskiej w jednej sali sympatycy socjaldemokracji słuchali tego, co ma do powiedzenia Leszek Miller oraz dyskutowali z nim, a w drugiej obradowali zwolennicy „prawdziwego komunizmu". Już dawno przewidywałem, że takie ugrupowanie musi powstać. Ponoć stanie się to 20 lutego 1990 roku w Warszawie. Próbę taką zapowiedziano i byłoby dobrze, aby tak się stało.

3.

W Łodzi nie ma nadto sprzyjających warunków dla rozwoju ruchu rzeczywiście socjaldemokratycznego. Już prędzej ma tu szansę na powodzenie ruch ludzi pracy. To też swego rodzaju tradycja. Przed IX Zjazdem PZPR w Łodzi silny był ruch struktur poziomych, co zaczęło się manifestem organizacji partyjnej „Foniki", którą wówczas kierował Krzysztof Pawlak. W Łodzi zrodziła się idea przygotowywania zjazdu przez samych delegatów. Tu powstał wojewódzki zespół delegatów. Ruchy te były skutecznie i z uporem blokowane przez siły konserwatywne i dogmatyczne. Po IX Zjeździe PZPR zostały one „specyfikowane" i wygaszone. Miało to niewątpliwie swoje znaczenie w czasach stanu wojennego. Nie przypadkiem przed XI Zjazdem PZPR nie powstał tu żaden silny ruch, bo w końcu działająca w kręgach uniwersyteckich „Frakcja socjaldemokratyczna" nie miała większego znaczenia.

Jak poinformowali na wspomnianej konferencji prasowej Karol J. Stryjski i Wiesław Walczak rozdano około 2.500 deklaracji, z czego wróciło około 200. Dużo to czy mało? Grzegorz Matuszak powiada, że nie należy przejmować się ilością. Ważniejsza od tego jest jakość. Nie wszyscy, którzy deklarują chęć wstąpienia do SdRP powinni się w niej znaleźć. Dotyczy to głównie ludzi, którzy byli silnie związani z PZPR a nawet wcześniej z PPR. Dotyczy to też tych, którzy w byłej PZPR pełnili różne funkcje i nie najlepiej zapisali się w ludzkiej pamięci.

Ludzie przywykli jednak przez te minione lata do tego, że się należy do partii. Dziś im tego należenia brakuje. Stracili poczucie bezpieczeństwa, poczucie ważności, możliwość oddziaływania na bieg wydarzeń w najbliższych im kręgach. I dlatego byłoby dobrze, gdyby powstało ugrupowanie bardziej zbliżone do byłej PZPR, ruch, który mógłby pomieścić też „prawdziwych komunistów". Stworzyłoby to lepsze warunki dla ukształtowania się SdRP. Ale nie należy czekać, że stanie się to tak szybko i bezboleśnie. Niewątpliwie rację ma Karol J. Stryjski, kiedy mówi, że teraz jest czas namysłu, zastanawiania się nad tym, co to znaczy dziś być socjaldemokratą w Polsce, a w Łodzi szczególnie. Przecież nie wszyscy, którzy garną się już do socjaldemokracji są socjaldemokratami. Często nie bardzo wiedzą, co to w ogóle znaczy? Znakomita większość moich rozmówców deklaruje wstrzemięźliwość. Jedni mówią, że się przyglądają, inni, że się zastanawiają, inni wręcz zastrzegają się, że nie chcą nic wspólnego mieć z jakąkolwiek partią. I trudno się im dziwić, trudno mieć im to za złe. Nadszedł czas różnych wyborów....

4.

Żyjemy w ciekawych czasach, w czasach, gdy coś się zawaliło, coś się staje i wcale nie wiadomo, w jakim kierunku to nowe będzie się rozwijało. I nie tylko u nas w Polsce, ale i w tej części Europy, którą zwykło się nazywać Wschodnią. Jej los dokonuje się też nad Łabą. Zjednoczenie Niemiec, które musi się dokonać nieuchronnie, odmieni Europę. Dotyczy to również Polski, bo nadal nie ma jasności, co do przyszłości naszych zachodnich granic. Z tej okazji często pada stwierdzenie, że porozumienie Helmuta Kohla i Michaiła Gorbaczowa przypomina układ w Rapallo.

Działo się to w 1922 roku. W kwietniu i maju w Genui obradowała konferencja gospodarcza, do udziału w której zaproszono również rząd radziecki. Ku zaskoczeniu wielu polityków 16 kwietnia 1922 roku w Rapallo Walter Rathenau — minister spraw zagranicznych Republiki Weimarskiej i Gieorgij Cziczerin podpisali układ o anulowaniu radzieckich roszczeń do niemieckich odszkodowań, o anulowaniu niemieckich roszczeń o odszkodowania za znacjonalizowane dobra w ZSRR, o normalizacji stosunków dyplomatycznych. Zbliżenie Niemiec i Rosji dokonywało się już wcześniej: w kwietniu 1920 roku był układ o repatriacji jeńców wojennych i ustanowiono w Berlinie i Moskwie pełnomocników, w maju 1921 roku podpisano układ handlowy. To zbliżenie miało wyraźnie antypolski charakter. Oba państwa były przeciwne postanowieniom traktatu wersalskiego, a Polskę uważały za twór sztuczny. *„Polskę trzeba wykończyć"* — stwierdził wówczas kanclerz Josef Wirth.

Polska opinia publiczna jest dziś zaniepokojona tym, że przyszłość Niemiec, co ściśle wiąże się z naszymi zachodnimi granicami, o trwałości których kanclerz Helmut Kohl nie chce się wypowiadać, decyduje się bez naszego udziału. A skoro naszego zdania nikt nie chce wysłuchać, to mamy prawo domniemywać, że rozmowy takie mogą być przeciw nam skierowane. A tego nie chcielibyśmy. Bo to już było i fatalnie skończyło się.

ZSRR — zagrożenia.

Kto kieruje mafią?

Od początku 1989 roku do 15 sierpnia organa MSW i Prokuratury ZSRR zarejestrowały 1 292 905 przestępstw, co stanowi liczbę o 35 proc. większą niż w analogicznym okresie 1988 roku. Szczególnie zauważalny jest wzrost przestępstw ciężkich w Armeńskiej, Białoruskiej, Litewskiej, Kirgiskiej, Estońskiej Republice oraz w Moskwie.

W 1989 roku ujawniono 2427 rozbojów, z czego do odpowiedzialności karnej za ten rodzaj przestępstw pociągnięto 1532 osoby. Jeżeli w 1978 roku było 600 nie wykrytych zabójstw, to w 1989 roku aż 1558. Od początku 1989 roku ujawniono 1 320 bandyckich grup, które dopuściły się około 9000 niebezpiecznych przestępstw.

Po raz pierwszy po latach milczenia pojawiły się statystyki. Wzrost przestępczości zawsze był czułym barometrem, wskazującym stopień destabilizacji społeczeństwa. Tak było w czasie pierwszych lat powstawania państwa radzieckiego, tak było po wojnie, kiedy ZSRR walczył z głodem i zniszczeniami wojennymi oraz w czasie chruszczowowskiej odwilży.

Radzieckie społeczeństwo ma pełne prawo spokojnie i trzeźwo ocenić zalety radzieckiej milicji. Dzisiaj mają oni prawo poważnie pomyśleć, dlaczego normalni, rozsądni ludzie nie spieszą się do służby w milicji, dlaczego w jej szeregach znajdują się zwyrodnialcy, moralne potwory, a wręcz elementy przestępcze? Kto odpowiada za politykę kadrową w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych?

Dlaczego w moskiewskiej milicji brakuje około 4 tysięcy ludzi, ten brak zwiększył się w porównaniu z 1989 rokiem o więcej niż 80 proc. Dlaczego w czasie drugiego półrocza 1989 r. zostały przyjęte do pracy 1 453 osoby, a w tym samym okresie zwolniono 1 850, przy czym około tysiąca funkcjonariuszy zostało zwolnionych za pijaństwo, amoralne czyny, przekupstwo i zdradę...

Są fakty, kiedy to przywódcami bandyckich ugrupowań okazują się być wysocy rangą pracownicy MSW. Takie wypadki zanotowano w Doniecku, Irkucku i w innych miastach.

Moskiewskie władze przygotowały decyzje odnośnie środków szerokiego zaangażowania społeczeństwa w umocnienie praworządności w stolicy. Odradzają się oddziały drużynników, powstają różne organa samorządności, aktywizuje się działalność grup dyżurujących na podwórkach i przy klatkach schodowych.

Demokratyczny proces pieriestrojki zapoczątkował humanizację prawodawstwa karnego, która szybko przekroczyła rozumne granice przekształcając się w bezkarność. Jest to bardzo silny impuls dla niekontrolowanych wybuchów przestępczej aktywności. A oto jeden z przykładów: w pierwszym kwartale 1989 roku 45 procent wszystkich popełnionych w Moskwie czynów chuligańskich było przekazanych przez milicję na rozpatrzenie przez sądy koleżeńskie. W takiej sytuacji sprawcy poważnych przestępstw pozostają bezkarni. Koniecznością staje się wprowadzenie bardziej surowych przepisów. Każdego roku giną dziesiątki ludzi w mundurach milicyjnych, którzy nie mogą użyć broni, mając związane ręce przestarzałymi instrukcjami i przepisami. Zostały przygotowane projekty zmian i uzupełnień kodeksu karnego, które optują za zwiększeniem odpowiedzialności za przestępstwa dokonane przez zorganizowane grupy.

Przestępczość zorganizowana to wielki problem; skąd wywodzą się organizatorzy, w jakich środowiskach powstaje radziecka odmiana mafii? Kto kieruje mafią, jej działalnością na tak szeroką skalę? Kto myśli, że za plecami tego świata przestępczego stoją więzienni weterani z tatuażem na piersi, myli się. Całokształt negatywnych procesów, siejących w kraju chaos, panikę i anarchię bierze swój początek u jednego źródła. Tragedie, wywołane konfliktami międzynarodowościowymi w różnych regionach kraju, nieporozumienia co do odpowiedniej interpretacji procesu demokratyzacji, wszystko to sprawnie kierowane jest przez siły z uporem przeciwstawiające się pieriestrojce. Organizatorów trzeba szukać we wszystkich ogniwach kierowniczo-administracyjnego systemu, także w wyższych organach władzy.

Rozpatruje się różne warianty pomocy materialnej organom praworządności. Przewodniczący i rady kolektywów pracowniczych w wielu przedsiębiorstwach deklarują gotowość pomocy; organizacja transportu czy też możliwość korzystania z techniki komputerowej. Dyskutuje się również projekt powstania miejskiego, społecznego funduszu dla potrzeb ochrony prawa. Nieuniknionym wydaje się być powstanie państwowego programu o profilaktyce, który zjednoczyłby wysiłki wszystkich warstw społeczeństwa. W takiej sytuacji potrzebna jest konsolidacja wszystkich sił.

B. W.

Przedstawiając dalsze fragmenty głośnej książki Wasilija Grossmana zwracamy jednocześnie uwagę Czytelnika, że wywołała ona głośne reperkusje w Rosji. Zarząd Związku Pisarzy Federacji Rosyjskiej podjął uchwałę odwołującą redaktora naczelnego „Oktiabria", gdzie opublikowano ten tekst oraz inny, wywołujący również spory tekst Daniela Siniawskiego, ze stanowiska, czemu przeciwstawił się zespół miesięcznika i sam zainteresowany, deputowany do Rady Najwyższej. Podczas obrad grupy pisarzy „Apriel" do sali, przy biernej postawie wyraźnie sprzyjającej jej milicji, wtargnęła bojówka organizacji „Pamiat'" (odpowiednik naszego „Grunwaldu") rozpędzając obradujących siłą i używając rękoczynów w stosunku do zasłużonych twórców.

K.F.

Wszystko płynie

(2)

WASILIJ GROSSMAN

Aby zrozumieć Lenina, nie wystarczy wpatrywać się w jego ludzkie, życiowe rysy. Nie wystarczą cechy Lenina-polityka, trzeba odnieść jego charakter najpierw do mitu narodowego rosyjskiego charakteru, a następnie do fatum — do charakteru rosyjskiej historii.

Leninowska ascetyczność i autentyczna skromność zbliża go do rosyjskich pielgrzymów, jego przywiązanie do rosyjskiej przyrody w postaci lasów i łąk stanowi odpowiednik chłopskiego odczuwania. Jego pociąg ku światu zachodniej myśli, ku Heglowi i Marksowi, jego umiejętność wchłaniania i wyrażania ducha Zachodu jest przejawem cechy głęboko rosyjskiej, ujawnionej przez Czaadajewa; to ta powszechna skłonność, zdumiewająca głębia rosyjskiego wcielenia się w ducha obcych narodów, którą Dostojewski dostrzegł w Puszkinie. Ta cecha spokrewnia Lenina z Puszkinem. Tą cechą obdarzony był Piotr I.

Leninowska obsesyjność, zapalczywość są raczej spokrewnione z awwakumowskim opętaniem, awwakumowską wiarą. Awwakum [1]) to zjawisko samorodne, rosyjskie.

W ubiegłym stuleciu rodzimi myśliciele szukali historycznego wyjaśnienia drogi rozwoju Rosji w wyjątkowości rosyjskiego charakteru narodowego, w rosyjskiej duszy, w rosyjskiej religijności. Czaadajew, jeden z rozumniejszych ludzi dziewiętnastego wieku, obwieścił o ascetycznym, ofiarniczym duchu rosyjskiego chrześcijaństwa, o jego nie zmąconej żadnymi naniesieniami bizantyjskiej naturze.

Dostojewski uważał wszechczłowieczeństwo, dążenie do wszechludzkiego złączenia za prawdziwy fundament rosyjskiej duszy.

Rosyjski wiek dwudziesty lubi powtarzać przepowiednie, które na jego temat wygłosili myśliciele i prorocy Rosji w wieku dziewiętnastym — Gogol, Czaadajew, Bieliński, Dostojewski. Bo też któż by nie lubił powtarzać o sobie podobnych rzeczy.

Prorocy dziewiętnastego wieku przepowiadali, że w przyszłości Rosjanie staną na czele duchowego rozwoju nie tylko narodów europejskich, ale nawet narodów całego świata. Nie o wojennej chwale Rosjan mówili profeci, tylko o chwale rosyjskiego serca, rosyjskiej wiary i rosyjskiego przykładu.

„Ptak trojka..." „Rosyjskiej duszy, wszechczłowieczej i wszechjednoczącej przyjdzie pomieścić w sobie z braterską miłością wszystkich naszych braci, a na samym końcu może nawet wyrzec słowo ostateczne wielkiej, wspólnej harmonii, ostatecznego braterskiego pojednania wszystkich plemion zgodnie z prawami Chrystusowej Ewangelii." „Wówczas rzeczywiście zajmiemy swoje miejsce wśród narodów, którym przeznaczone jest działać pośród ludzkości nie tylko w charakterze taranów, ale i w charakterze idei." „Czy nie tak i ty, Rusi, niesiesz się jak żwawa, nieprześcigniona trojka? Dymem dymi pod tobą droga, grzmią mosty..."

I właśnie tutaj Czaadajew genialnie wyróżnił uderzającą cechę naszej historii: *„kolosalny fakt stopniowego zniewalania naszego chłopstwa, przedstawiający sobą nie co innego niż ściśle logiczny rezultat naszej historii".*

Bezwzględne zduszenie jednostki nieodstępnie towarzyszyło tysiącletniej historii Rosjan, służalcze podporządkowanie jednostki władcy i państwa. Tak, również i te cechy dostrzegali i wyróżniali prorocy Rosji.

I oto na równi ze zduszeniem człowieka przez kniazia, dziedzica, władcę i państwo — prorocy Rosji uświadamiali sobie nie dostrzeganą przez świat zachodni czystość, głębię, jasność, Chrystusową siłę duszy rosyjskiego człowieka. To jej, duszy rosyjskiej, przepowiadali prorocy wielką i świetlaną przyszłość. Zgodni byli, że w dusze Rosjan idea chrześcijaństwa wcielona jest w bezpaństwowej, ascetycznej, bizantyjskiej, antyzachodniej formie i że siły, właściwe rosyjskiej narodowej duszy, wyrażą się w silnym oddziaływaniu na narody europejskie, oczyszczą, przekształcą, oświecą w duchu braterstwa życie świata zachodniego a świat zachodni ufnie i z radością podąży za rosyjskim wszechczłowiekiem. Te proroctwa najświetniejszych umysłów i serc Rosji łączy jedna, wspólna im fatalna cecha. Wszyscy oni widzieli siłę rosyjskiej duszy, dostrzegali jej znaczenie dla świata, nie widzieli jednak, że właściwości duszy rosyjskiej zrodziły się z braku wolności, że dusza rosyjska to tysiącletnia niewolnica. Co da światu tysiącletnia niewolnica, nawet jeśli miałaby stać się wszechpotężną?

I oto wydawało się, że dziewiętnasty wiek przybliżył na koniec czas, przepowiedziany przez proroków Rosji, czas, kiedy Rosja, tylekroć podatna na cudze przepowiednie i cudzy przykład, sama gotowała się do oddziaływania na świat.

Sto lat chłonęła Rosja dumną ideę wolności. Sto lat piła Rosja ustami Pestela, Rylejewa, Hercena, Czernyszewskiego, Ławrowa, Bakunina, ustami swoich pisarzy, męczeńskimi ustami Żelabowa, Sofii Pietrowskiej, Timofieja Michajłowa, Kibalczicza, ustami Plechanowa, Kropotkina, Michajłowskiego, ustami Sazonowa i Kalajewa, ustami Lenina, Martowa, Czernowa, ustami swojej różnorodnej inteligencji, swoich studentów, swoich przodujących robotników — myśl filozofów i myślicieli zachodniej wolności. Myśl tę niosły książki, katedry uniwersyteckie, heidelberscy i paryscy studenci, niosły ją buty napoleońskich żołnierzy, nieśli ją inżynierowie i oświeceni kupcy, niosła ją udająca się na służbę zachodnia biedota o takim poczuciu ludzkiej godności, że wywoływało zazdrosne zdziwienie rosyjskich kniaziów. I oto, zapłodniona ideami wolności i godności człowieka, dokonała się rosyjska rewolucja.

Co zrobiła rosyjska dusza z ideami zachodniego świata, jak je przekształciła na swój użytek, w jaki kryształ je skupiła, jaki pęd gotowa była wyhodować z podświadomości historii?

„Rusi, dokąd się niesiesz?... Brak odpowiedzi..."

Niczym narzeczeni przeszło przed młodą Rosją po zrzuceniu łańcuchów caratu, dziesiątki, a może nawet setki rewolucyjnych teorii, wierzeń, liderów, partii, proroctw, programów... Pożądliwie, z namiętnością i błaganiem wpatrywali się wodzowie rosyjskiego postępu w twarz narzeczonej.

Stali szerokim kołem — umiarkowani, fanatycy, trudowicy, narodnicy, robotnikofile, chłopscy orędownicy, światli przemysłowcy, oświeceni duchowni, wściekli anarchiści. Niewidzialne, często niewyczuwalne nici związywały ich z ideami zachodnich monarchii konstytucyjnych parlamentów, najświatlejszych kardynałów i biskupów, przemysłowców, wykształconych właścicieli ziemskich, liderów robotniczych związków zawodowych, orędowników, profesorów uniwersyteckich.

Wielka niewolnica zatrzymała swój poszukujący, nieufny, wartościujący wzrok na Leninie. Został jej wybrańcem. Ten odgadł, jak w starej bajce, jej ukrytą myśl, objaśnił jej kłopotliwy sen, jej zamysł.

Ale czy tak?

Został jej wybrańcem dlatego, że sam ją wybrał i dlatego, że ona go wybrała. Poszła za nim — obiecywał jej złote góry i rzeki pełne wina, i szła za nim, najpierw ochoczo, ufnie, po wesołej, pijanej drodze oświetlonej płonącymi obszarniczymi gospodarstwami, potem potykając się, oglądając wstecz, obawiając się majaczącej przed nią drogi, lecz coraz mocniej czuła prowadzącą ją, żelazną rękę.

Lenin szedł, pełen apostolskiej wiary, wiodąc za sobą Rosję i nie rozumiał potwornego opętania, które nim owładnęło. W jej posłusznym kroku, w jej nowej, po zrzuceniu cara, pokorze, w jej uległości przyprawiającej o szaleństwo — tonęło, ginęło — przetwarzało się wszystko, co przyniósł Rosji z miłującego wolność rewolucyjnego Zachodu. Zdawało mu się, że w jego niezłomnej, dyktatorskiej sile zawiera się rękojmia czystości i zachowania tego, w co wierzył, że przyniósł swojemu krajowi. Cieszył się z tej siły, utożsamiał się z racjami swej wiary i nagle, przez mgnienie, widział, że w jego niezachwianiu, zwróconemu ku miękkiej rosyjskiej pokorze i uległości, kryje się także jego najwyższa bezsiła.

I im surowszy stawał się jego krok, im cięższa stawała się jego ręka, im posłuszniejszą stawała się dla jego uczonego i rewolucyjnego gwałtu Rosja, tym mniejszą miał władzę dla stoczenia walki z rzeczywiście szatańską siłą poddańczej przeszłości. Podobnie jak tysiącletni spirytusowy rozczyn, tężał w rosyjskiej duszy poddańczy, niewolniczy pierwiastek. Na podobieństwo dymiącej od własnej siły carskiej wódki, rozpuścił metal i sól ludzkiej godności, przeobraził życie duchowe rosyjskiego człowieka.

Dziewięćset lat przestrzenie Rosji, które zrodziły powierzchowne poczucie duchowego rozmachu, dziarskości i woli, były milczącą retortą niewolnictwa. Dziewięćset lat odchodziła Rosja od dzikich leśnych osad, od zaczadzonych kurnych chat, od pustelni, od zbudowanych z bierwion izb ku uralskim fabrykom, donieckiemu węglowi, ku petersburskim pałacom, Ermitażowi, ku potężnej swej artylerii, ku swoim tulskim metalurgom i tokarzom, ku fregatom i parowym młotom. W powierzchownym postrzeganiu rodziło się jednoznaczne poczucie oświecenia i zbliżenia z Zachodem.

Lecz czym bliższe stawało się powierzchowne podobieństwo rosyjskiego życia z życiem Zachodu, im bardziej fabryczny łoskot kół jej tarantasów i pociągów, łopot jej okrętowych żagli, kryształowe światło w oknach jej pałaców przypominało o zachodnim życiu, tym bardziej rosła tajemna przepaść w najskrytszej istocie życia rosyjskiego i życia Europy. Przepaść polegała na tym, że rozwój Europy zapłodniony był wzrostem wolności, a rozwój Rosji zapłodniło rozszerzenie niewoli.

Historia człowieka jest historią jego wolności. Wzrost potęgi człowieka wyraża się przede wszystkim wzrostem wolności. Wolność to nie jest uświadomiona konieczność, jak sądził Engels. Wolność jest wprost sprzeczna z koniecznością, wolność to przezwyciężona konieczność. Postęp w swej istocie jest postępem ludzkiej wolności. Bo przecież i życie samo jest wolnością, ewolucja życia jest ewolucją wolności.

Rozwój Rosji ujawnił dziwne swoje jestestwo — karmiło się ono rozwojem braku wolności. Rok po roku coraz okrutniej utwierdzało się chłopskie poddaństwo, wciąż tajało chłopskie prawo do ziemi, a jednocześnie rosyjska nauka, technika, oświata wciąż rosły, zlewając się ze wzrostem rosyjskiego niewolnictwa. Narodziny rosyjskiej państwowości upamiętniły się ostatecznym poddaństwem chłopstwa; święcony był ostatni dzień chłopskiej wolności — dwudziesty szósty listopada — dzień Jura.

Coraz mniej było „wolnych", „luźnych" ludzi, wciąż mnożyła się liczba chłopów pańszczyźnianych i Rosja zaczęła wychodzić na szeroki trakt europejskiej historii. Przykuty do ziemi — został przyłączony do właściciela ziemi, później także do urzędnika, reprezentującego państwo i wojsko, a właściciel uzyskał prawo do sądu nad pańszczyźnianym, później także i prawo moskiewskiej tortury (tak nazywało się cztery wieki temu) — to podwieszanie na rękach, związanych z tyłu, bicie knutem. I rosła rosyjska metalurgia, rozszerzały się składy, umacniało się państwo i wojsko, rozpalała się zorza rosyjskiej wojennej chwały, szerzyło się piśmiennictwo.

W ten sposób tysiącletnim łańcuchem były przykute do siebie rosyjski postęp i rosyjskie niewolnictwo. Każdy poryw ku światłu pogłębiał czarną dziurę poddaństwa.

Wiek dziewiętnasty jest szczególnym stuleciem w życiu Rosji. W tym stuleciu zachwiana została podstawowa zasada rosyjskiego życia — związek postępu z poddaństwem.

Rewolucyjni myśliciele Rosji nie docenili znaczenia wyzwolenia chłopstwa, które nastąpiło w dziewiętnastym stuleciu. Zdarzenie, to, jak pokazało stulecie następne, było bardziej rewolucyjne niż wydarzenia Wielkiej Październikowej rewolucji socjalistycznej; wydarzenie to zachwiało tysiącletnią zasadą zasad Rosji, zasadą, której nie tknął Piotr I ani Lenin: zależność rosyjskiego rozwoju od wzrostu niewolnictwa.

Po wyzwoleniu chłopów rewolucyjni liderzy, inteligencja, studenci gwałtownie, z namiętną siłą, z samozaparciem walczyli o nie znaną Rosji ludzką godność, o postęp bez niewolnictwa. To nowe prawo było całkiem obce rosyjskiej przeszłości i nikt nie wiedział, jaka teraz będzie Rosja, jeśli wyprze się tysiącletniej swojej więzi z niewolnictwem, jaki stanie się rosyjski charakter?

W lutym 1917 roku przed Rosją otworzyła się droga wolności. Rosja wybrała Lenina.

Ogromne było zdruzgotanie rosyjskiego życia, przeprowadzone przez Lenina, Lenin skruszył system obszarniczy, Lenin zlikwidował fabrykantów, kupców. A mimo wszystko fatum rosyjskiej historii wyznaczyło Leninowi, niezależnie od tego jak dziko i dziwnie to brzmi, zadanie zachowania przekleństwa Rosji: związek jej rozwoju z brakiem wolności, poddaństwem.

Ci tylko, co robią zamach na zasadę zasad starej Rosji — jej niewolniczą duszę — są rewolucjonistami.

I tak się stało, że rewolucyjny szał, fanatyczna wiara w słuszność marksizmu, całkowity brak tolerancji wobec myślących inaczej doprowadziły do tego, że Lenin sprzyjał gigantycznemu rozwojowi tej Rosji, której nienawidził całą siłą swej fanatycznej duszy.

Jest rzeczywiście tragiczne, że człowiek tak szczerze upajający się książkami Tołstoja i muzyką Beethovena przyczynił się do nowego poddaństwa chłopów i robotników, do przemianowania na lokajów wybitnych działaczy rosyjskiej kultury tego rodzaju co Aleksy Tołstoj, chemik Siemionow, muzyk Szostakowicz.

Spór, wszczęty przez zwolenników rosyjskiej wolności, został wreszcie rozstrzygnięty — rosyjskie niewolnictwo i tym razem zostało niepokonane.

Zwycięstwo Lenina stało się jego porażką.

Lecz tragedia Lenina była tragedią nie tylko rosyjską, stała się tragedią światową.

Czy przypuszczał, że podczas dokonanej przez niego rewolucji to nie Rosja pójdzie za socjalistyczną Europą, tylko ukryte rosyjskie niewolnictwo wyjdzie za granice Rosji i stanie się pochodnią, oświetlającą nowe drogi ludzkości.

Rosja już nie wchłaniała wolnego ducha Zachodu. Zachód zaczarowanymi oczami patrzył na obraz rosyjskiego rozwoju, kroczącego drogą braku wolności.

Zdawać się mogło, że zachodzi to, co przewidzieli prorocy Rosji sto i sto pięćdziesiąt lat temu. Lecz jakże dziwnie i przeraźliwie się to dokonało.

Leninowska synteza braku wolności z socjalizmem oszołomiła świat bardziej niż odkrycie energii jądrowej.

Europejscy apostołowie nacjonalistycznych rewolucji dostrzegli płomień ze Wschodu. Włosi, a potem Niemcy zaczęli na swój sposób rozwijać ideę narodowego socjalizmu.

A płomień wciąż się rozszerzał — przyjęła go Azja, Afryka.

Narody i państwa mogą rozwijać się w imię siły i wbrew wolności! Nie był to pokarm dla zdrowych, był to narkotyczny lek nieudaczników, chorych i słabych, spóźnionych i bitych.

Tysiącletnie rosyjskie prawo rozwoju dzięki woli, pasji i geniuszowi Lenina stało się prawem światowym.

Takie było fatum historii.

Przełożył:
KONRAD FREJDLICH

Objaśnienia tłumacza:
1) Awwakum Pietrowicz, protopop, symbol fanatyzmu i konserwatyzmu, spłonął na stosie w XVII w.

W NKWD robili kariery ludzie różnych narodowości. Był wśród nich Węgier, fryzjer Teatru Operetki w Budapeszcie, jedyny człowiek, którego Stalin dopuszczał do siebie z brzytwą.

Ludzie Stalina z drugiego rzutu

RYSZARD BADOWSKI

Jego losy, podobnie jak przygody dobrego wojaka Szwejka, zasługują na powieść. Bohater Jarosława Haszka był jednak zmyśloną postacią, a niejaki Pauker, któremu marzyła się kariera cyrulika z Sewilli, istniał naprawdę. Obaj w czasie pierwszej wojny światowej trafili na rosyjski front. Szeregowy cesarza Franciszka Józefa dostał się jednak przez pomyłkę do niewoli własnej armii. Pauker znalazł się w 1916 roku w niewoli rosyjskiej.

Ordynans Wiaczesława Mienżyńskiego.

Przed powołaniem do armii austriacko-węgierskiej Pauker był fryzjerem Teatru Operetki w Budapeszcie. Strzygł wybitnych śpiewaków i marzył o karierze scenicznej. Czasami trafiał na deski teatralne jako statysta. Artyści operetki zapewniali podobno, że ma *„wspaniały dramatyczny talent"*. Życie miało to potwierdzić.

Rewolucja Październikowa wciągnęła w swą orbitę wielu żołnierzy armii państw centralnych, zwolnionych z obozów jenieckich. Pauker wstąpił do partii bolszewickiej, która skierowała go do pracy w organach bezpieczeństwa. Nie miał wykształcenia, niewiele potrafił. Uczestniczył w rewizjach i aresztach. W wolnych chwilach rozśmieszał czekistów scenkami, w których naśladował przestraszonych burżujów.

Ktoś polecił go jako ordynansa Wiaczesławowi Mienżyńskiemu, pierwszemu zastępcy wszechwładnego Feliksa Dzierżyńskiego, twórcy WCzK. Po śmierci Dzierżyńskiego Mienżyński został przewodniczącym GPU. Choroba kręgosłupa przykuła go do kanapy, na której pracował i odpoczywał. Niedoszły Figaro z Budapesztu strzygł go, golił i rozśmieszał.

Wpływ Paukera rósł, Wiaczesław Mienżyński uczynił go naczelnikiem Wydziału Operacyjnego GPU. W tym czasie umarł Włodzimierz Lenin, którego ciężko zraniła w zamachu na wiecu w Moskwie Żydówka Fania Kapłan. Po śmierci Lenina Wiaczesław Mienżyński wyznaczył Paukera odpowiedzialnym za życie Józefa Stalina i mianował szefem ochrony Kremla. To stanowisko piastował dotąd rodak Fani Kapłan, Abram Bieleński.

Przed zamachem ochrona Włodzimierza Lenina składała się z dwu funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa. Po zamachu została podwojona. Kiedy władzę w partii objął Józef Stalin, zażądał dla siebie ochrony zwiększonej wielokrotnie. Polecił Paukerowi zmobilizowanie kilku tysięcy tajnych współpracowników, którzy odtąd czuwać mieli nad jego życiem.

Błazen Józefa Stalina.

Stalin miał do Paukera nieograniczone zaufanie. Być może wpłynęły na to aktorskie zdolności fryzjera budapeszteńskiej operetki i sztuczki, którymi rozbawiał dyktatora. Samowładca śmiał się rzadko. Pauker doprowadzał go do paroksyzmów śmiechu. Umiał naśladować członków Biura Politycznego. Opowiadał wulgarne dykteryjki i anegdoty antysemickie, które Stalin uwielbiał.

Potrafił dostrzec słabostki Józefa Stalina, zwłaszcza jego kompleksy, związane z niskim wzrostem. Kiedy zauważył, że Stalin przygląda się dociekliwie swemu odbiciu w lustrze i z lubością gładzi wąsy, wydedukował, że gospodarzowi Kremla zależy na upiększeniu wyglądu osobistego. Najpierw zadbał o jego garderobę. Tu przydało się Paukerowi doświadczenie teatralne. Zaprojektował dla Stalina miękkie wysokie buty typu kaukaskiego z bardzo wysokimi obcasami, ukrytymi częściowo w cholewach. Józef Stalin urósł w ten sposób o kilka centymetrów (a mierzył zaledwie 163 cm). Potem Pauker wpadł na pomysł, aby Stalin chodził w sięgającym niemal do kostek żołnierskim szynelu, co także „wydłużało" jego wzrost. Wreszcie w czasie defilad i uroczystości na Placu Czerwonym, które Stalin obserwował z trybuny Mauzoleum Lenina, podstawił mu pod nogi drewniany podest, dzięki czemu wszyscy sądzili, iż Stalin jest co najmniej średniego wzrostu.

Pauker zwrócił także uwagę, że Stalin wygląda źle. Jak wiadomo, miał na twarzy ślady po ospie. Nie potrafił dobrze wygolić drobnych włosków w pobliżu blizn. Czyniło go to jeszcze bardziej dziobatym. Kiedy dowiedział się, że Pauker jest z zawodu fryzjerem, dopuścił go do siebie z brzytwą. Przedtem nie dowierzał żadnemu cyrulikowi.

Figaro z Kremla był mistrzem w swoim fachu. Miał też dodatkową zaletę. Dotrzymywał Józefowi Stalinowi towarzystwa przy butelce. Wtedy Stalin ukrywał jeszcze skłonności do alkoholu. Później rozpijał otwarcie członków Biura Politycznego, a nawet zagranicznych gości.

Przez żołądek do serca.

Po jakimś czasie Pauker spoufalił się z Józefem Stalinem do tego stopnia, że zaczął ingerować w jego menu. Schlebiał przy tym gustom generalnego sekretarza, a nie próbował ich zmieniać. Stalin lubił śledzie. Jadał duże ilości niezbyt wyrafinowanych w smaku śledzi rosyjskich. Pauker zamówił dla niego za granicą śledzie niemieckie, zwane „Gabelbissen". Pasowały znakomicie do rosyjskiej wódki.

Przez ręce Paukera zaczęło przechodzić całe zaopatrzenie rodziny Józefa Stalina. Bez jego wiedzy na stole wodza nie mogło pojawić się żadne jadło. Potem Pauker zaczął decydować, kogo można dopuścić, a kogo nie przed oblicze Stalina. Dotyczyło to zarówno mieszkania na Kremlu, jak i daczy pod Moskwą. Kiedy Stalin nocował na daczy dotrzymywał mu towarzystwa i przywoził około południa na Kreml (Stalin w nocy bezsadował przy obficie zastawionym stole, spał kładł się nad ranem).

Gdy Stalin zajmował miejsce przy biurku, Pauker składał raport Wiaczesławowi Mienżyńskiemu i Henrykowi Jagodzie o tym, jak przeszła miniona doba. Dzielił się ze swymi zwierzchnikami z GPU wiadomościami oraz plotkami o otoczeniu Stalina.

W 1932 lub 1933 roku Józef Stalin odsłonił przed najbliższymi ludźmi z aparatu bezpieczeństwa jeszcze jedną ze swych słabostek. Do Moskwy przyjechał wówczas rezydent radzieckiego wywiadu w Pradze Smirnow (prawdziwe nazwisko Glinski). Po wysłuchaniu jego raportu naczelnik Zarządu Zagranicznego GPU Słucki kazał rezydentowi porozumieć się z Paukerem, który ma dla niego poufne zadanie. Pauker zastrzegł na wstępie, że rozmowa między nimi nie może być nikomu powtórzona. Wyjął z szafy pancernej album rysunków pornograficznych autorstwa niejakiego S., który po rewolucji znalazł się za granicą. Część jego prac znajdowała się w Czechosłowacji w rękach emigrantów rosyjskich. Polecił, aby Smirnow odkupił je przez pośredników i potajemnie dostarczył do ambasady ZSRR w Pradze, skąd z kurierem dyplomatycznym miały powędrować do Moskwy.

— *Pieniędzy nie należy żałować* — zaznaczył Pauker. Rezydent wywiadu ZSRR, członek partii z przedrewolucyjnym stażem, wychowany w rodzinie ideowych komunistów, poczuł się dotknięty takim poleceniem i złożył raport na Paukera u swojego zwierzchnika. Jednakże Słucki rozłożył ręce. Wyznał, że rysunki te pragnie posiadać gospodarz.

Również zastępca ludowego komisarza spraw wewnętrznych Agranow i przyjaciel Jagody, nazwiskiem Szacki, skupowali w krajach Zachodu i Wschodu podobne rysunki dla Stalina.

Stalin przyznał Paukerowi sześć odznaczeń za wierną służbę, wśród nich Order Lenina. Podarował mu dwa luksusowe samochody: kabriolet „Lincoln" i limuzynę „Cadillac". Pauker był człowiekiem ekspansywnym i wiele epizodów z życia Stalina opowiedział przyjaciołom. Nie zdawał sobie sprawy, że w ten sposób dyskredytuje nieposzlakowanego wodza. Uwielbiał Stalina do tego stopnia, że przestał oceniać jego postępowanie miarą stosowaną wobec śmiertelników. Ulubieniec Stalina sądził, że on, szef ochrony Kremla, znajduje się poza zasięgiem intryg plecionych przez osoby z najbliższego otoczenia patrona.

Pamiętne przyjęcie u Józefa Stalina.

20 grudnia 1936 roku, w dziewiętnastą rocznicę powołania do życia WCzK, przekształconej potem w GPU, a następnie w NKWD, Józef Stalin wydał przyjęcie dla kierownictwa resortu bezpieczeństwa. Zaprosił na nie Nikołaja Jeżowa (Henryk Jagoda był już w niełasce), Paukera i innych wysokich rangą funkcjonariuszy Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych. Kiedy goście porządnie popili, Pauker odegrał scenę rozstrzelania Grigorija Zinowiewa.

Grigorij Zinowiew, członek ścisłego kierownictwa partii bolszewickiej w okresie Rewolucji Październikowej, za życia Lenina i przez pewien czas po jego śmierci członek Biura Politycznego RKP(b) i WKP(b) oraz przewodniczący Międzynarodówki Komunistycznej, początkowo wraz z Lwem Kamieniewem i Józefem Stalinem zwalczał Lwa Trockiego. Należał do triumwiratu, kierującego państwem, kiedy Stalin szykował się do objęcia schedy po Leninie. Później sprzymierzył się z Trockim przeciwko Stalinowi. W 1927 roku za działalność frakcyjną został usunięty z partii. Złożył samokrytykę i odzyskał legitymację partyjną. W 1932 wydalony ponownie jako organizator frakcyjnych rozgrywek. W 1934 roku został aresztowany pod zarzutem antypaństwowej działalności. Skazano go na śmierć jako jednego z rzekomych organizatorów zamachu na Siergieja Kirowa.

Partyjna propaganda przedstawiała go jako człowieka, przygotowującego zabójstwa innych członków Komitetu Centralnego i rządu radzieckiego, dwulicowca, najemnika faszyzmu. W „Krótkim kursie historii WKP(b)" można przeczytać:

„W roku 1935 stało się jasne, że grupa zinowiewowska jest zamaskowaną organizacją białogwardyjską, która całkowicie zasługuje na to, żeby z jej członkami postępować tak samo, jak z białogwardzistami".

Zinowiew został rozstrzelany 25 sierpnia 1936 roku. Pauker był świadkiem jego egzekucji. Teraz odegrał rolę Zinowiewa w ostatnich minutach jego życia. Uwiesił się na ramionach dwu uczestników libacji, powłócząc nogami i skomląc jak pies. Wleczony przez nich padł na kolana i w przerażeniu zawył:

— *Towarzysze, na Boga, wezwijcie Józefa Wissarionowicza!*

Józef Stalin oglądając to przedstawienie zanosił się od śmiechu. Pijane towarzystwo żądało powtórzenia spektaklu. Tym razem Stalin śmiał się jak szalony, chwytając się za brzuch. A kiedy Pauker zmienił przedśmiertne jęki Zinowiewa i wznosząc ręce ku sufitowi zawołał:

— *Usłysz mnie, Boże Izraela, nasz Boże, Boże jedyny!*

Stalin zaczął dławić się i gestami dawać znaki, żeby zaprzestał.

Ostatnia rola.

Niedoszły aktor budapeszteńskiej operetki miał wkrótce odegrać ostatni spektakl we własnym życiu, niewiele odbiegający od realiów, które tak plastycznie przedstawił. W 1937 roku, kiedy władzę w NKWD przejął Nikołaj Jeżow, zmieniona została cała ochrona Kremla, nie wyłączając jej szefa, Paukera. Wkrótce człowiek, który przez piętnaście lat ochraniał życie Józefa Stalina, podzielił los Henryka Jagody, ponieważ — podobnie jak on — za dużo wiedział o zakulisowym życiu wodza. W marcu 1938 roku na procesie w Moskwie Henryk Jagoda zeznał, że Pauker był niemieckim szpiegiem. Wyrok śmierci wykonano na obydwu.

Tak zwany trzeci proces moskiewski zlikwidował *„resztki trockistowskich i bucharinowskich szpiegów, szkodników i zdrajców ojczyzny"* (określenie „Krótkiego kursu historii WKP(b)". Figaro z Budapesztu odśpiewał ostatnią arię. Węgierski Szwejk nie doczekał się książki o swoim przedziwnym wzlocie i upadku. Jurij Boriew, autor zbioru relacji, anegdot i legend, wydanego niedawno w Polsce pod tytułem „Prywatne życie Stalina", poświęca mu zaledwie siedem wierszy i zniekształca nazwisko na Pikel. Były generał NKWD Aleksander Orłow, który uciekł ze Związku Radzieckiego podczas wojny domowej w Hiszpanii, w swoich wspomnieniach, drukowanych przez amerykańskie pismo „Life" w 1953 roku, nie podaje imienia Paukera. Stalin miał zwyczaj zwracania się do usługujących mu ludzi po nazwisku, bez słowa „towarzysz", a tym bardziej bez wyrażającego szacunek „imienia-otczestwa". Nawet kiedy mianował ich generałami. Ludzie z jego otoczenia przejmowali nawyki samowładcy. Tak więc człowiek, którego lokata w najbliższym otoczeniu wodza dawała się przyrównać do pozycji członków Biura Politycznego, pozostał w pamięci wyższych funkcjonariuszy NKWD jedynie jako Pauker.

Aleksander Orłow przytacza w „Tajnej historii zbrodni stalinowskich" rozmowę, jaką miał latem 1937 roku w paryskiej kawiarni z agentem Zarządu Zagranicznego NKWD, niejakim G. Był to przyjaciel Paukera, także Węgier. Ponieważ do Paryża dotarły wieści o aresztowaniach ludzi z otoczenia Henryka Jagody, generał Aleksander Orłow zapytał: — *Jak tam Pauker, czy wszystko u niego w porządku?*

— *Jak możesz* — oburzył się Węgier. — *Pauker dla Stalina to więcej niż przyjaciel... On mu jest bliższy niż brat.*

Generał od szaszłyków.

W galerii postaci, podobnych do Paukera, które znalazły się z mocy przypadku lub kaprysu samowładcy w jego najbliższym otoczeniu, dość szczególną rolę spełniał człowiek bliżej nie określonej narodowości kaukaskiej, którego Nikita Chruszczow nazwał „szaszłykarzem", a Ławrientij Beria „kupczykiem".

Jego postać kreśli Nikita Chruszczow we „Wspomnieniach", które w ubiegłym roku drukował tygodnik „Ogoniok". W rozdziale, zatytułowanym „Agonia", pisze:

„Po wojnie, kiedy zacząłem spotykać się ze Stalinem często, zauważyłem, że Stalin coraz bardziej nie dowierza Berii. Więcej niż nie dowierzał boi się go."

Stalin zaczął podejrzewać, że Ławrientij Beria wcisnął w jego otoczenie zbyt wielu swoich ludzi i pewnego dnia zrobi z nim to, co dotąd na jego polecenie robił bez zmrużenia oka z innymi.

„Kiedy pewnego razu zebraliśmy się u Stalina, rzuciło mi się w oczy, że z obsługującego go personelu zniknęli wszyscy Gruzini — kontynuuje Chruszczow. — *Pozostali wyłącznie Rosjanie"*.

Przed wojną w domu Stalina na Kremlu i na jego daczach służba składała się tylko z Rosjan. Gruzinów ściągnął Ławrientij Beria. Stalin pewnego razu, w czasie obiadu, warknął:

— *Skąd ich się tutaj tylu wzięło?*

Zniknął wtedy, podobnie jak Pauker, ów szaszłykarz, przypominający z wyglądu Gruzina, który w czasie wojny zastąpił cyrulika z Budapesztu jako kompan Stalina do kieliszka. Zadbał należycie o spiżarnię wodza i zaopatrzenie jego stołu, ściągał z Kaukazu najlepszą baraninę na szaszłyki, wykwintne wina. Piekł osobiście na rożnie ulubiony przysmak samowładcy. Stalin, podobnie jak Paukerowi, nie skąpił mu swoich łask.

„Byłem zdumiony i oburzony — wyznaje Chruszczow — *kiedy pewnego razu zobaczyłem szaszłykarza w mundurze generalskim. Generał major!* (stopień odpowiadający generałowi brygady — R.B.). *Wojnę zakończył w stopniu generała-lejtnanta* (generała dywizji — R.B.)".

Nikita Chruszczow przyjechał z frontu, gdzie dosłużył się dwu gwiazdek generalskich. Nic dziwnego, że ów szaszłykarz tak zapadł mu w pamięć. Za każdym przyjazdem z linii walk Nikita Chruszczow dostrzegał nowe ordery na mundurze „generała od szaszłyków", który zamiast prochu wąchał jedynie dym z ogniska i zapach przypieczonej cebuli.

W obecności szaszłykarza Józef Stalin rugał i poniżał członków Biura Politycznego. Jego faworyt był świadkiem rozmów najwyższego kierownictwa, które miały charakter poufny i stanowiły tajemnicę państwową. Józef Stalin za stołem nie jadł i nie pił, dopóki ktoś z obecnych nie spróbował podanych dań lub nie zakosztował wina z otwartej przy nim butelki. Zapewne kiedy gości nie było, funkcję królika doświadczalnego spełniał jego majordomus.

Nie miał on jednak takiego wpływu na Józefa Stalina jak Pauker. Szefem ochrony samowładcy był wówczas generał Własik. Tego pozbył się w 1952 roku pod pretekstem przewyższenia preliminarza wydatków na ochronę.

Tak kończyły się kariery ludzi Stalina mniejszych niż członkowie Biura Politycznego. Za cząstkę władzy, prezenty, tytuły i odznaczenia oddawali życie lub ginęli bez wieści. Stalin uważał, że nie należy mieć zbyt wielu przyjaciół.

Mawiał:

— *Nie ma władzy i sławy bez krwi.*

Ulubioną jego przypowieścią była wschodnia historyjka o żmii, uciekającej przed pożarem, którą uratował dobry starzec. Żmija natychmiast zaczęła go dusić. — *Za co?* — zdumiał się dobroczyńca. Żmija odrzekła: — ***Bo na tym świecie nikt dobrem za dobro nie płaci.***

Pałac cesarza w Bangkoku

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Co się dzieje w gospodarce? (1)

Fabryki na sprzedaż

Wystawiamy łódzkie przedsiębiorstwa na sprzedaż.

Pieniądze ze sprzedaży wpłyną do budżetu, ubędzie gorącego pieniądza na rynku. Co nie mniej istotne, zakłady zmienią swego właściciela, bo własność państwowa okazała się nader enigmatyczna.

Wielu chętnych znalazłoby się na łódzki „Polmos", bo „Polmos" daje produkcję największej wartości, przy majątku ośmiokrotnie mniejszym niż ten, który składa się na „Uniontex". Tąkiej wyprzedaży jednak się nie przewiduje.

Według dotychczasowych wycen majątek „Uniontexu" wart jest ponad 25 mld zł, a jeszcze większy przypisano zgierskim ZPB „Boruta" — bez mała 30 mld zł. Nic więc dziwnego, że rząd premiera T. Mazowieckiego myśli o zmianie właściciela w pierwszej kolejności dla przedsiębiorstw małych i średnich. Z reguły są efektywniejsze, a mniejsza wartość majątku daje szanse znalezienia nowych chętnych na właściciela.

Sądząc po wynikach badań opinii społecznej, polscy robotnicy zdecydowanie opowiadają się za zmianami własnościowymi, ale przyzwolenie na te zmiany w wąskim zakresie dotyczy „czystej" prywatyzacji (takiej, jaką widzieliby liberałowie, zwłaszcza spod znaku **Janusza Korwina-Mikke**). Jest więc szerokie przyzwolenie na akcjonariat pracowniczy. Na spółki akcyjne, których akcjonariuszami są także pracownicy. Z akcji czerpią zyski, w postaci dywidendy, ale dzięki ich posiadaniu zachowują znaczący wpływ na decyzje o losach przedsiębiorstwa zamienionego w spółkę.

Frapujące jest pytanie, które z naszych przedsiębiorstw może być „wykupione" przez swych pracowników. Można przygotować listę rankingową, wyliczając jaką część majątku musiałby wykupić każdy pracownik zatrudniony w danej firmie, aby dotychczasowa załoga zamieniła się we właścicieli. Myślę, że będzie to interesujące zestawienie, bo wiele rad pracowniczych zastanawia się nad takimi przemianami.

Oto „najtańsze" przedsiębiorstwa miasta i województwa wybrane spośród 75 największych pod względem wartości produkcji, a związane z przemysłem przetwórczym.

Najmniej musiałby zapłacić każdy statystyczny pracownik **„Progalu"**, bowiem — 490 tys. zł. Jest to jednak o tyle nietypowa firma, że w produkcji swej bazująca na chałupnictwie. Inne firmy, zestawione w kolejności, są bardziej reprezentatywne dla takich rozważań:

ZZPO „Wólczanka" — 850 tys. zł,
ZPO „Emfor" — 860 tys. zł,
ZPO „Zeta" — 1 mln 50 tys. zł,
ZPO „Próchnik" — 1 mln 70 tys. zł,
ZPK „Latona" — 1 mln 360 tys. zł,
ZPDz „Delta" — 1 mln 450 tys. zł,
ZPDz „Dresso" — 1 mln 570 tys. zł,
ZPDz „Femina" — 1 mln 660 tys zł,
Łódzkie Fabryki Mebli — 1 mln 990 tys. zł,
ŁFK „Fako" — 2 mln 10 tys. zł,
ZPP „Zenit" — 2 mln 120 tys. zł,
FK „Pollena-Ewa" — 2 mln 130 tys. zł,

Pośród takich mamy jeszcze **ZPP „Zenit"**, **ŁZPS „Skogar"** czy kilka innych, także — **Okręgowe Przedsiębiorstwo Przemysłu Mięsnego.**

Odnotujmy dla zaspokojenia ciekawości, kto znalazł się na przeciwnym biegunie. „Najdroższe" są **ZPB „Boruta"** — gdzie na pracownika przypadałoby — 12,6 mln zł. W dalszej kolejności mamy **ZPDz „Bistona"**, **ZWCh „Chemitex-Anilana"**, **Pabianickie Zakłady Tkanin Technicznych** czy **ZTK „Teofilów"**.

Zdając sobie sprawę z tego, że w wielu przedsiębiorstwach toczy się już spór o przyszłość własnościową, specjalnie zestawiłem powyższe dane, licząc, że tym bardziej ożywi to pożyteczne „awantury".

Nie dziwi inna reakcja. Zwątpienie w to, że przedsiębiorstwa mogą być wykupione przez pracowników, skoro w przypadku „taniej" nawet „Wólczanki" na każdego pracownika przypada majątek wartości 850 tys. zł i trudno wymagać, aby wszyscy zgodnie zdobyli się na taki wysiłek finansowy. Przecież w skali kraju ocenia się, że Polacy mogliby wykupić 3—7 proc. majątku przedsiębiorstw państwowych. Nie jesteśmy tak bogaci!

Istnieją metody tworzenia spółek akcyjnych, aby ich udziałowcem oprócz pracowników był także skarb państwa.

Problem w tym, że tak naprawdę, to niewiele wiemy o rzeczywistej wartości majątku przedsiębiorstw. W każdym zakładzie sąsiadują ze sobą maszyny kupione w różnych latach, przy cenach wynikających z inflacji, a wartość majątku powstawała przez arytmetyczne zsumowanie, a i tak jest zbyt nisko oszacowany. Gdy zakład wyprzedaje kilka swych maszyn czy ciężarówek na przetargu zyskuje o wiele więcej złotówek.

Nie dziwmy się więc, że konieczne jest rzetelne ocenianie majątku firm państwowych. Poczynione próby przekształceń, przy braku aktualnej wyceny majątku były drogą do nadużyć. Nowa wycena majątku utrudni jednak wykupywanie akcji przez pracowników. Trzeba stworzyć zasady sprzyjające przemieniom własnościowym dokonywanym z udziałem pracowników (pewne, ale skromne propozycje zawiera każda kolejna wersja projektu specjalnie w tym celu przygotowywanej ustawy o prywatyzacji).

Jakie przedsiębiorstwa warto przejmować z myślą o przyszłych zyskach, które mogą wynikać z posiadania akcji.

Przedsiębiorstwa bardzo różnią się osiąganym zyskiem, przypadającym na jednego pracownika sfery produkcyjnej. Tu znów od kilku lat „czołówkę" tworzą te same firmy. Największy tak przeliczony zysk osiągany jest w pabianickiej **„Polfie"**. Także w **„Polmosie"**, który z rozważań trzeba wyłączyć, pomimo pełnej świadomości, że koszty produkcji alkoholu są niewielkie, choć jego cena w sklepie już wysoka. Dalej mamy więc **Łódzkie Zakłady Piwowarskie**, **ŁZCh „Organika"**, **FK „Pollena-Ewa"**, **ŁFK „Fako"**. O tym, jak dalece różna bywa kondycja finansowa firm, niechaj świadczy fakt, że po przeciwnej stronie znalazły się też przedsiębiorstwa przemysłu lekkiego, takie jak **„Olimpia"**, **„Uniontex"** czy **„Poltex"**, gdzie ten zysk jest najmniejszy. Z możliwością swobodnego kształtowania cen bywało różnie, ale nie wszystko da się tym wytłumaczyć. Swój majątek produkcyjny przedsiębiorstwa potrafiły wykorzystać bardzo różnie, co jest jeszcze jednym potwierdzeniem opinii, że zmiany form własności mogą sprzyjać wykorzystaniu rezerw.

Pośród „najtańszych" przedsiębiorstw i zarazem osiągających najwyższe zyski wymieniłem **Fabrykę Kosmetyków „Pollena-Ewa"** i **Łódzką Fabrykę Koronek „Fako"**. Ale chyba nie tylko te firmy mają szanse na „odpaństwowienie". Jest o czym dyskutować, o co się spierać. Najbliższe miesiące powinny rozważaniom tym przydać wiele emocji. Aplauzu i sprzeciwów. Ale i efekty minionych miesięcy godne są opisania.

ZBIGNIEW GRZEGORZEWSKI

Połączył ich ten sam los

ze str. 1

o program w niej chodzi. Najważniejsze dla jednych i drugich — kandydatów i wyborców zdaje się być pytanie:

— Skąd pochodzisz? Jakiej jesteś narodowości? Odpowiedź na nie zadecyduje o wynikach wyborów.

Kim są mieszkańcy Śląska Opolskiego?

Większość z nich to Ślązacy, z których co trzeci podkreśla swe niemieckie pochodzenie. Sporą grupę stanowią osadnicy ze Wschodu oraz ludność napływowa z centralnych dzielnic Polski. Niedzielne wybory — to nic innego jak opowiedzenie się mieszkańców Śląska Opolskiego za śląskością bardziej polską (prof. Simonides) lub też bardziej niemiecką (Henryk Król). To po prostu plebiscyt.

Kim są kandydaci?

Dorota Simonides jest profesorem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, wykładowcą uniwersytetów w Poznaniu, Wrocławiu oraz opolskiej filii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, w latach 1987—88 także Uniwersytetu w Getyndze. Urodziła się w 1928 roku jako jedno z siedmiorga dzieci górnika z Janowa k. Katowic, w rdzennej śląskiej rodzinie. W tych wyborach jest kandydatką Komitetu Obywatelskiego. Do NSZZ „Solidarność" wstąpiła w 1980 roku. W latach 1980—85 była posłanką na Sejm z ramienia SD. Jako jedyna z posłów nie akceptowała wyboru gen. Wojciecha Jaruzelskiego na premiera wstrzymując się od głosu. Uważała, że połączenie funkcji premiera i ministra obrony narodowej może wywołać groźne następstwa. Po wprowadzeniu stanu wojennego wielokrotnie interweniowała w sprawach osób internowanych. 9.X.1982 r. została usunięta z Klubu Poselskiego SD wraz z czterema innymi posłami i postawiona przed sądem partyjnym. Wystąpiła z SD w 1984 roku. Od 1947 r. związana jest z Opolem. Studia polonistyczne i etnograficzne ukończyła na Uniwersytecie Jagiellońskim. W latach pięćdziesiątych była nauczycielką w Szkole Podstawowej w Kędzierzynie. Od 1957 r. — nauczyciel akademicki WSP w Opolu. Jest wybitną znawczynią folkloru śląskiego, kierownikiem jedynej w Polsce Katedry Folklorystyki, autorką popularnych książek dla dzieci i młodzieży. Jest osobą bardzo znaną na Opolszczyźnie.

Kto ją poprze w niedzielnych wyborach?

Ona sama liczy przede wszystkim na Ślązaków — mieszkańców opolskich miast, zwolenników „Solidarności" w tym regionie. Swój głos na profesor Simonides oddadzą wszyscy ci, którzy obawiają się coraz aktywniejszej i głośniejszej działalności niemieckiej mniejszości na Śląsku — tzw. Śląskich Niemców. Głosować na nią będą po prostu — Polacy.

Henryk Król, lat 41, jest weterynarzem, studia ukończył na Uniwersytecie Wrocławskim. Bardzo trudno do niego dotrzeć. Wszyscy tu o nim mówią, ale prawie nikt nie potrafi wskazać drogi do jego domu. W końcu okazuje się, że mieszka 25 km od Opola, między Krapkowicami a Otmętem.

— Polskich dziennikarzy dociera do mnie niewielu, lecz na brak zainteresowania moim programem, moją ideą nie mogę narzekać — mówi Henryk Król. — **Przyjeżdżają tu do mnie reporterzy z całego prawie świata — byli z „Timesa", z „Le Figaro" nie mówiąc już o niemieckim „Sternie" czy „Spiegelu". Właśnie oczekuję wizyty Konsula Generalnego NRD.**

Rozmowę rozpoczynam od wyjaśnienia kontrowersyjnej dość kwestii — kwestii pochodzenia kandydata na przedstawiciela polskiego Senatu. Polak czy Niemiec? — **Jestem Niemcem, czuję się Niemcem** — pada odpowiedź. — **Ale równocześnie jestem obywatelem polskim. Widzi pani, z narodowością się człowiek rodzi, a obywatelstwo sobie wybiera. Niemiecki Ślązak — to chyba najlepsze określenie wyjaśniające mój rodowód.**

Król czy Kroll?

— Mój ojciec nazywa się Johan Kroll, takie samo nazwisko nosił ojciec mojego ojca. Ja mam dziś 41 lat, urodziłem się już w Polsce Ludowej i podobnie jak wielu innym niemieckim dzieciom nadano mi spolszczone nazwisko. Król zamiast prawdziwego — Kroll. Tak, bardzo możliwe, że uda mi się powrócić do nazwiska moich przodków. Tu, na Śląsku istniał po wojnie wykaz imion, które można było nadawać dzieciom. Rodzice chcieli nazwać mnie Heinz, ale musieli ustąpić, i wybrać imię bardziej polskie — Henryk. W domu wszyscy mówili na mnie Heinz, do dziś tak nazywa mnie mój ojciec i większość znajomych.

Jak żyło się opolskim Ślązakom pochodzenia niemieckiego po wojnie?

— Jako pierwsi wkroczyli na te tereny Rosjanie. Wymordowali wielu mieszkańców. Mścili się na Niemcach jak tylko mogli. Jeden z moich dziadków został tu przez nich zamordowany, drugi — zmarł na Syberii. Potem przyszli Polacy — szabrownicy. A po nich to już polskie władze.

Na tych terenach, od linii Nysy Łużyckiej na wschód odbywała się tzw. weryfikacja. Ślązacy musieli opowiedzieć się, zdecydować jakiej są narodowości. Wtedy wielu Niemców, pod przymusem oczywiście, przyznało się do polskości. Ci, którzy wyznali oficjalnie, że są Niemcami — musieli wyjechać, ale zanim to nastąpiło trzeba było jeszcze przejść obóz w Łambinowicach. Pewnie pani o nim słyszała? Te rodziny, które zadeklarowały swoją polskość, mogły przetrwać. Wielu Niemców znało dobrze gwarę śląską — mieli więc szansę zostać w swoich domach. Następny etap — to okres bezwzględnej walki z niemczyzną na tych terenach. Zwalczano niemiecki język — podsłuchiwano pod oknami, likwidowano niemieckie napisy. Po domach chodziły specjalne komisje, rekwirowały wszystkie sprzęty, przedmioty, które miały jakikolwiek związek z naszą prawdziwą ojczyzną. Srogo karano nawet tych, u których znaleziono puszki — naczynia kuchenne z napisami w języku niemieckim np. Salz, Zucker. Likwidowano niemieckie napisy na nagrobkach, pomniki z I wojny. Dzieciom — jak już mówiłem — nadawano spolszczone nazwiska, inne niż te, które nosili ich rodzice. Wyniknęło z tego wiele nieporozumień. Dziś jeszcze ludzie skarżą się, że nie mogą udowodnić pokrewieństwa z własnym ojcem, siostrą czy bratem. No bo jak, kiedy każdemu z nich nadano zupełnie inne nazwisko. Do wczoraj, a nawet można powiedzieć — do dziś trwa w Polsce kampania antyniemiecka. Świadczą o tym choćby te złe, tendencyjne artykuły w gazetach.

— Ale wy umiecie się przecież bronić. W 1984 r. powstał na Śląsku Opolskim pierwszy Deutsche Freundschaftkreis (Niemiecki Krąg Przyjaciół).

— Takie organizacje były zakładane nawet wcześniej. Ich członkowie dążyli przede wszystkim do ułatwienia Ślązakom wyjazdu. I powiodło się, wielu działaczy rzeczywiście do RFN wyjechało. Tak było na początku. Teraz program powinien być i jest zupełnie inny. Trzeba powstrzymać falę uchodźstwa, a wręcz zachęcić do powrotu tych Ślązaków, którzy już wyemigrowali.

— Podobno zebraliście — pan i pana ojciec — setki tysięcy podpisów osób pochodzenia niemieckiego w samym tylko województwie opolskim?

— Ja. To prawda — odpowiada przysłuchujący się do tej pory rozmowie Johan Kroll. **— Była to lista ludności pochodzenia niemieckiego podpisana świadomie i bez przymusu. Zebraliśmy ponad 250 tys. podpisów. Mają one świadczyć o tym, że żyjemy, że istniejemy.**

— Czy to prawda, że ci ludzie, którzy złożyli podpis na waszej liście otrzymują 70 DM miesięcznie? Spotkałam się z takim zarzutem.

— To bzdura. Są to zapewne słowa doc. Marka z Opola, który twierdzi, że Kroll ma miliony i płaci ludziom za podpisanie listy. Zapewniam panią, że ani ja, ani mój syn owych milionów nie posiadamy. A podpisów byłoby jeszcze więcej, lecz my już dawno zakończyliśmy tę akcję.

— O co będzie pan walczył — jeśli zostanie pan senatorem? — zwracam się z pytaniem ponownie do Henryka Króla.

— Pierwsza, najważniejsza dla mnie sprawa to — upodmiotowienie Ślązaków. Wszędzie tam, gdzie mieszkają mają być najważniejsi. Powinni mieć swojego prawdziwego przedstawiciela i obrońcę. I ja chcę nim być. Chcę walczyć i walczę o to, abyśmy mogli mówić i modlić się w języku naszych serc. Jeśli to zostanie spełnione, to my śląscy Niemcy będziemy mogli poczuć, że wreszcie jesteśmy u siebie. Druga sprawa, do której pragnę dążyć to prawdziwa integracja mieszkańców opolszczyzny, niezależnie od tego, skąd kto pochodzi. Pani się dziwi? Chodzi o to, żebyśmy się porozumieli tu, w tym województwie. Większa część to jednak Polacy — choćby ze Wschodu. Myśmy się do tej pory rozumieli (znowu się pani dziwi?), tym bardziej rozumieli, że łączy nas ta sama krzywda. Naszych krewnych, naszych znajomych stąd kiedyś wypędzono — a tych ludzi tu przypędzono, zmuszono do opuszczenia ich własnych domów. Łączy nas więc ten sam los. I wszystko byłoby dobrze, ale pomiędzy nami kryją się podjudzacze. Przez 40 lat Niemcy — to byli ci najgorsi. Eksponowano jedynie nasze złe cechy i postępki. Straszak niemiecki wyciągany był przy każdej okazji, przy każdym kryzysie. Jakie to niesprawiedliwe! To przecież my byliśmy najlepszymi obywatelami tego kraju! Daliśmy temu dowód naszą pracą. I to nie tylko w gospodarce, ale i w krzewieniu pokoju. W innych regionach były strajki, a my siedzieliśmy cicho.

— **Jakie jest panów zdanie** nt. przyszłości polskiej granicy zachodniej?

— Jesteśmy realistami, wiemy, że nie ma powrotu do dawnych granic. Tylko człowiek bez wyobraźni chciałby tego. My, Niemcy dążymy do likwidacji granic, do budowy wspólnego, europejskiego domu. Oczywiście, zdajemy sobie sprawę, że jest to perspektywa bardzo odległa. Tak, nasza najbliższa rodzina mieszka w Republice Federalnej Niemiec.

— Pana żona jest Polką?

— Owszem. To jeszcze jeden przykład udowadniający, że chodzi mi o łączenie tych dwóch narodów. Dlatego się z nią ożeniłem!

Pani Król jest niezadowolona, że jej mąż bierze udział w wyborach.

— Mam nadzieję, że nie zostanie senatorem — stwierdza. **— Nazywamy się Król. O żadnym innym nazwisku nie chcę słyszeć. Wyszłam za Króla, a nie za Krolla!**

Odmiennego zdania jest ojciec kandydata na senatora. Ucieszyłby się bardzo z sukcesu syna. Stanowisko synowej ocenia negatywnie: **— Jej cel jest bardzo egoistyczny!**

Johan Kroll, lat 71, rolnik z Gogolina, emeryt, były żołnierz Wehrmachtu — jest bardzo zaangażowany w działalność na rzecz opolskiej mniejszości niemieckiej.

— Dążymy do oficjalnej rejestracji Stowarzyszenia Kulturalno-Społecznego Mniejszości Niemieckiej na Śląsku Opolskim. To sprawa najbliższej przyszłości. Kandydaci na członków Stowarzyszenia będą musieli wypełnić szczegółową ankietę. Nie każdy zostanie przyjęty. Teraz trzeba będzie swą niemieckość udowodnić!

— Czy pana wnukowie, dzieci pana Henryka mówią po niemiecku równie dobrze jak ich dziadek i ojciec?

— Nein. Niestety. Ja i Heinz bardzo się staramy, ale one mają trudną sytuację. Ich matka jest przecież Polką.

Co się wydarzy w Opolu? Kto zwycięży?

Zdania na ten temat są podzielone:

— Tylko Simonides! Tylko „Solidarność" — mówi taksówkarz z Opola.

— Pan Heinz Kroll wygra. Musi wygrać! — mieszkaniec Gogolina.

— Tu nie ma żadnej mniejszości niemieckiej! Jak się czują Niemcami, to niech jadą do Niemiec. Tu już jest 45 lat Polska! — mówi mieszkanka Krapkowic.

Nastroje wśród Polaków — mieszkańców Śląska Opolskiego radykalizują się. Obiecują głosować **„przeciwko Niemcowi"** nawet ci, którzy do tej pory wcale się wyborami nie emocjonowali. Niemcy nie pozostają im dłużni. Oni już od dawna działają tu solidarnie. Są pewni swoich racji. Wszyscy z niecierpliwością oczekują na wyniki niedzielnego plebiscytu. Po raz kolejny pada trwożne pytanie: **— Kto wygra na Śląsku Opolskim, Polak czy Niemiec?**

MARZENA MRÓZ

PS. Senatorem została prof. Dorota Simonides. Otrzymała przeszło 67 procent wszystkich oddanych głosów.

M.M.

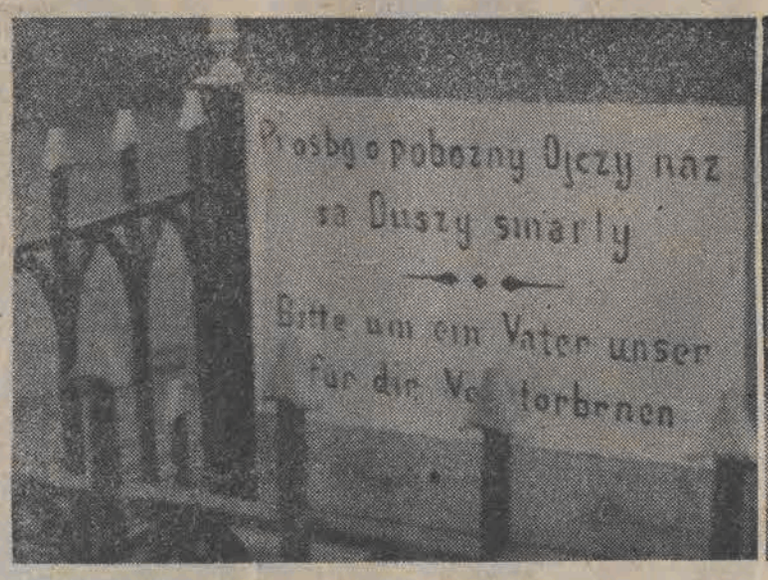

Foto: Marzena Mróz

BEŁCHATÓW: — Walka o zmianę dyrektora w Kopalni Węgla Brunatnego.

Sezon na krytykę

MONIKA MATUSZAK
MAREK JUŚKIEWICZ

Collage: Grzegorz Gałasiński

Przybywających do Kopalni Węgla Brunatnego „Bełchatów" witają rozwieszone na budynku Oddziału Regeneracji Taśm Przenośnikowych transparenty: **„Chcemy gospodarza, nie bałaganiarza"** i **„Rada Pracownicza — tak, dyrekcja — nie"**. To zewnętrzny objaw konfliktu, który odbił się szerokim echem w kraju i zagraża prawidłowemu funkcjonowaniu przedsiębiorstwa.

20 stycznia 1990 r. stosunkiem głosów 15 do 10 (przy 2 wstrzymujących się) Rada Pracownicza uchwaliła votum nieufności wobec dyrektora kopalni, obarczając go odpowiedzialnością za: wyprzedaż majątku zakładu po obniżonych cenach dla osób fizycznych i spółek, których udziałowcami są członkowie kierownictwa, wykorzystywanie przez pracowników stanowisk służbowych do realizacji prywatnych zleceń na koszt kopalni, niewłaściwą gospodarkę mieszkaniową i hotelową, wykonywanie planu wydobycia odkrywki **„Bełchatów"** przy pomocy maszyn przeznaczonych do pracy na wstrzymanej odkrywce „Szczerców", nadużycia w wykorzystywaniu sprzętu i paliw, ukrywanie zapasów materiałowych i prowadzenie inwentaryzacji w oparciu o kartoteki, a nie stan faktyczny.

Te i inne uchybienia stały się podstawą do skierowania do ministra przemysłu wniosku o odwołanie ze stanowisk dyrektora **KWB „Bełchatów" — Stanisława Drozdowskiego**, dyrektora **Zakładu Robót Górniczych KWB — Stefana Stachowicza** i dyrektora **Zakładu Sprzętu Technologicznego i Transportu — Antoniego Galasa**. Zdaniem Rady Pracowniczej obecne kierownictwo nie jest w stanie sprostać swoim obowiązkom w warunkach nowego ładu gospodarczego. Jej członkowie stwierdzili, że **„dyrekcja zainteresowana przede wszystkim utrzymaniem starego, skompromitowanego systemu nakazowo-rozdzielczego nie może dalej zarządzać kopalnią"**.

Rozpoczęła się kampania wzajemnych pretensji i oskarżeń.

Po kopalni zaczęły krążyć oficjalne stanowiska i oświadczenia stron w konflikcie. 24 stycznia 1990 roku na Walnym Zebraniu Delegatów Samorządu Pracowniczego dyrektor złożył wyjaśnienia odnośnie wszystkich przedstawionych mu zarzutów (dzień później stanowisko kierownictwa rozkolportowano wśród załogi). Delegaci dużą ilością głosów poparli uchwałę Rady, uznając odpowiedzi dyrektora za niewystarczające. Stanowisko Rady Pracowniczej podzieliła **Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność"** w obronie dyrektora stanęły natomiast **NSZZ Pracowników Górnictwa i Związek Zawodowy Pracowników Inżynieryjno-Technicznych**.

Sporo zamieszania wprowadziła opinia radcy prawnego **Andrzeja Arabskiego**, który 10 dni po fakcie podał w wątpliwość legalność uchwały, mimo że kierownik biura radców prawnych **Andrzej Purzycki**, obecny na posiedzeniu Rady, nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń. Według **A. Arabskiego** Rada Pracownicza nie posiadała uprawnień do stawiania votum nieufności, a procedura podejmowania uchwały pozostawiała wiele do życzenia — pisemne uzasadnienie przedstawiono dopiero w kilka dni po głosowaniu nad wnioskiem. Przewodniczący Rady Pracowniczej **Wiesław Dobkowski** podważył obiektywizm prawnika i zasugerował jego dyspozycyjność względem dyrekcji. Pracownicy biura radców prawnych poczuli się urażeni i zażądali oficjalnych przeprosin.

Ostatniego dnia stycznia 1990 r., w zakładzie wybuchła afera podsłuchowa.

Na posiedzeniu Rady Pracowniczej zgłoszono wniosek, aby obrady transmitować przez radiowęzeł. Ku zdziwieniu zebranych okazało się, że załoga słucha relacji już od godziny. Część oburzonych uczestników demonstracyjnie opuściła salę. Trudno orzec, czy był to rzeczywiście podsłuch. Instalację założono 3 lata temu, mikrofony są stałym wyposażeniem pomieszczenia. Ktoś kogoś uprzedzał o transmisji, ktoś nie dosłyszał. Przewodniczący Rady Pracowniczej zaprzecza, jakoby ktoś z ich grona wydawał zgodę na bezpośrednią relację z obrad i uważa, że technika nagrywania za pośrednictwem mikrofonów o dużej czułości umieszczonych cichaczem w suficie nagłaśnia szepty, ciche rozmowy, a nawet szelest kartek, co wywołuje u słuchacza wrażenie bałaganu, wypacza prawdziwy obraz i stawia Radę Pracowniczą w niekorzystnym świetle, przedstawiając ją jako grupę rozrabiaczy wprowadzających tylko zamieszanie w zakładzie.

Związek Zawodowy Pracowników Inżynieryjno-Technicznych zajął stanowisko jednoznacznie negatywne wobec votum nieufności i wystosował stanowczy protest do ministra przemysłu, w którym czytamy:

„Uchwałę podjęto bez merytorycznego uzasadnienia, po dyskusji chaotycznej, pozbawionej rzeczowych argumentów i będącej popisem niekompetencji i demagogii (...) Rada Pracownicza podgrzewa wywołany przez siebie konflikt (...). Uważamy, że osiąganie przez KWB „Bełchatów" tak dobrych efektów ekonomicznych jest niepodważalną zasługą dyrektora mgr inż. Stanisława Drozdowskiego, którego w pełni popieramy (...)".

Józef Półkowski, przewodniczący **KZ NSZZ „Solidarność"** twierdzi, że jego związek już od dawna zwracał uwagę na niekompetencję dyrekcji i nadużycia, o których informował **prokuraturę i RUSW w Bełchatowie**. Krytykowano nierówne kary dyscyplinarne oraz minimalizowanie i tuszowanie niektórych przewinień.

Pismo wystosowane przez „Solidarność" do dyrektora **Stanisława Drozdowskiego**:

„KZ NSZZ „Solidarność" KWB „Bełchatów" wyraża protest i zdziwienie wysokością wymierzonych kar dyscyplinarnych przez dyrekcję w stosunku do osób winnych poważnych nadużyć gospodarczych. Wysokość kar za przestępstwa gospodarcze jest wymierzana w zależności od zajmowanego stanowiska i wewnętrznych powiązań w zakładzie. Np. pracownika fizycznego za kradzież 15 litrów paliwa zwalnia się dyscyplinarnie, natomiast osoby z kierownictwa kopalni karze się przeniesieniem na inne stanowisko, w niektórych przypadkach mniej odpowiedzialne, ale lepiej płatne".

Istnieje słuszne odczucie społeczne, że w ostatnim czasie wzrosła ilość nadużyć.

Hiperinflacja, nie uregulowane kwestie prawne, niepewna sytuacja gospodarcza — to wszystko sprzyja wykroczeniom.

— Tak dzieje się w całym kraju i u nas też — mówi dyrektor Stanisław Drozdowski. **— Nie chcę bagatelizować problemu, są to sprawy poważne, jednak marginalne w skali wyników przedsiębiorstwa. Nie zgodzę się z rozpowszechnianą opinią, że panuje u nas taki bałagan i niegospodarność, że kopalnia stoi na skraju przepaści.**

Dyrektor nie przeczy, że w niektórych przypadkach sankcje za nadużycia były zbyt łagodne i załoga może mieć do niego pretensje o to.

— Nie można interpretować faktów tak, jak jest nam wygodnie — dodaje i pyta — **czy pracownik złapany na gorącym uczynku, który zdążył ukraść dopiero 15 litrów paliwa, a w samochodzie miał przygotowane beczki na 800 litrów, ma odpowiadać tylko za te 15?... Zarzucają mi, że kierownik ukarany przesunięciem na niższe stanowisko zarabia więcej niż poprzednio. Nie zauważa się, że teraz pracuje on w niedziele, w nocy i w warunkach szkodliwych dla zdrowia, za co pobiera dodatki.**

— Mówi się, że dyrekcja ratuje plan wykorzystując nie ujęte w nim maszyny — kontynuuje S. Drozdowski. — **Wstrzymanie prac na odkrywce „Szczerców" wynika z ogólnokrajowych ograniczeń inwestycyjnych, zatem sprawą oczywistą było zagospodarowanie sprzętu zakupionego dla tamtego złoża. A może lepiej, żeby koparka stała w pokrzywach i rdzewiała zgodnie z planem?**

Ponieważ związek zawodowy nie może wnioskować o odwołanie dyrektora, **Walne Zebranie Delegatów NSZZ „Solidarność"** prawie jednogłośnie poparło Radę Pracowniczą.

Interweniowaliśmy w ministerstwie i w dyrekcji Wspólnoty Energetyki i Węgla Brunatnego — mówi przewodniczący J. Półkowski. — **Wola pracowników nadal nie została wysłuchana, chociaż rząd obiecał popierać samorządy. Górnicy są bardzo niezadowoleni, ponieważ sprawa ślimaczy się. Jeżeli rząd ma być wiarygodny, nie powinien ignorować konfliktu tej miary. Myślę, że góra ma świadomość, czym może rozić lekceważenie głosu załogi. „Bełchatów" już kiedyś dał próbkę swoich możliwości.**

W przeciwieństwie do **„Solidarności" w NSZZ Pracowników Górnictwa** uważają, że działania Rady Pracowniczej w aktualnym składzie doprowadzą dobrze funkcjonujący zakład do ruiny. Zarząd w oficjalnym komunikacie stwierdził wprost, **że „Rada Pracownicza nie reprezentuje postulatów całej załogi, a jest jedynie wyrazicielem głosów pewnej grupy rozrabiaczy spod znaku »Solidarności«** i zarzucił jej przedkładanie własnych interesów ponad dobro przedsiębiorstwa i jego pracowników.

— Uważamy, że dyrektora obarcza się winą zbyt dużą — oświadcza Bolesław Goszczyński, przewodniczący NSZZ PG. — **Naszym zdaniem przestępstw nie było. Są jedynie drobne nieprawidłowości, jakie występują w każdym zakładzie. Zmiana nomenklatury dla samej zmiany? — chyba nie o to chodzi w pluralizmie. Powinniśmy być obiektywni. Dyrektor prezentuje wysokie kwalifikacje i jest prawdziwym fachowcem. Nie może odpowiadać za sprawy marginalne w zakładzie zatrudniającym 12 tys. osób.**

Związki branżowe potępiają metody, jakimi próbuje się dokonywać zmian kadrowych. Mają pretensje do „Solidarności", że popiera takie praktyki Rady Pracowniczej, która — ich zdaniem — przekroczyła swe kompetencje: **— Nie bronimy dyrekcji, bronimy niesłusznie oskarżonego człowieka. Jeśli zawinił — trzeba go ukarać, jeśli nie — oczyścić z zarzutów.**

— Wywieszone transparenty głoszą, że załoga nie chce dyrektora, ale czy było w tej sprawie referendum? — pyta Stanisław Drozdowski. — **Może zebrały się 4 osoby i podpisały się za wszystkich. Gdybym był głupi, kazałbym pozdejmować te napisy. Jak widać po głosowaniu w samej Radzie Pracowniczej zdania też są podzielone. Nie czuję się powołany do oceniania tych, którzy mnie oskarżają — to ani zręczne, ani eleganckie.**

Z oficjalnego stanowiska przewodniczącego **Rady Pracowniczej i KZ NSZZ „Solidarność"**:

„Pomimo szacunku do osoby dyrektora uważamy, że jest on odpowiedzialny za całość spraw związanych z przedsiębiorstwem. Powołane przez niego na stanowiska kierownicze osoby chowały się za jego plecami i mając poczucie bezkarności dopuściły się poważnych nadużyć (...). Uważamy — głosi dalej komunikat — **że mgr inż. Stanisław Drozdowski nie ...oże dalej zarządzać przedsiębiorstwem, ale może być wykorzystany na innym stanowisku jako cenny doradca w dziedzinie technicznej.**

— Nie mam zamiaru uchylać się od odpowiedzialności za przedsiębiorstwo — mówi dyrektor i dodaje z nutą goryczy — **ale postanowiłem odejść. Nie będę bronił się, ani upierał, że muszę tu zostać. Myślę, że jeszcze znajdą się miejsca, gdzie mogę się przydać. Spędziłem w tej kopalni 15 lat — może zbyt długo, ale nie uważam ich za stracone. Wybudowaliśmy nowoczesny zakład, który wzbudza uznanie także za granicą. Sądzę, że miałem w tym również swój udział".**

— To nie zbieg okoliczności, że i w innych kopalniach węgla brunatnego zgłoszono votum nieufności dla dyrekcji — kontynuuje Stanisław Drozdowski. — **Nagle okazało się, że wszyscy źle pracujemy. Kiedy chce się komuś przyłożyć, kij zawsze się znajdzie. Hasła o demokracji swoją drogą, a życie jest życiem. Nie jestem przeciwnikiem „kruszenia betonu", ale nie popadajmy w skrajności. Mam świadomość, że kiedy przeprowadza się generalną akcję, nie może to obejść się bez strat.**

Wszyscy zaangażowani w konflikt powołują się na dobro kopalni, interes załogi, pluralizm i demokrację.

Deklarują poparcie dla nowego rządu, zarzucając przeciwnikom stosowanie metod stalinowskich. Spór jest zbyt skomplikowany, aby jednoznacznie opowiedzieć się po jednej ze stron. Sprawę trzeba dogłębnie zbadać i przeanalizować argumenty wszystkich zainteresowanych bez względu na orientację polityczne. Należy mieć nadzieję, że stara nomenklatura nie zostanie zastąpiona nową, choć takie niebezpieczeństwo istnieje.

P.S. 18 lutego odbył się wiec załogi popierający poczynania Rady Pracowniczej. Przedstawiciele Ministerstwa Przemysłu poinformowali górników o złożeniu rezygnacji przez dyrektora Stanisława Drozdowskiego. Do 23 lutego Rada Pracownicza ma zaproponować kandydata na stanowisko tymczasowego kierownika KWB „Bełchatów". NIK przeprowadzi kompleksową kontrolę działalności gospodarczej kopalni, a ministerstwo w trybie pilnym ogłosi konkurs na stanowisko dyrektora.

M.M.

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Handel

Rys. Sławomir Łuczyński

Nie lubię improwizacji...

— Rozmowa z HANNĄ BIELUSZKO.

HANNA BIELUSZKO, absolwentka PWST w Krakowie (z 1979 roku), aktorka Teatru im. S. Jaracza w Łodzi, laureatka „Srebrnego Pierścienia" za rolę Beniamina w „Wielkanocy", to obecnie bardzo dojrzała i wyrazista osobowość aktorska na scenie i ekranie. W nowej premierze rodzimego teatru „Gwiazdy na porannym niebie" Aleksandra Galina w reż. Bogdana Hussakowskiego gra jedną z głównych postaci — Lorę.

— „Anioł nigdy nie upada. Diabeł upadł tak nisko, że nigdy się nie podniesie". „Człowiek upada i powstaje". Jak ma się do zacytowanej przeze mnie idei Dostojewskiego kilka moskiewskich prostytutek ze sztuki „Gwiazdy na porannym niebie" na przykładzie kreowanej przez panią postaci Lory?

— Przełomowym momentem w życiu Lory jest poznanie Aleksandra, w którym się zakochuje. To dla niej szansa na odrodzenie się, ale niestety nie wykorzystana z uwagi na sytuację zewnętrzną w jakiej znalazły się wszystkie postaci. Ich życie jest zdeterminowane tą zewnętrznością, są całkowicie uzależnieni a momenty buntu mają raczej dziecinny charakter.

— Lora nie jest cyrkówką za którą się podaje, dlaczego kłamie?

— Lora jest raczej mitomanką niż kłamczuchą. Wierzy w wymyślone przez siebie historie po to, żeby okazać się lepszą, barwniejszą, zainteresować innych sobą. To nieporadna i biedna osoba. Wszyscy wiedzą, że kłamie, ale udają, że nie wiedzą, ot, taka zabawa, żeby nie sprawiać sobie wzajemnie przykrości.

— Ale sztuka kończy się fajerwerkami złudzeń?

— Każda z postaci tej sztuki dużo przeżyła, każda w jakiś sposób została okaleczona i musiała przestać udawać. W momencie kiedy poznajemy Lorę — ona nie ma żadnych złudzeń. W finale mimo rozstania z ukochanym Lora wygrywa, odkrywa w sobie pewne rzeczy, o których już dawno zapomniała. W finale sztuki z jednej strony jest radośnie, optymistycznie, ale z drugiej wszystko kończy się totalną katastrofą.

— Jak rodziła się grana przez panią Lora?

— To była wyjątkowo trudna praca. Reżyser dał nam wolną rękę i niczego nie ułatwiał. Po każdym przedstawieniu jestem potwornie zmęczona fizycznie, co wynika z towarzyszącego nam napięcia psychicznego. W fazie przygotowania było sporo momentów twórczych, była otwartość i gotowość. Każdy z aktorów mógł mieć sporo satysfakcji z tego co zrobił.

— Czy w pani dotychczasowym dorobku artystycznym była podobna rola?

— Nie, spotkałam się z takim zadaniem po raz pierwszy.

— A pod względem trudności zadaniowych?

— Bardzo polubiłam tę rolę od początku i kiedy ją otrzymałam bardzo się ucieszyłam, a potem... przestraszyłam. W czasie prób okazało się, że to wcale nie jest efektowne zadanie, zaś w czasie grania spotkałam się z przeróżnymi reakcjami publiczności.

— Czy dla tak doświadczonej profesjonalistki jak pani mogą istnieć problemy natury warsztatowej?

— Nie uważam siebie za aktorkę dojrzałą i miewam problemy natury warsztatowej, często zmagałam się z rolami, ale myślę, że na tym polega urok tego zawodu. W przeciwnym razie byłoby to śmiertelnie nudne. W sztuce „Gwiazdy na porannym niebie" potrzeba ogromnej koncentracji fizycznej i najwspanialsze jest to jak człowiek zmuszony jest do szukania nowych środków i sposobów. Na razie miałam okazję grać w różnych gatunkach i konwencjach.

— Jaką rolę w budowaniu postaci przypisuje pani reżyserowi?

— To zależy od rodzaju sztuki. Idealny reżyser to taki, który pomaga aktorowi i sam jako człowiek i artysta jest kimś fascynującym i może czegoś nauczyć.

— Od czego zwykle zaczyna pani pracę nad rolą?

— Będąc na etapie prób sytuacyjnych lubię umieć tekst na pamięć. Nie lubię improwizacji i jestem dobrze przygotowana do wejścia na plan (w przypadku filmu czy telewizji).

— Gdzie czuje się pani lepiej?

— Jednak w teatrze, bo tam może się zdarzyć znacznie więcej interesujących rzeczy. W filmie wszystko uzależnione jest od montażu, na scenie to ja decyduję o ostatecznym kształcie roli.

— W jakiej roli wkrótce panią zobaczymy?

Foto: Thymoteus

— W sztuce „Folwark zwierzęcy" w reż. Piotra Cieślaka zagram rolę Klaczy Molly, a w kwietniu rozpocznę pracę w TV w spektaklu kryminalnym.

— A mówi się, że aktorom grozi bezrobocie i redukcja?

— Ja też się boję...

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

Wspólnota kulturalna

Od chwili swego powstania CENTRUM POMPIDOU szokowało niezwykłą architekturą. Ta niby fabryka, niby pompownia nie przystawała do starego Paryża, do pobliskiego XVII-wiecznego placu des Vosges, Luwru czy gotyckiej Notre Dame. Dziś wszyscy oswoili się z tą nowoczesną budowlą — centrum sztuki i kultury światowej. Akcentuje to już z daleka, unosząca się nad dziedzińcem, olbrzymia kula ziemska. Kontury kontynentów symbolizują jedność kulturalną świata.

Plac, jak zawsze, wypełniony barwnym tłumem. Tutaj każdy, kto ma coś do wyrażenia, przybywa, by zademonstrować swe istnienie, swą odrębność, bądź jedność; przybywa by zarobić na życie bądź tylko pokazać się. Wystąpić w Paryżu, przed Centrum Pompidou to już jest coś. Dlatego współcześni kuglarze, magicy, muzycy ciągną tu z całego świata. Nawet narkomani upodobali sobie tę mekkę kultury i całymi grupkami wylegują na wybrukowanym placu, zaśmiecają go, ale wrośli w ten pejzaż i nikt ich stąd nie rusza.

Uwagę zwraca chór żeński udekorowany w czerwone czapeczki. Jest to chór z Belgii, który śpiewa po flamandzku. Nie trwa to jednak długo, gdyż przybywa liczna grupa Arabów, barwna, w turbanach, w długich strojach z flagą Kuwejtu. (W tym dniu odbywało się spotkanie szefów rządu Kuwejtu i Francji, całe Champs-Elysees udekorowano flagami tego państwa). Kuwejtczycy śpiewali i tańczyli bardzo rytmicznie, właściwie zdominowali cały plac. Uwaga przechodniów skupiała się głównie na nich. Duże trudności miał FAKIR z pokazem swoich sztuczek. Kilka razy organizował publiczność, zachęcał, by zainteresowała się jego „sztuką" i zechciała poświęcić parę franków. Używał właściwych sobie trików, nawet gróźb, aby nakłonić opieszałych gapiów do zapłaty. Gdy zaczął seans celebrował go, przedłużał, aby tylko zatrzymać więcej ludzi. Połykanie ogni, nacinanie rąk do krwi wydało się igraszką w porównaniu ze ściąganiem ciasno opasanego łańcucha. Grupy koreańskich czy latynoskich muzyków były tylko nikłym tłem do występów fakira, zwłaszcza Arabów, którzy potwierdzili swą dominację świetnym popisem rodzimej sztuki.

W samym CENTRUM gwarno i tłoczno. Na parterze olbrzymi ekran, na którym przesuwają się kolorowe obrazy z czasów rewolucji francuskiej, jej przebieg przybliża obszerny komentarz. W olbrzymiej, zielonej bibliotece — forum poświęcone rewolucjom na świecie. Jeden odczyt znajdują na temat rewolucji społecznych w Polsce w XVIII w. W przejściu młodzi ludzie zbierają podpisy i sprzedają znaczki na pomoc medyczną dla krajów potrzebujących.

Ruchome schody w szklanej rurze unoszą ludzi na poszczególne piętra. Zatrzymuję się na IV, skąd przy zachodzie słońca mogę obejrzeć piękną panoramę Paryża. Sekwana ze swymi mostami, Cite z Notre Dame, Sainte Chapelle, kopułą kościoła Inwalidów i Panteonu i wieża Eiffla a daleko wzgórze Montmartre ze swą białą Sacre Coeur.

Czwarte piętro jest przeznaczone dla stałej ekspozycji sztuki współczesnej — od Matissa do dziś. Picasso, Braque, Leger, Kandinsky, Brancusi, Chagall, Miro, Kupka, Dali... Tu można obejrzeć rzeźby i kompozycje przestrzenne, które rewolucjonizowały sztukę XX wieku. W sali grafik na tym samym piętrze wystawy czasowe. Tym razem oglądam prace Alfreda Courmesa — przedstawiciela francuskiego realizmu. Nie wszyscy akceptują klimat jego obrazów. Na pewno i dziś szokuje portret obnażonego św. Sebastiana z krwawiącym udem. „Para na rowerze" z 1935 r. — obraz manifest, jedno z arcydzieł francuskiego malarstwa realistycznego sprzed wojny.

Niezwykle ciekawa była wystawa fotografii na II piętrze, zatytułowana „WORLD PRESS PHOTO '89". Od 30 lat w Amsterdamie międzynarodowe jury wręcza nagrody laureatom WORLD PRESS PHOTO. Spośród nadesłanych z całego świata na konkurs tysięcy zdjęć wybrano „zdjęcie roku" oraz 80 fotografii według poszczególnych kategorii. Jest to unikatowy przegląd obrazujący jeden rok życia i śmierci na planecie ZIEMIA.

W kinie Muzeum od środy do niedzieli można obejrzeć serię filmów poświęconą jakiemuś artyście, jakiemuś kierunkowi w sztuce bądź filmy znaczące w rozwoju kina. Prezentowano filmy, które były hołdem złożonym Pierre'owi Klossowskiemu — artyście francuskiemu pochodzenia polskiego — malarzowi i pisarzowi; pokazywano retrospektywne ujęcie twórczości BRAM VAN VELDE'A z lat 1922—1981. Czynna też była wystawa jego dzieł malarskich ze wszystkich epok. Bram van Velde nazywany bywa „artystą przeklętym", lecz jest jedynym artystą europejskim, który stworzył pomost pomiędzy amerykańską szkołą abstrakcji a Szkołą Paryską.

Hollis Frampton zapoczątkował w 1972 r. ruch kinematograficzny poświęcony Ferdynandowi Magellanowi. Jest to cykl filmów trwający około 36 godzin, i który nie został ukończony przed śmiercią artysty w 1984 roku. Metafora opłynięcia Ziemi stanowi ideę przewodnią tego olbrzymiego dzieła filmowego, podzielonego na trzy części. Całość powinna być prezentowana na przestrzeni jednego roku kalendarzowego. „Strait of Magellan-Solariummagelani" — cztery specyficzne filmy poświęcone zmianom czterech pór roku, środkowa część dzieła Framptona i najważniejsza.

Z kolekcji filmowej Museum wyświetlano film zrealizowany w 1950 r. przez Nicole Vedres „Życie zaczyna się jutro" z udziałem Andre Gide'a, Le Corbusiera, Jean-Paul Sartre'a, Picassa. W kinie wideo znajdują filmy na temat dzieł Jerzego Grotowskiego.

Sekcja Animacji Pedagogicznej organizuje dwa razy w tygodniu bezpłatne spotkania dla nauczycieli i młodzieży na temat twórczości wybranego artysty. Również dwa razy w tygodniu prezentowane są filmy na temat sztuki XX wieku. W pracowni dla dzieci rumuńska artystka Wanda Mihuleac proponowała dzieciom ustawianie murów na bazie figur geometrycznych. Służyły im do tego setki białych styropianowych cegieł. Figury były zaznaczone na płaszczyźnie jako fundamenty.

Muzeum sztuki współczesnej stwarza możliwości rozwoju zarówno dzieciom, młodzieży jak i dorosłym. Jest to swoisty uniwersytet, który daje wszechstronną edukację w zakresie dorobku kulturalnego XX wieku.

DANUTA KONIECZNA-MALATYŃSKA

ze str. 1

żyło, że Amerykanie nie chcieli mi dać wizy. Nie jechałem również z zamiarem pozostania w Kanadzie na stałe.

— Zostałeś jednak. Dlaczego?

— Tam poznałem małżeństwo Kanadyjczyków. Ludzie ci serdecznie się mną zaopiekowali i namawiali mnie, bym został. Ale uważałem, że zostawać po to, żeby zmywać talerze w chińskiej restauracji nie ma sensu. Mnie interesował film i postanowiłem, że zostanę tylko w takiej sytuacji, kiedy będę mógł coś robić w filmie. Państwo Barrick też to dobrze rozumieli.

— Miałeś wyjątkowe szczęście. Brzmi to wszystko jak bajka.

— Tak, to rzeczywiście jest historia jak z bajki. W pewnym momencie powiedziałem sobie, że byłoby głupotą nie skorzystać z szansy. W Kanadzie byłem od lipca 1983 roku, a już w lutym następnego roku zacząłem robić pierwszy film.

— Co to był za film?

— Przez pół roku chodziłem do szkoły, w której uczyłem się angielskiego. W tej szkole byli ludzie z różnych stron świata. I ten mój pierwszy film pokazuje właśnie, jak ci ludzie uczą się języka. Widzisz, ja sam ucząc się tam angielskiego i mając z tego powodu różne, często śmieszne sytuacje zrozumiałem, że język to jest kultura, że zanurzenie się w kulturze odbywa się w 75 proc. właśnie poprzez język. Startowałem z zerowego poziomu i mogłem to znakomicie obserwować. I wtedy doszło do mnie, że język nie jest narzędziem kultury, to jest po prostu kultura. Bo jak zrozumiesz znaczenie jakiegoś słowa, to jesteś jakby w środku i inni ludzie także zaczynają się otwierać. To było takie moje prywatne odkrycie, a zarazem potwierdzenie istniejących przecież teorii lingwistyczno-kulturowych. I tak właśnie było w tej szkole. Zobaczyłem, że w wyniku zdobywania umiejętności językowych nagle zaczynasz ludzi obok ciebie widzieć inaczej i oni też widzą cię inaczej, to znaczy pełniej. Następuje jakieś zbliżenie i otwarcie. Na początku jest to masa ludzi, która różni się często jedynie kolorem skóry. I dopiero po jakimś czasie dostrzegasz w każdym konkretnego człowieka. O tym mówił mój pierwszy film pt. „Stawanie się Kanadyjczykiem".

— Skąd miałeś pieniądze i sprzęt na realizację tego filmu?

— Ten film zrobiłem właściwie za darmo. Na szczęście pod koniec zdjęć zacząłem pracować w stacji telewizyjnej i umówiłem się, że oni dadzą mi sprzęt. Wcześniej znajomy wynosił go ze stacji nielegalnie. Poza tym obiecali mi także, że będę mógł zrobić do końca proces produkcyjny, a w zamian za to, oni będą mieli prawo pokazywać film jak często tylko będą chcieli. I rzeczywiście pokazywali, robiąc zresztą na tym znakomity interes.

— Był to sukces. Zaraz na początku zrobić film, który był pokazywany w telewizji, to chyba w Kanadzie nie jest prostą sprawą?

— Oczywiście, szybko przekonałem się, że tam panuje mocno rozwinięta ksenofobia. To znaczy, jakiegokolwiek filmu bym nie zrobił, choćby był on bardzo dobry pod względem artystycznym, oni zawsze mi powiedzą, że to nie jest to, bo u nich filmy robi się zupełnie inaczej i że ten obraz nie nadaje się do emisji. Początki więc są tam zawsze bardzo trudne, szczególnie dla emigranta.

— A czym zajmowałeś się pracując w stacji telewizyjnej?

— Przerywałem filmy i puszczałem reklamy. Nie była to praca zbyt atrakcyjna. Zorientowałem się jednak, że, by tam robić filmy, muszę mieć jakieś wykształcenie w swojej dziedzinie. Po pół roku pracy w stacji złożyłem papiery do szkoły w Banff w Albercie na wydział produkcji telewizyjnej i filmowej. To jest jedna z najbardziej znanych szkół artystycznych w Kanadzie, przyjeżdżają do niej również ludzie z Europy. Na mój wydział chciało dostać się około 300 osób, tymczasem było tylko 8 miejsc. I zostałem przyjęty. To jest szkoła dla tych, którzy mają już pewne doświadczenie. Chodzi więc głównie o to, by mieć możliwość artystycznego rozwinięcia się. Jest tam na przykład znakomity sprzęt, którego nie mają jeszcze nawet najlepsze stacje telewizyjne w Kanadzie. Szkoła ta oczywiście nie jest za darmo, ale jeśli ktoś zostanie zaakceptowany, może ubiegać się o stypendium, które pokrywa od 60 do 80 proc. kosztów. Otrzymałem takie stypendium, a resztę pieniędzy dopłaciłem z tego, co zarobiłem pracując w stacji telewizyjnej.

Nie sprzedaję

— A jak w zupełnie nowym środowisku wyglądała twoja adaptacja artystyczna?

— Nie miałem żadnych kompleksów. Zresztą wśród tamtejszych studentów posiadałem największe doświadczenie w robieniu filmów. Musiałem natomiast nauczyć się nowej techniki. Oni w tym byli dużo lepsi. Ale w takiej grupie tworzy się jakaś dziwna więź i każdy chce drugiemu pomagać.

— Jak długo trwała nauka?

— Tylko pięć miesięcy, ale to wystarczy.

— Skończenie takiej prestiżowej uczelni na pewno dało ci większe możliwości niż miałeś dotychczas.

— Tak, to ma znaczenie, ale nie aż tak wielkie jak by się mogło wydawać.

— Czy masz w tej chwili stałą pracę?

— Nie, ale w Kanadzie zupełnie inaczej patrzy się na artystę niż w Polsce. Tam dochody artystów w większości są na poziomie minimum socjalnego. Tych najlepszych można policzyć na palcach jednej ręki. Na przykład bardzo często jest tak, że aktorki pracują jako kelnerki i tylko od czasu do czasu uda im się coś zagrać. W moim mieście jest na przykład około 200 aktorów, a takich, którzy utrzymują się tylko ze swego zawodu jest z górą trzydziestu. Podobnie jest z malarzami. Mam znajomego, który na co dzień jest kierowcą autokaru dalekobieżnego. Tak więc życie kogoś, kto chce robić coś w dziedzinie artystycznej jest bardzo ciężkie.

— Jak sobie radzisz? Przecież utrzymujesz się w branży, robisz filmy.

— Żyję właściwie na granicy ubóstwa i wcale tego nie ukrywam. Jednak tam są większe możliwości. Oczywiście trzeba włożyć więcej wysiłku, by zainteresować odpowiednich ludzi. W filmie w pewnym sensie jest najtrudniej. To znaczy mógłbym pracować na przykład jako taksówkarz i raz na tydzień czy miesiąc robić zdjęcia do filmu nawet na dobrym profesjonalnym poziomie. Ale wtedy żyłbym z jeżdżenia taksówką i to na pewno o wiele lepiej niż żyję w tej chwili. A jeżeli ja chcę robić filmy, to muszę właśnie temu zajęciu poświęcić swój czas i energię, a także zainwestować własne pieniądze. Jest to wtedy bardziej mobilizujące. Zrobiłem do tej pory kilka filmów dokumentalnych i cztery fabularne dla

PESTKI DYNI

„Kiedyś zarzucano mi fascynację seksem. Ale przecież to jedna z najważniejszych sfer życia biologicznego człowieka. Jeśli zgadzamy się z tym, że choroby, stany psychiczne, mają wpływ na postępowanie człowieka, jak można pomijać tę dziedzinę? Dość późno staliśmy się pruderyjni. To już po fakcie stworzono wizerunek bogobojnego Sarmaty. Przecież nam, Polakom z XVII czy XVIII wieku nieobce były prądy światowe, a do tego należały również swoboda, ba, wręcz dewiacje seksualne. One nie narodziły się dzisiaj. To błąd robić z tej tematyki tabu, bo w ten sposób można dowiedzieć się tylko części prawdy o historii społecznej, okaleczy się ją. Jak można pisać o Barbarze Radziwiłłównie i jej związku z Zygmuntem Augustem, jeśli pominąć to, co ich łączyło? Jak przemilczeć obyczajowość seksualną ich epoki, skoro to ona ich kształtowała?"

Miło się czyta takie słowa. I dlatego polecam książkę ich autora, Zbigniewa Kuchowicza pt.: „Aleksander Fredro we fraku i w szlafroku". (KAW — oddział łódzki). Okazuje się, że nasz klasyk miał tulipana i używał go nie tylko do siusiania...

ANDRZEJ GRUN

P.S. W „Gazecie Wyborczej" (nr 161) Włodzimierz Kalicki pisze: „W Paryżu eleganckie damy chodzą w pozornie przaśnie skrojonych sowieckich szynelach, w oficerskich butach, karakułowych czapkach. Na czapce czerwona gwiazda, na szynelu kopia sowieckiego orderu. (...) Moda bolszewicka jest wyrafinowaną formą mody na pierestrojkę, manifestacyjnym gorbazmem eleganckich dam (Gorbaczow + orgazm, wymyślili to Amerykanie)... Zainteresowanie Zachodu Związkiem Radzieckim jest dziś zrozumiałe. Pominąwszy ciekawość zdarzeń politycznych, jest to jednak fascynacja niezdrowa. Z rosyjskiej historii dostrzega się tam ikony i bolszewików. Moda na przebieranie się w ich mundury dowodzi, iż bolszewicy wzbudzają entuzjazm niewiele mniejszy od tego wzbudzanego przez ikony. Paryski szyk a la bolszewik dobitniej niż wszystko inne przypomina, jak bardzo syte zachodnie elity nie chcą rozumieć i nie chcą pamiętać. (...) Prekursorzy łagrów święcą tryumfy w najlepszym towarzystwie — tylko dlatego, że Związek Radziecki dotrwał i reformuje się. Gdyby udało im się jeszcze bardziej i siedemdziesiąt lat temu przeszliby Wisłę, modę w Paryżu mielibyśmy dziś niemal identyczną. Zabrakłoby tylko perfum Chanel".

Słusznie ostrzega W.K. przed jakimkolwiek wpływem Rosji. Ja bym poszedł jeszcze dalej i zakazał słów takich jak „dacza", „samowar" i innych z „ruskiego" wziętych, wyrzucił z jadłospisu barów mlecznych ruskie pierogi; a jakby ktoś podsłuchał, że ktoś inny do swojej dziewczyny mówi „Marusia" albo „Natasza", to bym go pieprzonego degenarata-rusofila do Sowietów wyrzucił. Najlepiej na Sybir.

Gdańscy milicjanci zostali ponownie obdarowani przez proboszcza parafii św. Brygidy ks. kanonika Henryka Jankowskiego. Otrzymali kolejną partię 6 tys. par rękawic ochronnych, specjalne ubiory oraz środki dezynfekcyjne chroniące przed kontaktem z nosicielami wirusa i chorymi na AIDS. (PAP). A prezerwatywy też dawali? Bo zdaje się, że należą do kompletu ochronnego, tylko czy akurat w tej parafii?

We włoskiej miejscowości Loano odbyły się wybory najpiękniejszego mężczyzny Italii. Jedenaście pań tworzących jury konkursu bez wahania obdarzyło tym tytułem 23-letniego Marco Gandino, studenta wydziału nauk politycznych uniwersytetu w Turynie. Ale obecna na sali publiczność zaprotestowała głośno. „Blondyn najpiękniejszym mężczyzną Włoch?" To niemożliwe — wołano z oburzeniem Prawdziwy Włoch jest brunetem i to brunet powinien otrzymać tytuł „Il bello d'Italia!" Awantura przybrała takie rozmiary, że szybko zorganizowano nowe, konkurencyjne niejako wybory „najpiękniejszego". Tym razem tytuł zdobył 25-letni, kruczowłosy Steffano Lotti, z zawodu — policjant. („Kobieta i życie").

Co kraj, to obyczaj: jedna nacja lubi tylko blondynów, inna tylko brunetów, a w Irlandii lubią tylko rudych... Obyśmy nie dożyli znowu dni, kiedy będzie się kochać tylko blondynów.

A. G.

Przechowalnia dla poezji

HENRYK PUSTKOWSKI

Chyli się Polska w trudne czasy
Przed bóstwem wódki i kiełbasy

(Czesław Miłosz)

Kogóż dzisiaj obchodzi poezja? Kto ją czyta? Jeśli nawet znajdowała odbiorców, którzy pod szkolnym przymusem musieli niekiedy sięgać do poetyckiej książeczki, to wydawnictwa zwolniły ich od tego obowiązku rozwiązując umowy z pisarzami, rozsypując gotowe już składy poetyckich tomików. Biedne Muzy pochowały się po kątach, kont nie mają, ich pan i opiekun Apollo nie może już marzyć o ambrozji, bowiem nawet ta najpodlejsza kosztuje (jako niepijący mogę się w cenie pomylić) około 20.000 zł. Rząd dusz i ciał przejęli poeci sfery „twardej". Ich krystaliczne konstrukcje pełne metaforycznej śmiałości zbłądziły pod strzechy pełniąc — przysądzoną od wieków poezji — rolę katarktyczną (wstrząsową i oczyszczającą). Przede wszystkim czyszczą skutecznie nasze chude portfele. Zapewne po latach wnuki nasze będą czytały nowego „Chudego literata", jeśli jakiś współczesny Naruszewicz będzie miał dość grosza na papier i długopis, aby te czasy kulturowego rozpadu opisać.

Z sympatią przeto i niejakim rozczuleniem patrzę na wydawnictwa, które bronią rozpaczliwie tych resztek poetyckości w czasach ekonomicznej reformy. Drukowane najprostszymi technikami (powielacz, ksero, tani skład komputerowy), wydawane najczęściej własnym sumptem, choć niekiedy znajdują się mądrzy sponsorzy wiedzący, że upadek kultury groźniejszy jest w skutkach niż niedobory wódki i kiełbasy mają jedną cechę wspólną: powstały bez oglądania się na państwowe oficyny wydawnicze rąbiące w półmilionowych nakładach „Dzikuski" i „Trędowate".

Zazdroszczę dobrego samopoczucia nowym decydentom „od spraw kultury". Może na tej mierzwie pełnego rozkładu wyrosną — jak sądzę — arcydzieła literackie, ale bez „średniaków", bez literackiego podglebia kultura literacka przestanie istnieć A podglebie takie stanowią wydawane za grosze (najczęściej składkowe) almanachy grup literackich. Almanachy takie wydały łódzkie grupy „Wiaduki" i „Centauro". Ta ostatnia grupa odnotowała też pokłosie debiutów literackich. Przy wspomożeniu Centrum Kultury Młodych wyszły dwa arkusze poetyckie: tragicznie zmarłego **K. B. Wojtkiewicza („Tryptyk ręki")** oraz zbiorek **Joanny Ślósarskiej „Pieśni Marii Magdaleny"**. Rękopis **„Coinos Kosmos"** Joanny — I nagroda na XV Ogólnopolskim Festiwalu Poezji — byłby literacką rewelacją, gdyby został wydany. Bardziej okazały almanach młodych **„Piszemy nasz Kraków"** wydał **Krakowski Klub Literacki** przy ZLP. Na szczęście nie zapominają o istnieniu poezji Skierniewice (kilka arkuszy literackich), Sieradz, Zduńska Wola (almanach grupy literackiej **„Topola"**) i Piotrków. Pięknie wydane **„Zakole" Rafała Orlewskiego** sfinansował tamtejszy Wydział Kultury, zaś **„Zbliżenia" Tadeusza Michalskiego** Towarzystwo Przyjaciół Przedborza.

Skoro jesteśmy przy Piotrkowie nadmieńmy, że mimo wszelkich trudności odbył się skromny acz wielce sympatyczny **Konkurs o Rubinową Hortensję**, zaś dyrekcja Huty „Hortensja" zapowiada, że nie zrezygnuje z przyszłorocznej, 25 edycji tejże Rubinowej Hortensji. Łask uhonorował jubileusz E. Iwanickiego dwiema książkami: **„Kometą"** (historia grupy literackiej **„Grabia '59"**) oraz monografijką poświęconą twórczości autora **„Kubusia i Słowika"**. O wielu wydawnictwach zapewne nie wiem, nie wszystkie bowiem docierają do mnie. Serdecznie przeto proszę kluby literackie i osoby własnym sumptem wydające tomiki, iżby łaskawie przesłały swoje arkusze literackie pod adresem „Odgłosów", święcie przyrzekam, że będę i czytał je i pisał o nich.

Na koniec o dwu przynajmniej książeczkach, które prezentują wolę przetrwania poetów i poezji w niepoetycznych czasach. Nie czekając na łaskę wydawców pani **Maria Budziarek-Maciejczyk** zadebiutowała tomikiem **„Preludia"**. Wydany w prywatnej **Oficynie Jerzego Jankowskiego** — a wydany tak starannie, pomysłowo i ładnie, że mogłyby tego poziomu edytorskiego pozazdrościć wszystkie państwowe wydawnictwa — jest ten sympatyczny tomik nie tylko uciechą dla bibliofilskiego oka, ale po prostu dobrą, ciekawą propozycją poetycką.

Pan **Krzysztof Kuczkowski** z Sopotu poszedł jeszcze dalej — zwiazał się z **Galerią Autorską J. Solińskiego oraz J. Kaji** i tu wydaje swoje tomiki będące zarazem cymesami bibliofilskimi. Komplementowałem już wydaną wcześniej **„Pornografię"**, tomik **„Ciało, cień"** (Bydgoszcz 1989) zasługiwałby na obszerniejsze omówienie. I może jest to remedium na te wszystkie nasze kulturowe „niemożności". Oczywiście te niskonakładowe wydawnictwa należałoby traktować jako nasza tytułową „przechowalnię" dla poezji. Nie pozwalają jej (poezji) zaginąć stanowiąc obszary kulturowej informacji potencjalnie użytecznej.

Zdusimy inflację, wyjdziemy na prostą — wrócimy do poezji. Oczywiście jeśli po drodze nie zapomnimy alfabetu.

Kronika

Z okazji 48. rocznicy powołania Armii Krajowej w łódzkim kościele o.o. Jezuitów odbyła się 18 bm. ogólnopolska uroczystość dla uczczenia tego doniosłego wydarzenia. Po mszy świętej koncelebrowanej, zorganizowano spotkanie koleżeńskie z udziałem przedstawicieli władz miasta i dowódców formacji AK. ▶ Po 21 latach miał swoje drugie narodziny na specjalnie zorganizowanym 14 lutego br. w Łodzi pokazie, debiutancki utwór filmowy Grzegorza Królikiewicza pt. „Mężczyźni". Ten ciekawy film, stanowiący ostrą satyrę na lekcję dorosłości, jaką daje służba wojskowa, od 1969 r. przeleżakował na półce. Być może, iż niebawem wyświetlony zostanie w telewizji. ▶ Znany łódzki reżyser Feridun Erol zamierza nakręcić w łódzkiej WFO film pt. „Islam w Polsce" (tytuł roboczy). Pragnie pokazać w nim barwne, prawie 700-letnie dzieje polskich Tatarów. Filmem tym zainteresowała się telewizja turecka i niektóre kraje arabskie. ▶ W łódzkim Klubie Dziennikarza, 18 bm., odbyła się miła uroczystość, która przed 9 laty — w związku z wprowadzeniem stanu wojennego — nie mogła dojść do skutku: wręczenie nagród zwycięzcom dziennikarskiego konkursu pn. „Sierpień '80", rozpisanego przez Zarząd Oddziału SDP w Łodzi. Laureatem tego konkursu został wówczas red. Jacek Indelak („Odgłosy"), zaś wyróżnienie przypadło red. Jadwidze Wileńskiej z ŁOT. ▶ W Muzeum Miasta Zgierza (ul. Dąbrowskiego 21) 16 bm. otwarta została wystawa pn. „Oręż rycerstwa polskiego XV—XVII w.". ▶ Kolejną premierą łódzkiego Teatru Studyjnego, w ramach cyklu „Koncepcje teatru", będzie sztuka Samuela Becketta „Szczęśliwe dni". Zobaczą ją łódzcy widzowie w reżyserii Jacka Zembrzuskiego i opracowaniu scenograficznym Leoni Wedel. W spektaklu tym wystąpią: Barbara Baryżewska i Marek Niemierowski. ▶ Łódzki Dom Kultury przygotował cykl imprez w ramach organizowanych spotkań z kulturą żydowską. 22 lutego br. odbędzie się wernisaż unikatowej wystawy fotograficznej pn. „Cienie przeszłości — Żydzi polscy", zaś w dniach od 26 do 28 bm. planowany jest przegląd filmów fabularnych, dokumentalnych i archiwalnych o tematyce żydowskiej. ▶ Na wniosek Wydziału Kultury i Sztuki UMŁ prezydent Waldemar Bohdanowicz podjął decyzję o postawieniu w stan likwidacji „Estrady Łódzkiej", która jako pierwsza placówka kulturalna w naszym mieście zbankrutowała. W ubiegłym miesiącu deficyt jej wyniósł aż 14 mln złotych. ▶ Redakcja „Karuzeli" zaprasza do galerii „W przeciągu" (ul. Sienkiewicza 3/5, IX p.) na wystawę rysunków satyrycznych Zygmunta Pytlika. Artysta ten uprawia tzw. czarny humor. Polecamy tę ciekawą ekspozycję! ▶ W Muzeum Archidiecezji Warszawskiej (ul. Solec 61) otwarte zostały dwie interesujące wystawy: „Polska sztuka emigracyjna" i „Rysunek Józefa Czapskiego" (150 grafik). ▶ Ośrodek Filmowy ŁDK i Filmoteka Narodowa zorganizowały w Łodzi od 13 do 17 bm. ciekawą sesję filmową (I część) pn. „Szekspir na ekranie". ▶ Do Muzeum Narodowego w Warszawie wróciły 83 obrazy, które zdobiły wnętrza Domu Partii. 11 prac — głównie najcenniejszych o czym muzeum było poinformowane — zaginęło w latach siedemdziesiątych. Natomiast w ostatnich dniach, w nieznanych okolicznościach, zniknął unikatowy obraz Tadeusza Makowskiego „Martwa natura z dzbanami" — szacowany na 30 tys. dolarów. ▶ **ZAPROSILI NAS:** Zdzisław Konicki na swój jubileusz: 65 rocznicy urodzin, 44 lat pracy w Archiwum Państwowym w Łodzi, publicystyki regionalnej, kolekcjonerstwa łódzkiego, który obchodzić będzie 24 bm. (o godz. 17) w siedzibie Łódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego (ul. Piotrkowska 99).

Opracował: JAK

Niezwykła premiera

14 lutego salę wideo w Łódzkim Domu Kultury wypełniło po brzegi grono osób, zaproszonych przez **Grzegorza Królikiewicza** na premierę niezwykłego filmu; wśród nich m.in. prezydent miasta — **Waldemar Bohdanowicz, Andrzej Słowik oraz bohater filmu — Karol Głogowski.**

„Niezależny" to — jak zapowiedziano — rzecz o walce wyborczej Karola Głogowskiego. W rzeczywistości obraz ukazał coś więcej. Z obfitego (ponad 150 godzin!) materiału zdjęciowego Grzegorz Królikiewicz, wraz ze swoją młodą, pełną pasji i bezinteresowności ekipą (film powstał z własnych środków autora!), stworzył 50 minutowy film, ukazujący samotną walkę człowieka niezależnego. Dlaczego właśnie Karola Głogowskiego, który w końcu walkę o miejsce w Senacie przegrał? „Mam 50 lat — powiedział kiedyś „Odgłosom" G. Królikiewicz — żyję w najsmutniejszym mieście smutnego kraju i sam potrafię wybrać z imienia i nazwiska tych, których w swoim sumieniu uważam za najlepszych dziś. Bo byli kimś wczoraj... Gdyby Karol Głogowski wygrał, nie mógłbym skończyć filmu. Musiałbym wyczekać na moment innej jego porażki życiowej... Toteż ta przegrana, jako przewartościowanie materiału, jako pointa kompozycyjna, daje głębszy wgląd w tajemnicę ludzkiej natury. Człowiek jest wtedy dwa razy nagi: przez dźwiganie się pod presją, jaką tworzy nadzieja zwycięstwa, a drugi raz przez dźwiganie się z frustracji, jaką tworzy przegrana."

Jednakże w gruncie rzeczy największą wartość filmu odnaleźć można w tle, na którym ukazano zmagania bohatera. Sam Królikiewicz powiedział: „...tak naprawdę, to nie jest materiał tylko o Karolu Głogowskim... lecz o każdym z tych, którzy nie chcą się we wszystkim poddać drużynie. Jest to film o rozdarciu całego miasta. Ono rozdarte jest, jak cała Polska; Łódź może bardziej bezwstydnie, jaskrawo, bez zażenowania... To tło jest dramatyczne w bardzo ważnym, z historycznego punktu widzenia, momencie życia naszego społeczeństwa; mamy szansę na stworzenie prawdziwie nowożytnego państwa w środku Europy. Dopiero na takim tle można odsłonić wysokie aspiracje bohatera..."

I właśnie to epickie dopełnienie portretu stanowi wielką i wielce pouczającą wartość filmu Królikiewicza. Miejmy nadzieję, że dla tych wartości znajdą się sponsorzy, którzy bodaj w części skompensują autorowi koszty tego znaczącego dzieła.

M. Z.

hamburgerów

telewizji, ale muszę powiedzieć, że nie udało mi się jeszcze zrealizować takiego filmu, po którym mógłbym zainwestować pieniądze w następny film i urządzić sobie równocześnie wygodne życie. Druga trudna sprawa to odbiorca. Przeciętnie wykształcony człowiek w Kanadzie nie rozumie i nie ma szacunku dla kogoś, kto robi coś w sztuce. Ogólne nastawienie jest takie, że artyści to darmozjady, którzy żyją z naszych podatków. Tam ludzie są nastawieni na rozrywkę. Jeśli film nie jest do śmiechu, nikt nie zapłaci 7 dolarów za bilet. Człowiek idący do kina musi przede wszystkim się pośmiać, może trochę popłakać, ale gdy obraz wywołuje jakiś niepokój, sądzę, że 90 proc. Kanadyjczyków nie wybierze się do kina. To samo jest w Stanach Zjednoczonych.

— Jak widzisz dalej swoją przyszłość w Kanadzie?

— Robię dwa typy filmów. Pierwszy to filmy na przykład reklamowe czy turystyczne. I do takich rzeczy nie mam jakiegoś głębszego stosunku. Dostaję scenariusz i zabieram się do pracy. A drugi rodzaj filmów to taki, w których uczestniczę od początku do końca, czyli występuję w roli producenta i reżysera i w ten sposób mam nad całym filmem ostateczną kontrolę. W Kanadzie jest zupełnie inny stosunek do reżysera, inna jego pozycja, jest to po prostu facet jakby mało ważny, którego w każdej chwili można zwolnić. Tam najważniejszy jest producent, a ten jest najczęściej szczwanym lisem i chce zarobić jak najwięcej pieniędzy i on dyktuje warunki. W momencie, gdy zorientowałem się, że to tak właśnie wygląda, zostałem producentem. W kontrakcie bardzo często jest zapis, że reżyser ma prawo tylko do pierwszego montażu, potem wkracza producent i może zrobić z filmem wszystko. W ostatnim filmie fabularnym, jaki zrobiłem dla telewizji pt. „Summer Storm", występowałem już w roli producenta i reżysera. Ale tam, by zrobić własny film, trzeba wielu zabiegów. Tak było i w przypadku „Summer Storm". Otóż, dowiedziałem się, że jedna ze stacji telewizyjnych chce zrealizować kilka filmów fabularnych. Przedstawiłem im mój pomysł. Potem okazało się, że takich pomysłów nadeszło do nich 360. Do napisania scenariusza skierowano 30, a potem zdecydowano się tylko na 15 filmów i jednym z tych 15 był mój.

— Co uważasz za największy sukces w swej dotychczasowej pracy?

— Chyba film o pobycie papieża w Kanadzie „Behind the Image", który wśród 1200 filmów prezentowanych na festiwalu w Oakland w Kalifornii otrzymał II nagrodę — „Srebrne Jabłko". Ale jak się nad tym zastanawiam, to wydaje mi się, że największym moim sukcesem jest fakt, że jednak robię tam filmy i żyję z tego, a nie sprzedaję hamburgerów. Ostatnio założyłem w Winnipegu polski teatr.

— No właśnie, opowiedz coś więcej o tej inicjatywie.

— Był to mój pomysł, ale jeśli chodzi o sprawy organizacyjne najwięcej pomaga mi Elżbieta Chmielewska. Jest to, z tego co wiem, jedyny polski teatr profesjonalny w całej Ameryce Północnej. W maju 1989 roku wystawiliśmy pierwszą sztukę. Byli to „Emigranci" Sławomira Mrożka. Grało w niej dwóch polskich aktorów: Wiesław Adam Krystian i Piotr Probosz. Sztuka spotkała się z dobrymi recenzjami. Choć muszę powiedzieć, że ze strony starej polskiej emigracji nie było żadnej pomocy. Na przykład Kongres Polonii w Kanadzie miał rozprowadzać bilety, ale w pewnym momencie zadzwonił do mnie wiceprezes i powiedział, że nie będą rozprowadzać biletów, bo mają swoje poglądy polityczne i muszą najpierw przeczytać sztukę. A w ogóle, kto to jest ten Mrożek? — zapytał na koniec. Oczywiście nie zgodziłem się. Teraz myślimy nad następnymi spektaklami. Będzie to prawdopodobnie również sztuka Sławomira Mrożka pt. „Prorocy". Dlaczego postanowiłem założyć ten teatr? Amerykanie, podobnie jak Kanadyjczycy widzą Polaków jako grupę polityczną, nie jesteśmy w ich oczach grupą, która pokazywałaby swoją kulturę. Pewnie wynika to z tego, że Polacy wyjątkowo szybko adaptują się do nowych warunków. Ale pomyślałem, że my przyjeżdżając tam i korzystając z ich zdobyczy cywilizacyjnych możemy im też coś zaoferować od siebie. Najlepszym do tego celu środkiem wydał mi się właśnie teatr. Chcę więc robić to dalej i kręcić oczywiście filmy.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
TOMASZ A. WŁODKOWSKI

Galeria pisarzy

JERZY JARMOŁOWSKI

Rys. Sławomir Arabski

W jakim kierunku idą zmiany w prawie karnym?

Więzień nie przestaje być człowiekiem

Rozmowa z prof. dr STEFANEM LELENTALEM, kierownikiem Katedry Prawa Karnego i Zakładu Prawa Karnego Wykonawczego UŁ.

„Rzeczpospolita" przyniosła informację o poważnych korektach w składzie Komisji Reformy Prawa Karnego. Co ta komisja, powołana bodaj 10 lat temu, dokonała dla poprawy prawa?

— Nowe kodeksy obejmujące prawo karne materialne, procesowe i wykonawcze zostały uchwalone 19 kwietnia 1969 r., a weszły w życie 1 stycznia 1970 r. Po kilku latach okazało się, że wymagają zmian. W listopadzie 1980 r. minister sprawiedliwości powołał komisję, która miała za zadanie znowelizować przepisy tych kodeksów.

— Mnie ten okres kojarzy się ze słynną sprawą Narożniaka, który z powielarni prokuratury wydostał tajną instrukcję, jak zwalczać opozycję...

— Komisja miała inne zadania, a efektem jej pracy były kompleksowe projekty zmian przepisów prawa karnego, które zostały opublikowane w sierpniu 1981 r., ale szerszej dyskusji nie wywołały, gdyż w Polsce wprowadzono stan wojenny.

— W jakim kierunku szły te usprawnienia?

— Miały na celu humanizację prawa: ograniczenie stosowania kary pozbawienia wolności, a także usprawnienie pewnych instytucji prawa karnego.

— Stan wojenny odwrócił te tendencje...

— Rzeczywiście, mimo wcześniejszych deklaracji na temat depenalizacji prawa. My na to nie mieliśmy wpływu. Zajmowaliśmy się w projekcie problemami indywidualizacji środków i metod oddziaływania kary, poszerzenia praw skazanego i tymczasowo aresztowanego, rozszerzenia i umocnienia pomocy społecznej oraz adaptacji osób zwalnianych z zakładów karnych. W okresie stanu wojennego działalność komisji zawieszono. Najwcześniej, choć też po paru latach, wznowił pracę zespół prawa karnego wykonawczego. Niestety nasze działania nie miały zrozumienia, zwyciężyły zasady prawa wojennego, których ukoronowaniem była ustawa z 10 maja 1985 r. o szczególnej odpowiedzialności karnej, której inicjatorem był Komitet Rady Ministrów, kierowany przez gen. Czesława Kiszczaka. Efektem tej epizodycznej ustawy było to, że liczba osób przebywających w zakładach karnych wzrosła o ok. 30 tys. osób. Więzienia zaczęły pękać w szwach. Teraz na przykład we wszystkich więzieniach przebywa ok. 40 tys. osób, nie ma tam przepełnienia. Czegoś takiego nie było jeszcze w całej Polsce powojennej.

— A jak to wygląda w innych krajach? Bo utrzymuje się opinia, że prawo polskie jest bardzo represyjne.

— Porównania trzeba robić bardzo ostrożnie. Nie wystarczy porównać współczynnika osób pozbawionych wolności na 100 tys. mieszkańców, trzeba również uwzględnić stopień, strukturę i dynamikę przestępczości w danym kraju. To stawia nas zresztą w jeszcze gorszej sytuacji, w Polsce nie ma przecież wielkiej, niebezpiecznej, zorganizowanej przestępczości. Nie znamy właściwie terroryzmu, nie istnieje na szerszą skalę handel narkotykami, a także liczba zabójstw nie przybiera alarmujących rozmiarów. Dominują przestępstwa drobne: przeciwko mieniu, a także przeciwko rodzinie, takie jak znęcanie się nad najbliższymi i uchylanie się przed obowiązkiem alimentacyjnym, na co ma wpływ, jak się zdaje, rozpowszechnione u nas pijaństwo. A jeśli chodzi o wspomniany współczynnik, to całe lata mieliśmy ok. 300 osób pozbawionych wolności na 100 tys. mieszkańców, podczas gdy w krajach, uznawanych za represyjne, takich jak Finlandia, nie przekraczał on 100. We Włoszech, kraju w porównaniu z Polską niebezpiecznym, nie ma za kratami więcej niż 50 osób na 100 tys. mieszkańców, w Belgii czy Holandii więźniów jest tradycyjnie bardzo mało. A przy tym w wielu państwach kara kilku miesięcy więzienia uchodzi za surową. U nas ustawowo najniższy wymiar kary pozbawienia wolności wynosi 3 miesiące.

— Czy to nie wynikało ze szczególnej pozycji prokuratury i nadużywania stosowania aresztu tymczasowego?

— Tymczasowe aresztowanie stosowano na pewno w zbyt szerokim zakresie. Preferowane były jego funkcje pozaprocesowe, co równało się represji, nadużywano też pojęcia społecznego niebezpieczeństwa czynu. Procesowo te decyzje były uzasadnione tylko wtedy, gdy zachodziła obawa matactwa albo niebezpieczeństwo uchylania się oskarżonego przed wymiarem sprawiedliwości. Teraz to się znacznie zmieniło, choć z drugiej strony, o ile zakłady karne są jeszcze puste, to areszty śledcze już się zapełniły.

— Co Komisja zrobiła, aby zmienić ten stan rzeczy?

— Komisja była przeciwna represjom, ale jej głosu nikt nie słuchał. Minister orzekł, że nasze ostrzeżenia nie zostaną wysłuchane.

— Czyli były to decyzje polityczne?

— Inspiracje wychodziły z KC PZPR. Materiały przygotowali urzędnicy i Kiszczakowski Komitet do Spraw Przestrzegania Prawa i Praworządności.

— O ile sobie przypominam decyzje te szeroko popularyzowano.

— Prasa pisała o wzroście przestępczości, o pasożytnictwie. Usiłowano wmówić ludziom, że ich niski poziom życia jest rezultatem przestępczości. Tym samym celom służyło wprowadzenie w 1982 r. ustawy o pasożytnictwie, która okazała się całkowitym niewypałem. A wielu światłych ludzi ostrzegało, że tego rodzaju regulacja prawna będzie kosztowała społeczeństwo więcej niż wszyscy pasożyci razem wzięci. Mimo to ustawę uchwalono, organizując odpowiednio wyreżyserowane masówki w zakładach pracy. Odbyło się nawet plenum KC PZPR, tzw. robotnicze w Teatrze Wielkim. Tam właśnie krzyczano o pasożytnictwie, jako o źródle wszelkich nieszczęść narodowych. Komisja była przeciwna tym tendencjom, ale nie miała nic do powiedzenia.

— A jednak minister wprowadził do Komisji korekty. Czy było w niej aż tylu zwolenników represji?

— Tych było niewielu. Zostało jednak ujawnione wiele faktów z przeszłości. Okazało się, że niektórzy, wysoko postawieni członkowie Komisji byli zamieszani w sprawę skazania na śmierć gen. Emila Augusta Fieldorfa, inni działali w jakichś sekcjach specjalnych i mieli na swym sumieniu patriotów. Musieli więc odejść. W składzie odnowionej Komisji znaleźli się ludzie z zacięciem reformatorskim, którzy dotychczas byli najczęściej w jawnej opozycji do PZPR.

— Jakie są założenia zmian w prawie karnym?

— Prawo karne materialne ma sprawdzone instytucje jeszcze z czasów rzymskich i niewiele tu już da się zmienić. Wiele natomiast można zmienić w dziedzinie prawa karnego wykonawczego. Przede wszystkim wrócono do znacznego złagodzenia represji karnej. I to już widać. Okazuje się, że czasem wystarczy zmienić politykę karną. To zresztą dowód niedoskonałości prawa, skoro możliwa jest w ramach tych samych norm taka dwubiegunowość.

— To stwarza pole do manipulacji...

— Dlatego prawo trzeba zmienić na tyle, aby nie stwarzało takich pokus. W tej chwili jest już gotowy projekt reformy kodeksu karnego, co prawda dopiero część ogólna. Redakcja pochodzi z 18 grudnia 1989 r. Są zmiany dotyczące odpowiedzialności karnej i systemu kar. Bardzo charakterystyczny jest art. 1, który otrzymał brzmienie:

„Odpowiedzialności karnej podlega ten tylko, kto popełnia czyn społecznie niebezpieczny zabroniony pod groźbą kary przez ustawę obowiązującą w czasie jego popełnienia i ogłoszoną przed jego popełnieniem".

— Wyczuwam, że na taką właśnie redakcję wpłynęło bezprawne skazanie kierownictwa regionu łódzkiego „Solidarności" w okresie stanu wojennego.

— To jest definicja przestępstwa. Nie wiem, czy to zastrzeżenie „ogłoszoną przed jego popełnieniem" wywołała bezprecedensowa sprawa Andrzeja Słowika i Jerzego Kropiwnickiego, która spowodowała protesty w środowisku prawniczym, bo należy przypuszczać, że było więcej spraw tego typu.

— Co z karą śmierci?

— Projekt znosi karę śmierci, wbrew temu, co mówił w Sejmie minister sprawiedliwości, zapowiadając raczej moratorium. Zdaniem Komisji moratorium, które stanowi zawieszenie stosowania kary śmierci przez pewien czas, nigdy nie przyniosło czytelnych rezultatów, trzeba więc podjąć męską decyzję i znieść ją od razu.

— To mnie cieszy, bo jestem przeciwnikiem kary śmierci.

— Kierunek, który opowiadał się za utrzymaniem kary śmierci, bo były i takie głosy, optował za jej ograniczeniem do spraw zabójstw. Proponowano nawet wyróżnienie, w części szczególnej, dwóch rodzajów zbrodni umyślnego pozbawienia życia innego człowieka, a więc morderstwa, jako postaci kwalifikowanej — i zabójstwa. Karą śmierci zagrożone by było tylko morderstwo. Zresztą i teraz praktycznie wymierza się karę śmierci tylko za zabójstwo, chociaż z przeszłości znamy inne przykłady.

— Jeszcze niedawno zapadały wyroki śmierci w sprawach politycznych.

— Były to, na szczęście wyroki zaoczne, nie pociągnęły więc za sobą krwawego żniwa.

— To argument przemawiający przeciw karze śmierci w ogóle.

— W większości krajów cywilizowanych, przede wszystkim zaś w Europie Zachodniej, karę śmierci zniesiono. We Francji nawet wbrew wynikom referendum. Chociaż wiele osób uważa, że tę najwyższą karę należy zachować i stosować wobec sprawców okrutnych zabójstw, zamiar zniesienia kary śmierci uważam za słuszny. Mam nadzieję, że propozycja ta znajdzie większość w Sejmie i to stosunkowo szybko.

— Kiedy będą gotowe projekty wszystkich zmian?

— Projekty będą gotowe już w marcu 1990 roku i wtedy zostaną ogłoszone. Oczywiście potrzebne jest dość długie vacatio legis. Dlatego, po uchwaleniu przez Sejm, mogą wejść w życie nie szybciej niż z początkiem 1991 roku.

— Opinia publiczna pogodzi się ze zniesieniem kary śmierci, jeśli obywatel otrzyma jakieś gwarancje własnego bezpieczeństwa.

— Gdy zbadano liczbę skazań na karę śmierci w ostatnich latach obowiązywania kodeksu karnego z 1932 r., a także w pierwszych latach obowiązywania nowego w roku 1969, okazało się, że liczba skazań dwukrotnie wzrosła. Podkreślam to, gdyż nowy kodeks w przeciwieństwie do poprzedniego wyłączył stosowanie kary śmierci wobec kobiet i młodocianych do lat osiemnastu. Prócz tego przyjął zasadę, że kara śmierci stanowi środek wyjątkowy, przewidziany tylko za najcięższe zbrodnie. Przyjmuje się, że ten nieoczekiwany rezultat był następstwem zniesienia kary dożywotniego więzienia. Gdyby ta instytucja została utrzymana, być może w wielu sprawach sąd nie orzekałby najwyższego wymiaru kary. Po prostu dla wielu sędziów kara 25 lat pozbawienia wolności nie była dostatecznie ekwiwalentnym środkiem.

— A czy wzrósł też odsetek kar wykonanych.

— Trudno o dane, gdyż statystyka ich nie podaje. Ujmuje tylko wyroki nieprawomocne i prawomocne. I tu powiem, że dochodziło do skandalicznych rzeczy. Było kilka takich wypadków, że liczba skazań prawomocnych w danym roku jest większa od nieprawomocnych. Znaczy to, że Sąd Najwyższy podwyższał wyroki nie oglądając sprawcy. To jest niestety dowód dyspozycyjności pewnych sędziów.

— Prymat ideologii nad sprawiedliwością?

— Jest to co najmniej dziwne. Bo przecież zbrodnia, rozpoznawana przez sąd I instancji jest umiejscowiona, zespół orzekający podlega większej presji opinii, teoretycznie więc sprawa powinna zostać osądzona surowiej. A tymczasem karę śmierci wymierzało się niejako zaocznie, bo sąd II instancji — Sąd Najwyższy — zazwyczaj jest oddalony od miejsca zdarzenia. Były takie 3 przypadki, to znaczy bardzo dużo, gdyż w ogóle liczba skazań na karę śmierci nie była szczególnie wielka. Natomiast nie potrafię powiedzieć, dlaczego nie podaje się statystyki wyroków wykonanych. Ale ich liczba jest z reguły mniejsza niż orzeczonych.

— Jakie kary będzie miał do dyspozycji sąd po reformie?

— Projekt przewiduje dwie kary o charakterze izolacyjnym: 25 lat pozbawienia wolności i dożywotniego pozbawienia wolności. Trzeba pamiętać, że 25 lat to ćwierć wieku, a więc niekiedy praktycznie kara dożywocia. Przy orzeczeniu tej kary sprawca przestępstwa mógłby być warunkowo zwolniony w normalnym trybie, a więc po odbyciu określonej części wyroku. Natomiast przy karze dożywotniego pozbawienia wolności sprawca mógłby być zwolniony z więzienia najwcześniej po upływie 20 lat. To daje gwarancje izolacji, zwłaszcza że do takich przestępców nie miałaby zastosowania amnestia.

— Czy to przekona społeczeństwo?

— Przekona, jeśli w polityce karnej zapanuje wreszcie jakiś nurt stałości. Jeśli to będzie polityka. Represja powinna być wreszcie stosowana w sposób racjonalny. Pamiętajmy, że represja kosztuje. Przepełnione zakłady karne są wielkim ciężarem dla społeczeństwa. Jest mitem, że kiedy więźniowie pracują, to zarabiają na swoje utrzymanie. Teraz sytuacja komplikuje się jeszcze bardziej wobec trudności na rynku pracy, bo ministerstwo sprawiedliwości nie posiada bazy, aby zatrudnić więźniów, a na zewnątrz nikt ich nie zechce.

— Jakie jeszcze nastąpią zmiany i czy rzeczywiście prawo stanie się mniej represyjne?

— Projekt przewiduje kary terminowe, od 1 miesiąca pozbawienia wolności do 15 lat. Obniża się więc dolną granicę, która dzisiaj wynosi trzy miesiące. Prócz tego stosowana będzie znana już obecnemu prawu, kara ograniczenia wolności. Oczywiście odpowiednio zmodyfikowana, ze względu na zmianę rzeczywistości gospodarczej. Będzie ona prawdopodobnie polegała na wykonywaniu nieodpłatnie dozorowanych prac na rzecz samorządu terytorialnego i na cele publiczne w rozmiarze do 50 godzin miesięcznie.

— Czy kolegia do spraw wykroczeń pozbawione zostaną wreszcie prawa wymierzania kary pozbawienia wolności?

— Powołano zespół, który zajmie się tą sprawą. W prawo pozbawiania człowieka wolności mogą być wyposażone tylko niezawisłe sądy, nigdy organ administracyjny. Wykroczenia będą pewnie karane grzywną. Ale i tu sporo się zmieni. Projektodawcy przyjmują system stawek dziennych uwzględniających dochody sprawcy. Jeśli ktoś dużo zarabia, to ta stawka będzie bardzo wysoka. Chodzi o to, aby dolegliwość była jednakowo dotkliwa dla biednych i dla bogatych. Najniższa grzywna będzie wynosiła 14 stawek dziennych, najwyższa 360. Kryje się w tym głęboki sens, gdyż po zamianie grzywny na areszt, będzie można pozbawić wolności skazanego najwyżej na rok. Oczywiście tak wysoką grzywnę może wymierzać tylko sąd, któremu dziś przysługuje prawo zamiany grzywny na areszt nawet trzyletni. To też dowód złagodzenia represji. System stawek dziennych stosuje się dość powszechnie na świecie. Znosi się także karę konfiskaty mienia, bo był to rodzaj odpowiedzialności zbiorowej, gdyż dotykał rodziny sprawcy, która nierzadko popadała w nędzę.

— Wiele krytyki wzbudza dzisiejszy system wykonywania kary.

— Kodeks karny wykonawczy wymaga chyba największych zmian. To wynika z tego, że nie ma on tradycji, bo nie ma poprzednika. I mimo niedostatków, jego uchwalenie i wprowadzenie w życie od 1 stycznia 1970 r. było ogromnym osiągnięciem. Bo wcześniej całe prawo związane z wykonywaniem kary opierało się o regulaminy, początkowo MBP, później MSW i dopiero po 1956 roku Ministerstwa Sprawiedliwości. Uchwalenie kodeksu przerwało „radosną" prawotwórczość, te wszystkie lexy-telexy, jak się mówiło ironicznie w naszym środowisku. Kodeks upoważniał tylko określone organy do wydawania aktów wykonawczych, ale w granicach zakreślonych ustawą.

— A więc kodeks karny wykonawczy zmienił dotychczasową filozofię, ale czy dostatecznie?

— Zmiany powinny pójść dalej, gdyż doświadczenia wynikające z prawie dwudziestoletniego stosowania kodeksu ujawniły, że pewne uregulowania nie sprawdziły się. Umożliwiały przecież różne manipulacje. Kiedy następowało obostrzenie prawa materialnego, obostrzano też automatycznie regulaminy. Kodeks nie stawiał dostatecznej bariery dla surowych kar dyscyplinarnych, szczególnie surowych rygorów. Teraz staramy się tak sformułować normy, aby nie stwarzać możliwości wypaczania ich w regulaminach. W normach tych musi znaleźć wyraźny wyraz fakt, że Polska staje się państwem prawa.

— To ma bezpośredni związek z przestrzeganiem praw człowieka.

— Trzeba bardzo ściśle określić status prawny osób pozbawionych wolności niezależnie od tego, jakie cele będą towarzyszyły karze. Chodzi o jasne sformułowanie praw i obowiązków jednostki ludzkiej. W tej chwili np. można dedukować, że skazany, który nie jest pozbawiony praw publicznych, posiada także prawa wyborcze. A przecież więźniowie w Polsce nie głosują, nie przewiduje tego ordynacja. A przecież nie przestają być obywatelami. Mało tego, chcemy, aby skazany wrócił do społeczeństwa i funkcjonował w nim bez wstrząsów.

Nie wystarczy zresztą prawa tego zapisać, trzeba skazanego wyposażyć w środki jego dochodzenia takie jak prawo do skargi na decyzje administracji. Przyjęliśmy także, że resocjalizacja jest prawem, a nie obowiązkiem więźnia. W takim ujęciu wyraża się szacunek do niego jako do człowieka. Ma to donioślejsze konsekwencje. Mamy przecież świadomość, że wielu skazanych, dotyczy to zwłaszcza sprawców przestępstw nieumyślnych, nie wymaga żadnej resocjalizacji. Będą do niej mieli prawo, ale będzie to ich suwerenna decyzja. Zmusi to zarazem służby więzienne do opracowania indywidualnych programów, które skazany zaakceptuje lub nie. Może to polegać na zadaniu dokończenia nauki w zakresie szkoły podstawowej czy zawodowej. Albo na obowiązku przeczytania określonych lektur. Powstanie więc szansa współdziałania, coś na kształt stosunku jaki czasem wytwarza się między pacjentem i lekarzem. Natomiast w stosunku do młodocianych wymóg resocjalizacji będzie obligatoryjny.

— Czy przewiduje się status więźnia politycznego?

— Choć takiego zapisu się jeszcze nie dopracowaliśmy, nie można zapominać o takim problemie. Są kłopoty nawet z definicją. Co to znaczy więzień niekryminalny? Jak określić przestępstwo polityczne? Jest propozycja, aby takich ludzi nazywać więźniami sumienia, ale to też termin nieadekwatny, bo czy go można np. odnieść do osoby, która z pobudek ideowych podłożyła bombę w samolocie. Sposób wykonania kary wobec tej kategorii skazanych wymaga jeszcze przemyśleń.

— Dotychczas więzienia były zamknięte przed kontrolą społeczną. Czy to się powtórzy?

— Jest w tej chwili miejsce dla autentycznych organizacji społecznych typu patronackiego. Ich członkowie będą mieli prawo wstępu do zakładów karnych, rozmowy z więźniami bez obecności innych osób, udzielania pomocy prawnej, moralnej, a także materialnej. Będą się mogli zajmować również adaptacją skazanych po opuszczeniu przez nich więzienia.

— A co z aresztami milicyjnymi? Nie mają one, zwłaszcza po śmierci Przemyka, najlepszej opinii.

— Areszty milicyjne i areszty przy jednostkach WOP będą zlikwidowane. Milicja, a może policja, będzie dysponować jedynie izbami zatrzymań, natomiast wyklucza się możliwość osadzania tam osób tymczasowo aresztowanych. To sprawa przesądzona.

— A jak pan profesor ocenia rezultaty ostatniej amnestii?

— Intencje były dobre, ale wykonanie fatalne. Popełniono błąd prowadząc bezpośrednie rozmowy z więźniami. Skutek w postaci buntów, niszczenia zakładów karnych, a nawet ofiar śmiertelnych był raczej do przewidzenia. Zabrakło także odpowiednich przygotowań. Zwolniono tych ludzi z więzień 20 grudnia 1989 r., a więc tuż przed świętami. W tym okresie większość urzędów nie pracuje. Dlatego wielu amnestionowanych koczowało na dworcach, często bez pieniędzy, bo na drogę dostali po 19 tys. złotych, a to dziś niewiele. Po prostu nie istniały chyba techniczne możliwości jednorazowego zwolnienia tak dużej liczby więźniów, bo to było ponad 12 tys. osób.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

ze str. 1

Kozaków, Serbów i Chorwatów do ich krajów rodzinnych, gdzie czekała na nich śmierć. Hrabia Tołstoj przypomniał sprawę zamkniętego niedawno śledztwa w sprawie udziału prezydenta Austrii Kurta Waldheima w morderstwie, jakiego dopuszczono się na sześciu komandosach brytyjskich.

— *A tutaj* — powiedział — *mamy do czynienia ze śmiercią 70 tysięcy ludzi i to w okresie pokoju i w tej sprawie żadnego śledztwa nigdy nie rozpoczęto. Wiele potężnych organizacji, instytucji i osób celowo starało się nie dopuścić do tego, aby ta sprawa ujrzała światło dzienne.*

Hrabia Nikołaj Tołstoj przyznał przed sądem, że przyjmuje do wiadomości, iż obowiązkiem Lorda Aldingtona jako szefa sztabu V Korpusu była interpretacja otrzymywanych rozkazów i ich realizacja, tam, na miejscu, w Karyntii. Jednakże podkreślił, że Lord Aldington zawsze interpretował otrzymane rozkazy w *„sposób skrajny i najbardziej nieludzki"*, a wyjaśnienie Lorda Aldingtona, iż osoby cywilne zostały przyłączone do wojska z pobudek wysoce etycznych i iż decyzja ta wynikała z przeświadczenia, że cywile nie będą chcieli rozdzielić się z żołnierzami, hrabia Tołstoj określił jako „groteskowe". Lord Aldington bowiem, zdaniem hrabiego, doskonale zdawał sobie sprawę, iż wysyła tych wszystkich ludzi na niechybną śmierć.

Żona hrabiego Nikołaja Tołstoja wybuchnęła płaczem w chwili odczytania wyroku.

Nie pocieszył jej nawet piękny bukiet róż, jaki Georgina Tołstoj dostała od nieobecnego na sali w chwili ogłaszania wyroku, drugiego z pozwanych Nigiela Wattsa. Ich córeczka pochlipywała przez całą ostatnią odsłonę procesu. Były wiceszef brytyjskiej partii konserwatywnej Lord Aldington opuszczał budynek Sądu Najwyższego w Londynie z promiennym uśmiechem, a na pytanie dziennikarzy, co zrobi z tak pokaźną sumą pieniędzy, odpowiedział:

— *Jeszczem jej nie dostał do ręki. Poczekajmy — zobaczymy. A poza tym mam dużo rachunków do zapłacenia. Najważniejsze jednak, że skończył się ten kilkuletni koszmar, a moje imię zostało oczyszczone i moje wnuki mogą spać spokojnie.*

Nieliche musi mieć Lord Aldington rachunki do spłacenia, bowiem w wyniku decyzji sądu, przyznano mu rekordową sumę odszkodowania — półtora miliona funtów szterlingów. Wysokość przyznanego odszkodowania wywołała szok w brytyjskich środkach masowego przekazu, poruszenie w środowisku prawniczym, które domaga się odebrania ławnikom prawa określenia odszkodowania w sprawach o zniesławienie, wreszcie dotknęła samych zainteresowanych. Hrabia Nikołaj Tołstoj pobladły, lecz dzielnie trzymający się w czasie i po ogłoszeniu decyzji, zdaje sobie świetnie sprawę, że przyszłość jego rodziny rysuje się w bardzo ponurych barwach. Wszak pozwani muszą jeszcze wnieść do sądu sumę miliona czterystu tysięcy funtów tytułem opłat za koszty procesu.

— **Wyrok był do przewidzenia — powiedział hrabia Nikołaj Tołstoj.** — *Jednak po jego wydaniu moja ocena wymiaru sprawiedliwości w Wielkiej Brytanii nie jest już tak optymistyczna jak poprzednio. Oczywiście, że będziemy wnosili apelacje. Jednak liczę się z tym, że będę musiał sprzedać dom i bibliotekę, ale tak na dobrą sprawę to nie wiem, co „oni" mogą mi w ogóle zabrać, bo gdyby chodziło nawet o sto tysięcy funtów też nie miałbym z czego się wypłacić. Swoją walkę prowadzę w zgodzie z zasadami i moim sumieniem.*

Prasa brytyjska prześciga się w robieniu zestawień słynnych procesów o zniesławienie.

Półtora miliona funtów za zniesławienie

Ten ostatni pobił wszelkie rekordy. Poprzedni, wytoczony przez Eltona Johna brukowcowi „The Sun" przyniósł zasądzenie odszkodowania w wysokości miliona funtów. Ale prasa brytyjska zajmuje się również historycznym aspektem tej sprawy, bo chociaż jak ktoś powiedział na procesie — *„Nie sądźmy tutaj Wielkiej Brytanii, to jednak sprawa ta kładzie się ponurym cieniem na historię tego kraju"*.

Co zdarzyło się w Karyntii w 1945 r.?

Sir David Hunt, który wiosną 1945 roku dowodził... Oddziałami Historycznymi Centralno—Śródziemnomorskich Sił Zbrojnych, przebywał w tym czasie w Millstat, gdzie oddział miał swoją kwaterę. Sir Hunt pisze, że prowincja była po prostu przeładowana wojskiem; brytyjskim, niemieckimi jeńcami, dywizją Kozaków, dwoma dywizjami kawalerii węgierskiej, oddziałami serbskimi, chorwackimi, wszelkiego możliwego kalibru odłamami antytitowskimi oraz utrzymywanymi przez Niemców oddziałami Straży Wewnętrznej rekrutującej się spośród Słoweńców. Jednak zdaniem Sir Hunta rzeczywistym czynnikiem, który wpłynął na wzrost napięcia do granic wytrzymałości, była obecność 16-tysięcznej 1, 2, i 3 armii Josifa Broz Tito, który zamierzał pozostać w Karyntii i przyłączyć ją do Jugosławii. Klagenfurt (Celovee) i Villach (Beljak) zamieszkiwane były przez znaczną liczebnie grupę Słoweńców. W Klagenfurt władze jugosłowiańskie proklamowały przyłączenie regionu do Jugosławii. Josif Broz Tito zamierzał również dokonać aneksji północno-wschodniej części Włoch wraz z Triestem. Właśnie tam panowała szczególnie napięta sytuacja. Marszałek Polny Aleksander liczył się nawet z możliwością zbrojnego konfliktu z armią Josifa Broz-Tity i nie wykluczał, iż Związek Radziecki udzieli Ticie poparcia.

Brytyjczycy, w przypadku ewentualnego konfliktu nie mogliby liczyć na pomoc Amerykanów, gdyż prezydent Harry Truman wyraźnie ostrzegł rząd brytyjski, iż życzy sobie uniknięcia *„takiej sytuacji, w której żołnierze amerykańscy musieliby walczyć przeciwko żołnierzom Tity"*. Sir David Hunt podkreśla jednocześnie, że w armii brytyjskiej dominowały uczucia na pograniczu podziwu w stosunku do wojsk Josifa Broz-Tity. Cieszono się, że wojna się skończyła. Nie trzeba dodawać, z jaką niechęcią patrzono na tych, którzy przeciwko Ticie walczyli. Josif Broz Tito był towarzyszem broni Anglików. Żołnierz brytyjski walczył ramię w ramię z żołnierzami Josifa Broz-Tity przeciwko hitlerowskim Niemcom. Nie można też zapominać — zwraca uwagę Sir Hunt — że *„w 1945 roku Armia Czerwona cieszyła się ogromną popularnością. W armii dominowały nastroje antykonserwatywne, czego najlepszym dowodem były wyniki wyborów powszechnych w Wielkiej Brytanii. Wujaszek Stalin był podziwiany i liczono na stałe i przyjacielskie stosunki ze Związkiem Radzieckim. Trudno się więc dziwić, że wartości walki antyniemieckiej dominowały nad walką antykomunistyczną"*.

Nie pomagała całej sprawie, szczególnie w przypadku Kozaków, zła sława, jaka towarzyszyła 162 dywizji Turkonańskiej. Jej żołnierze dopuścili się wielu okrucieństw, a w północno-wschodnich Włoszech nazywano ich „Mongołami". Większość żołnierzy brytyjskich chętniej dawała ucha stwierdzeniom, że repatriowanym wytoczone zostaną uczciwe procesy. Poza tym wierzono, że przyspieszy to powrót do domów brytyjskich jeńców wojennych przetrzymywanych przez Józefa Stalina. Lord Aldington powiedział na procesie, że był przekonany, że tym, których odsyłano do Josifa Broz-Tity wytoczone zostaną uczciwe procesy.

Niedaleko od Klagenfurtu znajduje się miasteczko Rosenbach.

Tam przed niemal półwiekiem Brytyjczycy z 5 Brygady przekazywali oddziałom Josifa Broz-Tity, tych wszystkich, którym miano wytoczyć w Jugosławii uczciwy proces. Na południe od stolicy Słowenii Lubljany, nie tak znów daleko od Klagenfurtu, okolica jest górzysta i pokryta gęstym lasem. Tu i ówdzie przycupnęły niewielkie wsie i miasteczka. W Grezarjewie znajdowały się stare i nie używane sztolnie. Pewnego dnia rejon ten nawiedziły ulewne deszcze. Woda strumieniami przewalała się uliczkami wsi i podmyła cement, którym zalano sztolnie. Cement popękał i rozpadł się. Potoki deszczu zaczerwieniły się. Spod warstwy potrzaskanego betonu płynęła krew. Bydło nie chciało pić wody. Miejscowi chłopi, nieświadomi niczego, rozkopali ziemię zmieszaną z resztkami cementu i wydobyli setki rozkładających się ciał. W Kocevskim Rogu jeńców pętano drutem i wrzucano do 30-metrowej głębokości wykopu, który następnie dokładnie zasypano. Potem posadzono na tym miejscu drzewa.

Czterdzieści cztery lata po tamtych wydarzeniach, pomimo starań słoweńskiej gazety „Mladina", która próbowała dociec prawdy odszukując dawnych partyzantów, niewiele wiadomo szczegółów na ten temat. Dwie główne postacie tragedii, Iwan Macek, były szef policji i przez dziesięciolecia znacząca postać jugosłowiańskiego życia politycznego oraz Mitja Ribicić, niegdyś premier Jugosławii, milczą jak zaklęci. Obydwaj byli bezpośrednio odpowiedzialni za los przekazanych jeńców.

Tymczasem w muzeum Wojskowego Instytutu Historycznego w Belgradzie, brygadier Anthony Cowggill, prowadzący na własną rękę niezależne badania w tej sprawie, odnalazł rozkaz Josifa Broz-Tity, aby za wszelką cenę nie dopuścić do rozstrzeliwania odebranych od Brytyjczyków jeńców wojennych, a sprawy osób odpowiedzialnych za popełnienie zbrodni wojennych powinny być przekazane sądom wojskowym.

Lord Aldington powiedział:

— *To oczywiste, że żaden z nas nie był takim draniem, aby wysłać tych ludzi na pewną śmierć. W sumie, to dużo o Ticie nie wiedziałem, poza tym, że był naszym wspaniałym sojusznikiem. Niektórzy mówili, że Jugosłowianie bali się. Jasne. Inaczej dlaczego uciekaliby do Austrii. Mieliśmy do wypełnienia rozkaz i musieliśmy go wypełnić, bez względu na to jak obrzydliwym by on nie był. Jeśli chodzi o kobiety i dzieci to sam podpisałem ten rozkaz. Nie spodziewaliśmy się, że zostaną zamordowani. Wydawało mi się to logiczne, nawet pewnym ustępstwem z naszej strony, że rodziny odejdą wraz z wojskiem. Odtransportowaliśmy Chorwatów na stację i załadowaliśmy ich do pociągów. O ile mogę sobie przypomnieć obyło się bez użycia siły. Inna sprawa z Kozakami. Trzeba było użyć siły. Taki sam rozkaz dostała w sierpniu Brytyjska Armia Renu i ten rozkaz też został wykonany, a nie nakładano na naszych żołnierzy jakiegoś specjalnego ograniczenia użycia siły. Większość z tych ludzi nie wiedziała dokąd jadą, wielu sądziło, że do Włoch. Ja nie wydawałem takiego rozkazu, aby im to powiedzieć, ale jak już się plotka rozniosła to ani jej nie potwierdzaliśmy, ani jej nie dementowaliśmy. W ten sposób mogliśmy ograniczyć użycie siły. Nie uważam, aby to była jakaś zdrada albo podstęp. To był tylko i wyłącznie wymóg bezpieczeństwa. Ogólnie panuje przekonanie, że gdyby Kozaków odesłano do Eisenhowera, który wyraził zgodę na ich przyjęcie, to sprawy miałyby się inaczej. Uważam, że Eisenhower też by ich oddał Stalinowi.*

MAREK BRZEZIŃSKI

— **Jest pani młodą i atrakcyjną kobietą: nie boi się pani wchodzić do różnych, często bardzo podejrzanych mieszkań?**

— Czasem się boję i nie zawsze wchodzę do mieszkania, całą sprawę załatwiam na schodach, na korytarzu. Nie słyszałam, aby ktoś listonoszkę zgwałcił, były przypadki uwiedzenia, a nawet pobicia. Uwiedzone listonoszki raczej nie występowały na drogę sądową ze skargami na uwodzicieli. Przeważnie kończyło to się małżeństwem. Znam tylko jeden przypadek sprawy sądowej o alimenty. Potem się okazało, że ojcem jest zupełnie ktoś inny...

— **Jakie są choroby zawodowe listonoszy?**

— Najczęściej spotykanymi chorobami są żylaki, skrzywienie kręgosłupa.

— **Nigdy nie widziałem grubego listonosza?**

— Sylwetki mamy zgrabne, przeciętna życia listonosza jest wysoka. Żyje się biednie, ale długo.

Co grozi listonoszowi?

Rozmowa ze ZDZISŁAWĄ S. — listonoszką najzupełniej prawdziwą.

— **Ale ludzie skarżą się na was: gazet nie chcecie nosić.**

— A, to już zupełnie inna sprawa: za przyniesienie gazety do domu poczta otrzymywała cztery złote. A koszt takiego interesu powinien wynosić około piętnastu złotych za egzemplarz.

— **A ile pieniędzy dostajecie na rękę?**

— Oficjalnie poniżej średniej krajowej. Ratuje nas tylko kieszonkowe, które otrzymujemy od adresatów: bo pieniędzy roznosimy sporo.

— **Ile wynosi suma napiwków miesięcznie?**

— Czasami nawet więcej niż podstawowa pensja! To zależy od dzielnicy.

— **A gdzie pani poznała swojego męża?**

— Chodziłam po swoim rejonie, zapoznałam się z nim, dałam się uwieść, no i... jestem mężatką. Mamy dwoje dzieci... On też jest listonoszem.

— **Słyszałem, że macie do obrony pistolety gazowe.**

— Mieliśmy dostać takie pistolety, ale były kłopoty z milicją: trzeba chodzić na kurs posługiwania się tą bronią, potem jeszcze trzeba byłoby wychodzić prawo jej posiadania. I w końcu ta sprawa upadła.

— **Jakie macie przywileje?**

— Za opłatą ulgową i w krótkim terminie włączają nam telefon i mamy aż pięćdziesiąt rozmów za darmo. Także radio i telewizja bez opłat. No i mundur, torba, buty, których zdzieramy kilka par rocznie. Ale i tak ostatnio wielu listonoszy odchodzi z tej pracy, przeważnie do firm polonijnych.

— **A pani?**

— Chyba zostanę.

Rozmawiał:
ROMAN GORZELSKI

Kolejna propozycja „Drewbudu".

Promesa czyli tani kredyt

— **Pisał pan tyle o tym „Drewbudzie", chwalił ich, a teraz co, cisza zupełna? Niechże pan wytłumaczy jak to jest z tymi promesami...** — list od **pana Henryka Krainy z Pabianic zarzuca mi wyraźnie opieszałość. O szczegóły dotyczące ostatniej operacji poznańskiej korporacji budowlanej dopytywało się też kilka osób telefonicznie.**

Drodzy Państwo! Niżej podpisany naprawdę nie jest rzecznikiem prasowym „Drewbudu", a poza tym słuchając ostatnimi dniami radia, telewizji, przeglądając prasę można dojść do wniosku, że w tym kraju poza działalnością korporacji faktycznie niewiele się dzieje. Reklama goni reklamę — i bardzo dobrze: mają pomysł, chcą go dobrze sprzedać to i na reklamę nie mogą żałować...

Słów kilka o samej promesie. Z pewnością jest to pierwsza tego typu oferta w kraju, a „Drewbud" — pierwszą firmą, która... kredytuje klientom własne wyroby. Propozycja dotyczy zakupu domów w elementach w latach 1944—1998, a „Drewbud" próbuje po prostu ulżyć w finansowej „doli" swym klientom. Krótko mówiąc: wykupując promesę kredytową ma on pewność, iż „Drewbud" w momencie odbieranie przez niego domu udzieli mu niskoprocentowego kredytu, którego wysokość wahać się może od 30 do 50 proc. wartości elementów. Jest to faktycznie korzystna oferta, biorąc pod uwagę, iż dziś korporacyjne delikatne szacunki mówią o kwocie 1 miliona złotych z 1 metr kwadratowy powierzchni domku. W przypadku większych obiektów ich wartość z powodzeniem przekroczy 150—160 milionów złotych, a więc kredyt dla zapewne ogromnej większości klientów będzie jedyną deską ratunku. Dodatkowe atuty samego kredytu, to zaledwie 6 procent rocznego oprocentowania (dla właścicieli gospodarstw rolnych — nawet 4 procent!). Zaś spłata kredytu rozpocznie się po rocznej karencji od dnia odbioru domu od producenta. Rozłożona ma być minimum na trzy lata, choć wiem ze źródeł nieoficjalnych, iż biorąc pod uwagę doskonałą kondycję firmy, termin ten może być wydłużony do 5, a nawet 10 lat. Gwoli ścisłości trzeba by jeszcze dodać, iż otrzymanie tego kredytu w niczym nie ogranicza starań o klasyczny kredyt bankowy na jednorodzinne budownictwo.

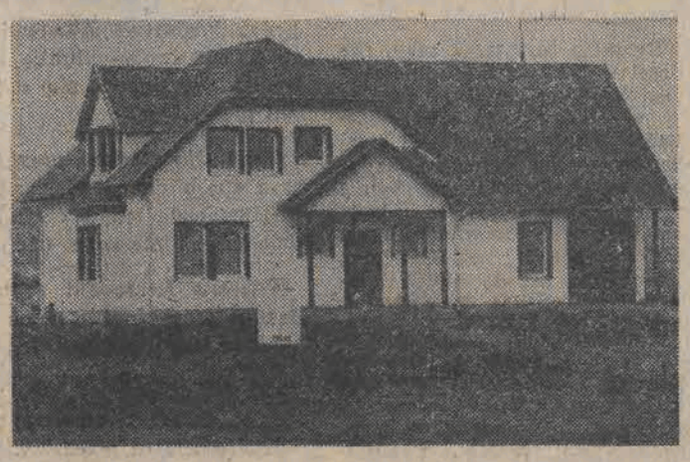

Domek typu DW-003, o powierzchni użytkowej ponad 164 metry kwadratowe. Od grudnia można go obejrzeć (i dotknąć) na terenie stałej wystawy firmy „Drewbud" w Poznaniu przy ulicy Czarna Rola 1/3.

Resztę znacie Państwo już zapewne na pamięć z reklam telewizyjnych: wartość promesy niemała — 10 milionów złotych, powszechna sprzedaż w dniach 19—28 lutego 1990, a wpłaty w bankach, placówkach PKO, urzędach pocztowych i oczywiście w kasach kilkunastu już Przedsiębiorstw Budowy Domów „Drewbud". Ilość miejsc ograniczona — jak zwykło się mawiać, sam nie wiem czy przy naszej kondycji to dużo czy mało, dość, że przygotowano 30 tysięcy promes.

Dopytują się także Czytelnicy, kiedy można będzie w Łodzi obejrzeć pierwszy z serii drewbudowskich domów. O ile pamiętam ponad 1000 akcjonariuszy pochodzi z Łodzi, a siedmioro wylosowało domki bezpłatnie z terminem realizacji w roku bieżącym. Jeśli więc nie pozbyli się akcji, sprzedając je w drugi koniec Polski, to gdzieś na przełomie trzeciego i czwartego kwartału, można będzie w naszym mieście przyjrzeć się „małemu, białemu" z bliska. Nawiasem mówiąc, w Łodzi ma również powstać wkrótce przedstawicielstwo Korporacji „Drewbud".

I ostatnia sprawa. Pytają Państwo, na co zostały przeznaczone pieniądze, jakie „Drewbud" zdobył w wyniku tak udanej sprzedaży akcji. Wiem, że precyzyjne rozliczenia zostaną dostarczone posiadaczom akcji po Walnym Zgromadzeniu w kwietniu, ale generalnie można powiedzieć, że przeznaczono te pieniądze na poszerzenie bazy rozwojowej firmy, na jak najszybszą realizację programu budowy domów typu „Drewbud". Przejęto wiele nierentownych zakładów, zainstalowano linie technologiczne, których produkcja przeznaczona jest wyłącznie na potrzeby Korporacji, inwestuje się w nowe rozwiązania i technologie, pożycza wreszcie poszczególnym przedsiębiorstwom, by mogły unowocześnić swoją produkcję.

Korporacja Budowlana „Drewbud" działa raptem 10 miesięcy i w tym czasie przełamała wiele utartych, skostniałych schematów dotyczących nie tylko budowy domów typu kanadyjskiego, ale przede wszystkim szeroko rozumianego biznesu, przedsiębiorczości, nowoczesnego finansowania inwestycji. „Drewbud" — to niezły biznes, o czym świadczy choćby cena akcji, wahająca się dziś w granicach 20—23 milionów złotych. A czy warto wykupić promesę? To już sprawa indywidualna....

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

22 lutego 1990 r. — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15.

1 marca 1990 r. — BOGDA MADEJ — godzina 10—15.

TELEFON 36-77-70 CZEKAŁ NA CIEBIE.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO W DNIU 16 BM.

Po tym dyżurze postanowiłem niezłomnie, iż nie będę interweniował (i zamieszczał efektów rozmów i interwencji) w sprawach prostych, przyziemnych, takich, które powinny być załatwiane jednym telefonem. Nie do redakcji oczywiście. Chciałoby się generalnie krzyknąć: Ludzie — weźcie wreszcie swój los w swoje ręce! Przestańcie wydzwaniać w sprawie fatalnie pracujących urzędników, ludzi z ROM czy PGM, brudnych skwerów i nie wywożonych śmieci. Zajmijcie się tym sami, jako autentyczni gospodarze, właściciele terenów, na których mieszkacie. Działajmy już teraz, dziś, zażarcie i z wyobraźnią! Po raz pierwszy naprawdę we własnym interesie. Taki będzie nasz DOM, jaki sobie sami stworzymy...

Odnotuję więc tylko kilka telefonów nietypowych. Rodzinę samochodowych męczenników, czyli użytkowników krajowych pojazdów powiększył pan **Sławomir Mikołajczyk**, który w kilka dni po odebraniu nowego „Poloneza" nie może dopchać się (dosłownie!) do placówki „Polmozbytu", w której usunięto by w ramach gwarancji usterki występujące w trakcie eksploatacji samochodu.

Pan **Grzegorz M.** w ciekawej formie poruszył kilka „dyżurnych" tematów. Otóż za naszym pośrednictwem zapytuje się Czytelnik MPK jaka jest różnica w funkcjonowaniu autobusów linii „78" i pośpiesznej „B", skoro na odcinku Teofilów — Lutomierska/Klonowa — zatrzymują się wozy obu linii na tych samych przystankach. Analogicznie ma się sytuacja z liniami „85" i „E" na trasie Dw. Północny — Armii Czerwonej/Promińskiego. Odpowiedź, częściowo, znamy: różnica polega na innej cenie biletów...

Dwie kolejne osoby: pani **Iwona Jedynak** i pan **Antoni Białek** telefonowali w tej samej sprawie — słynnego już na Widzewie—Wschodzie bloku numer 801. (Gorkiego 10/12). W ogromnym skrócie sprawa ma się tak: nietypowy i pewnie dlatego budowany bodaj siedem lat blok miał być oddany pod koniec ubiegłego roku, gdy inne niż dziś były wysokości wszelkich opłat. No i zrozumiałe, że lokatorzy czują się oszukani: oddanie mieszkań przeciągnęło się i raptem za metr kwadratowy w systemie własnościowym trzeba płacić nie 600 tysięcy złotych, a już 830 tysięcy złotych. Nie wiemy jak z tego kłopotu wybrnie **RSM „Bawełna"**, sprawa jest nadal otwarta.

Jeśli wkrótce wybuchnie epidemia dżumy, czerwonki czy innej cholery, to z pewnością za sprawą posesji przy ulicy **Sienkiewicza 5 w Aleksandrowie.** Od telefonującej do nas siostry pani **Aliny Kubiak** dowiedzieliśmy się o zapchanym tamże od kilku miesięcy(!) szambie, wylewających się nieczystościach i nieskutecznych, jak dotąd interwencjach we wszelkich właściwych instytucjach z ROM i Sanepidem włącznie...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

PS. Dotarły też do mnie wczoraj sygnały, iż „niektórzy z załogi" — tak to określono — **ZPP „Feniks"** poczuli się dotknięci sformułowaniami użytymi przez dyrektora tejże firmy w króciutkim wywiadzie sprzed dwóch tygodni na temat planowanych zwolnień. Najbardziej ponoć zbulwersowało ludzi stwierdzenie, iż „lenie i oboiboki z produkcji jako pierwsi pójdą „pod młotek". Czyżby zamiłowanie do łagodnej stylistyki pięknych lat minionych? „— Nie ulega kwestii, iż osoby mało wydajne, nie wywiązujące się ze swych obowiązków jako pierwsze znajdą się na liście przeznaczonych do niezbędnych redukcji". Lepiej? Pod ręką mam jeszcze pięć innych wersji...

(D. D.)

ZWIERCIADŁO RZECZYWISTOŚCI

Język jest zwierciadłem rzeczywistości, nie tylko środkiem komunikacji między ludźmi. W latach trzydziestych wśród radzieckich złodziei kieszonkowych rozpowszechnił się termin: nacjonalizacja. Tym mianem ochrzcili dokonywane przez siebie kradzieże.

Obecnie w Związku Sowieckim upowszechniło się nowe słowo. Jeszcze do niedawna milicyjna pałka nosiła nazwę „dubinki". Etymologia jest jasna — od pałki dębowej. Obecnie, kiedy milicja zaczęła rozpraszać demonstrantów pałka zyskała wśród ludzi nową, wielce znaczącą nazwę — demokratyzator.

kof.

PODŚWIADOMOŚĆ?

W programie „Interpelacje" minister budownictwa **Aleksander Paszyński** oświadczył zdumionym telewidzom, że jego resort przygotowuje **kompromitujący** projekt zadośćuczynienia właścicielom bezprawnie skonfiskowanych gruntów w Warszawie. Poprawiony przez swych współpracowników przyznał, że chodzi o projekt **kompromisowy.**

Przejęzyczenie to czy głos podświadomości, niezależny od ministra? Czy w resorcie krytykowanego zewsząd budownictwa znajdzie się jakiś Freud, który nam to objaśni?

j.d.

STOWARZYSZENIA

W okresie od 1.I.1990 roku Sąd Wojewódzki w Łodzi zarejestrował: Związek Wysiedlanych Ziemi Łódzkiej, Stowarzyszenie Karate tradycyjnego w Polsce FUDOKAN, Łódzkie Stowarzyszenie Narodowe Czynu Pomocy Szkole, Stowarzyszenie Aleksandrowska Akcja Społeczna.

Odrzucono natomiast wniosek o rejestrację Komitetu Założycielskiego Towarzystwa im. Markiza de Sade.

Na rejestrację oczekują: Towarzystwo Polska — Holandia, Stowarzyszenie Kupców Łódzkich, Związek Emerytów i Rencistów „Solidarność" w Łodzi.

RELACJE

Hanna Krall „Trudności ze wstawaniem" wyd. „Alfa" — 14.500

Włodzimierz Iljicz Lenin „Dzieła zebrane" t. 1—10 — 2.400

Kilogram landrynek owocowych — 12.550

Wózek dziecięcy — 161.000 zł

Neseser podróżny — 245.000 zł.

Rys. Dariusz Pietrzak

CO NAPRAWDĘ ZROBIŁA MISS?

„Panna Kasia podpisała czek" — donosi „Express Ilustrowany" tytułując tak poufale informację na temat funduszy, które ten dziennik wraz z Łódzką Agencją Artystyczną wpłacił na fundusz „SOS". Z samej noty, zilustrowanej zdjęciem, można się dowiedzieć, że Miss Ziemi Łódzkiej **p. K. Janas „podpisała przekaz na sumę 1 mln 468 tys i 70 zł".** Niestety, informacja jest daleka od prawdy. Panna Kasia na pewno nie podpisała czeku, gdyż oznaczałoby to wybulenie pieniędzy z własnego konta, a w tej akcji nie o to chodziło. Panna Kasia nie podpisała także przekazu, gdyż nadawca przekazu nie podpisuje — robi to urzędnik pocztowy potwierdzając pieczęcią przyjęcie przesyłki. Stąd wniosek, że panna Kasia mogła co najwyżej wypełnić przekaz udowadniając, że umie pisać, w co nie wątpimy.

Wątpimy natomiast w umiejętność pisania autora notatki (bej).

skr.

„Mówią, że benzyna staniała..."

Plotka przy pompie

Do **Okręgowej Dyrekcji „CPN"** zgłasza się ostatnimi tygodniami wiele firm i osób prywatnych z propozycją importu wysokooktanowej etyliny. Ba, jeszcze w listopadzie 1989 r. z taką propozycją wystąpiło między innymi PZ „Karimex". Ustalono pewne podstawowe założenia (cena 1950 złotych za kilogram), i cisza. „Karimex" milczy.

Faktem też jest, iż w sumie w kilkunastu stacjach w zachodnich województwach pojawiła się etylina „98" w cenie od 2600 (bodaj obecnie we Wrocławiu, po przecenie) do 3 tysięcy złotych za litr. Dlaczego właśnie tam? Ano, pomijając sprawę przedsiębiorczości, pewnie dlatego, iż jak twierdzą fachowcy cała zabawa jest opłacalna, gdy autocysterna z paliwem pokonuje do stacji trasę nie dłuższą niż 100—120 kilometrów.

Ale i w dyrekcji **CPN przy ulicy Gdańskiej** urywały się telefony z benzynowymi, intratnymi propozycjami. Choć we wszystkich przypadkach — na takiej ofercie się kończyło. Pewnym wyjątkiem jest jedynie firma, o której ostatnio głośno, firma **„Axel"**, lub jak kto woli **„Dom Handlowy"**, adres — **Piotra Skargi 12.**

— Ja w każde chwili mogę przestać odbierać etylinę 94 z Mazowieckich Zakładów Rafineryjno-Petrochemicznych w Płocku — zarzeka się dyrektor Okręgowej Dyrekcji CPN w Łodzi — **Edward Gliszczyński.** — Płacę im obecnie 2187 złotych za litr, toteż pójdę na każdy układ, który pozwoliłby obniżyć ostateczną cenę paliwa na stacji. Proponowano mi już paliwo po 1500 złotych z dostawą do Koluszek lub Zgierza. Proszę bardzo! Ale niechże ono fizycznie dotrze, wówczas klienci mogą liczyć na kupno wysokooktanowej benzyny w cenie poniżej 2 tysięcy złotych. Ale gdzie ono jest?!

— Przedstawiciel firmy „Axel" otrzymał od nas projekt umowy; przy cenie 1500 złotych za litr zamawiamy minimum 4 tysiące do 10 tysięcy ton paliwa miesięcznie. My jesteśmy gotowi, pieniądze są — czekamy na kolejny krok ze strony oferenta.

Chętnym, przedsiębiorczym biznesmenom dodam tylko garść szczegółów, o których warto wiedzieć nim zaproponują nam „tanie, niemieckie paliwo". Transport morski praktycznie odpada, bowiem w Gdańsku mieści się ponoć swobodnie przy specjalistycznym nabrzeżu zbiornikowiec, który jednorazowo przywiezie nie więcej niż 10 tysięcy ton paliwa. A może transport kołowy? Proszę bardzo: minimum 3 tysiące za kilometr przy wydzierżawieniu jednej autocysterny. Pozostaje jeszcze kolej i pertraktacje z dyrekcją Eksploatacji Cystern. Pozostaje jeszcze cło... 12 procent wartości towaru...

Raf jest wiele. Teoretycznie wszystkie „do przeskoczenia". Poczekamy — zobaczymy. Zastanawiam się tylko, dlaczego tacy potentaci jak **„Shell", „Agip", „ESSO"**, z którymi były także w ubiegłym roku prowadzone oficjalne rozmowy na temat dostaw paliw do Polski zachowują dyplomatyczne milczenie.

D. D.

Rozmyślania pani woźnej.

Popiół czy diament?

1.

Marię Nurowską „Kobieta i Życie" zaliczyła w poczet Kobiet Roku 1989. Maria Nurowska otrzymała w 1989 roku prestiżową nagrodę Stowarzyszenia Księgarzy za powieść „Postscriptum". Maria Nurowska osiągnęła w krótkim czasie pełen sukces literacki: uznanie krytyki i czytelników.

Po emisji w Telewizyjnym Teatrze sztuki Marii Nurowskiej „Małżeństwo Marii Kowalskiej", radio nadało długi wywiad z pisarką. Pierwsza część wywiadu tyczyła jej drogi twórczej, druga jej poglądów. Maria Nurowska opowiedziała się jako zdecydowana przeciwniczka komunizmu, do czego posiada zresztą niepodważalne prawo. Nie wiem jednak (i wątpię), czy posiada prawo do wygłaszania stwierdzeń następujących: 1) Ostatnim wartościowym pokoleniem młodych Polaków było pokolenie AK-owców. 2) A było ono dlatego ostatnim, że wszystkie kolejne zostały zdemoralizowane i wypaczone przez komunizm. 3) Oraz lekturę paszkwili, fałszujących historię, w rodzaju „Popiołu i diamentu" Jerzego Andrzejewskiego czy „Kolumbów" Romana Bratnego. 4) Które to lekutry — i im podobne — aby dłużej nie wypaczały kolejnych pokoleń, należy wycofać z bibliotek i oddać na makulaturę.

2.

Moja licealna młodość chmurna i durna, od klasy ósmej do jedenastej, maturalnej (maturę zdawałam w 1956), przypadła na okres czysto stalinowski. Stalinowski system oświaty usiłował mnie (a więc i moje pokolenie) wypaczyć, manipulując moją osobowością, narzucając jej stalinowskie wzorce myślenia, stalinowskie poglądy. I to jest prawda bezsprzeczna. Tak było.

Codzienne prasówki na porannym apelu i apele ku czci, capstrzyki, akademie, wiece, masówki, czerwone krawaty, skandowane hasła: *„Ręce precz od Korei"!, „W odpowiedzi na atomy zbudujemy nowe domy!"* — pochody, sztandary, karły reakcjonizmu i imperializmu na plakatach, treść ideologiczna nawet w zadaniach matematycznych, nauka historii świata i kraju tak sfałszowana, że głowa mała, WKP(b), jako lektura uzupełniająca do nauki tejże, język ojczysty, gdzie „Kordian" Juliusza Słowackiego musiał koniecznie być rewolucjonistą — choćby z przymiotnikiem: samotny, ale musiał, bez rewolucjonisty o Kordianie ani rusz, i te lektury! Zmory, „Nr 16 produkuje", „Węgiel", „Fundamenty", „Przy budowie", „Początek opowieści", większość tytułów i autorów wyleciała mi z pamięci na zawsze; tych, których pamiętam, nie wymieniam po nazwisku przez szacunek dla ich późniejszej twórczości; a tego było na dziesiątki, na kopy, o kułakach, obowiązkowo złych, obowiązkowo dobrych małorolnych, entuzjazmie wyścigów pracy, ach, i odbywało się pranie naszych mózgów dzień w dzień, i wiersze też były, poezja; wiersze pisane schodkami à la Majakowski, i pieśń o Stalinie, i ta śpiewana po rosyjsku (*„niet na świetie ugołka takowo, niet takowo miesta na ziemli, gdieby liudi nie słuchali słowa, skazannowo Stalinym w Kriemlie"*).

Więc powinnam się była zahartować jak stal ideologicznie, zeprać swój mózg doszczętnie i w swoje dorosłe, już pomaturalne życie wkroczyć jako ta nieugięta, żelbetonowa stalinówa. Cóż bowiem mogło być warte moje pokolenie, poddawane takim obróbkom, takim wypaczeniom we wszystkich dziedzinach życia umysłowego i duchowego? Wszak i przysłowie powiada, że *„czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci"*.

3.

A przecież pamiętam: ceremonialna akademia z okazji Rocznicy Rewolucji, i my wszystkie, cała szkoła na sali gimnastycznej, w czerwonych krawatach, i fajnie jest, klawo, byczo jest bardzo, bo przepadają lekcje, jakieś klasówki przełożone, odpytywanki, i oto rytualnie, jak zawsze nasza rusycystka pierwsza intonuje swoim słabym głosikiem: *„Sojuz nieruszymyj respublik narodnych..."* — a teraz ciąg dalszy ma podchwycić jak zawsze sala, te osiemset czy więcej dziewcząt, i jak zawsze śpiew gromki, potężny powinien wstrząsnąć szybami w oknach; że *„spłaciła na wieki Wielikaja Ruś, da zdrastwujet sozdan..."* — ale jest cisza, usta nie otwierają się do śpiewu, unisono, nie drżą szyby; jest cisza, coraz donośniejsza, cisza nas wszystkich, całej szkoły, a przecież nie umawiałyśmy się: ta cisza była wtedy z nas — i w nas.

4.

Wszelkie uproszczenia, jeśli służą do ocen uogólniających do syntez — są wytworem groźnym. Będąc przekonana, że Maria Nurowska mówiąc o bezwartościowych pokoleniach, które nastąpiły po roku 1945, nie kierowała się tanim koniunkturalizmem, lecz sumiennymi przemyśleniami — postawię kilka pytań: jeżeli ostatnim wartościowym pokoleniem młodych Polaków było pokolenie AK, to co zrobić z ową ciszą ośmiuset uczennic XII TPD? Jak uzasadnić decyzję mojej córki, w roku 1981 studentki filologii polskiej, biorącej udział w strajku okupacyjnym Uniwersytetu Łódzkiego? I skąd — i z kogo — wywodzi się ruch „Solidarności"? Z popiołu czy z diamentu?

5.

I właśnie na powyższym należy mi zakończyć moje dzisiejsze rozmyślania. Ale hasło, nawołujące do oczyszczania bibliotek z paszkwili w rodzaju „Popiołu i diamentu" czy „Kolumbów" trąci mi czymś tak złowrogim, że wolę tego nie precyzować bliżej.

EWA OSTROWSKA

Grabów: poczuli się oszukani

Od głosu wstrzymał się **Czesław Krawczyk** — lekarz, główny zainteresowany. Później radni Gminnej Rady Narodowej w **Grabowie** w województwie konińskim zgłosili do dyrektora Zespołu Opieki Zdrowotnej w Kole wniosek o przyjęcie doktora Krawczyka do pracy w Gminnym Ośrodku Zdrowia w **Grabowie.** A jeszcze później poczuli się oszukani. Wybrali sobie lekarza i kierownika ośrodka w jednej osobie, a został nim zupełnie ktoś inny.

W połowie 1989 roku odszedł z pracy w ośrodku kierownik. Odchodząc był pewien, że jego następcą zostanie lekarz **Czesław Krawczyk.** W spadku zostawił ośrodek wyremontowany i zmodernizowany. Swoje dotychczasowe służbowe mieszkanie — około 200 m. kw., podzielił na kilka mniejszych, aby więcej lekarzy mogło zamieszkać w ośrodku.

W lipcu 1989 roku do dyrektora ZOZ podanie o pracę składa **Czesław Krawczyk.** Mijają niemal dwa miesiące. **Odpowiedź z Koła nie nadchodzi** — ani do GRN, ani do doktora Krawczyka. Przewodniczący GRN monituje. W połowie września 1989 r. z dyrekcji ZOZ nadchodzi odpowiedź. Kandydatura **Czesława Krawczyka** upadła ponieważ od 1 października 1989 r. kierownikiem ośrodka zostanie ktoś zupełnie inny. Radni czują się co najmniej dziwnie, **Czesław Krawczyk czuje,** że ciągną się za nim stare sprawy — walka z niereformowalnym partyjnym betonem, choć sam był członkiem PZPR. Przewodniczący GRN zwraca się z uprzejmą prośbą do dyrektora ZOZ o uzasadnienie decyzji. Mija czas. W ośrodku zaczyna panować nowy kierownik.

Kiedy słowa stały się faktami z Koła przychodzi odpowiedź, że „stanowisko dyrekcji jest jednoznaczne" i zgodne z przepisami. Kierownikiem GOZ nie może zostać ginekolog — a nim właśnie jest Czesław Krawczyk — bowiem potrzebny jest internista. Ale aby było śmiesznie kierownikiem ośrodka został ginekolog dojeżdżający z Łęczycy.

Z pisma do siebie **Czesław Krawczyk** dowiedział się, że w ośrodku jest już jeden ginekolog i drugi jest niepotrzebny. Nowy kierownik porady „K" ma dwa razy w tygodniu, w pozostałe dni jest lekarzem wewnętrznym.

Sytuacja jest teraz taka, że **Czesław Krawczyk** — mieszkaniec **Grabowa** dojeżdża do pracy w odległej 70 kilometrów **Łodzi** Wiele pacjentek i pacjentów — bo przecież wiadomo, że wiejscy lekarze byli i zapewne długo jeszcze będą medycznymi omnibusami — woli przyjść do **Czesława Krawczyka** niż do ośrodka. Okolica też zjeżdża do niego.

Kiedy były kierownik ośrodka dowiedział się, że **Czesław Krawczyk** nie przejął jego schedy w **Grabowie**, poczuł się oszukany i powiedział, że gdyby wiedział, że to nie Czesław **Krawczyk** zostanie kierownikiem, to nie odszedłby z **Grabowa.**

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

FAKTY

Niedawny minister zdrowia Izabela Planeta-Małecka zatelefonowała do **Jacka Kuronia** z pytaniem, kto wymyślił obowiązującą siatkę płac dla resortu zdrowia. — No właśnie pani — usłyszała w słuchawce.

Koszty utrzymania **Pomnika — Szpitala Centrum Zdrowia Matki Polki** pochłaniają 44 procent środków przeznaczonych na lecznictwo w Łodzi. **Wojskowa Akademia Medyczna** mająca w CZMP swoją klinikę poza płacami dla swoich asystentów nie daje na tę placówkę ani grosza.

Rada Obywatelska przy CZMP mająca troszczyć się o dary nadsyłane dla szpitala zewidencjonowała ich w ciągu sześciu lat swojej działalności 200 sztuk (sic!). Sprawę bada NIK.

Wiesław Rentowski z Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej jest na stypendium naukowym w Kalifornii w USA.

Od dwudziestu lat trwa współpraca **Politechniki Łódzkiej** z uniwersytetem w **Glasgow.** Wkrótce wizyta przedstawicieli tamtejszych kół naukowych w Łodzi. Przewidziane jest spotkanie z prezydentem miasta i rozmowy na temat dofinansowania PŁ i łódzkich menedżerów.

JDT

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

I ZNOWU ATAKI NA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Taki to już mój los, że co jakiś czas przychodzi bronić Józefa Piłsudskiego przed atakami. Oto „Odgłosy" (nr 4) 28 stycznia 1990 r. opublikowały tekst „Czy to właściwy nauczyciel?", w którym Jacek Dębski ostro krytykuje Władysława Barańskiego za pismo „Zew" będące — jak pisze — zlepkiem hagiograficznych tekstów, a owa hagiografia związana jest z osobą Józefa Piłsudskiego.

Nie znam Władysława Barańskiego, nie czytuję pisma „Zew" natomiast odnoszę wrażenie, iż atak na pismo stanowił jedynie pretekst do wyrażenia negatywnej opinii o Józefie Piłsudskim, a opinia ta w bardzo wielu sformułowaniach po prostu nie odpowiada prawdzie. Sprzeciw budzą już dwa pierwsze zdania: *„Legendę Józefa Piłsudskiego napisała Sanacja. Klęska wrześniowa w 1939 r. rozbiła mit genialnego wodza i niezwyciężonej armii".*

Otóż nie! Sanacja rozbudowała legendę Marszałka. Ta legenda rodziła się znacznie wcześniej, przynajmniej w strzeleckim okresie jego niepodległościowej działalności, a po 1918 roku funkcjonowała już w szerokich kręgach społecznych. Klęska wrześniowa nie mogła rozbić mitu genialnego wodza, bo wódz od czterech lat nie żył. Gdy żył — zwyciężał. Oczywiście nie jestem idiotą, aby twierdzić, że gdyby Józef Piłsudski żył, to losy wojny mogłyby się potoczyć inaczej. Starcia z dwoma krwiożerczymi molochami przy braku jakiejkolwiek pomocy nie wygrałby nawet największy geniusz wojskowy.

Pisze Jacek Dębski o postawie *„wielu grup opozycji intronizujących Józefa Piłsudskiego" „Dziadek jest wodzem obozu reform gospodarczych"* stwierdza i przypomina, że *„w 1905 roku Piłsudski przewodził socjalistycznej rewolcie wymierzonej w fabrykantów, kupców, bankierów. Była to rewolta wymierzona w wolny rynek"* A w Drugiej Rzeczypospolitej — zdaniem J. Dębskiego — myśl i decyzja Marszałka deformowały rozwój życia gospodarczego. Autor powołuje się na wybitnego polskiego ekonomistę Adama Heydla, który stwierdzał, że *„nasz antyliberalizm gospodarczy wyraża się, prócz etatyzmu w interwencjonizmie tj. w naginaniu życia gospodarczego do sztucznych, niezgodnych z naturalnym rozwojem celów".*

Nie ma zgody! W przypadku rewolucji 1905 roku pamiętać trzeba, iż nie była ona czymś przez Józefa Piłsudskiego i PPS precyzyjnie przygotowanym i przeprowadzonym. Gwałtowność wydarzeń rewolucyjnych zaskoczyła go tak, jak wielu innych. I od początku chciał tę rewolucję w kapitalistów wymierzoną przekształcić w rewolucję narodową, w powstanie narodowe. Dlatego zorganizował w Centralnym Komitecie Wykonawczym PPS Wydział Bojowy, dlatego utworzył Organizację Bojową PPS i z tych właśnie powodów został na IX Kongresie PPS usunięty z szeregów partii przez zwolenników „czystej" rewolucji socjalnej. Tak więc nie o walkę z wolnym rynkiem Józefowi Piłsudskiemu chodziło, a o wolną Polskę.

W Polsce Niepodległościowej także nie dławił gospodarki wolnorynkowej. Lata 1918—1921 to okres gospodarki wojennej, a taki czas wyklucza liberalną alternatywę. Kolejny okres 1922—1928 to właśnie polityka liberalizmu gospodarczego, bo taka właśnie koncepcja zwyciężyła. Część tego okresu 1926—1928 to już lata dyktatury, a dalej, nie z winy Marszałka, Polskę, Europę i świat ogarnął wyniszczający kryzys gospodarczy. W 1932 roku zdecydowano się na podjęcie prób aktywnej polityki antykryzysowej i tu dopiero można mówić o interwencjonizmie, z tym, że nie był on *„naginaniem życia gospodarczego do sztucznych celów"*, a szansą na wyjście z kryzysu. Ostatni okres polityki ekonomicznej to lata 1936—1939, a więc już po śmierci Józefa Piłsudskiego. Był to okres aktywnej polityki gospodarczej państwa i naprawdę nie ma się czego wstydzić.

„Fundują tablicę Józefowi Piłsudskiemu demokraci, obrońcy praw człowieka" — pisze dalej Jacek Dębski i przedstawia Marszałka jako nieprzejednanego wroga demokracji i wolności. Argumentuje: *„Z wyborów sejmowych uczyniono ponurą farsę".* Przyjrzyjmy się więc sprawie.

Wybory 1919. Przynaglał Józef Piłsudski do szybkiego ich przeprowadzenia nie chcąc sprawować dyktatorskiej władzy i były to bardzo demokratyczne wybory. Następne, w 1922 roku też miały demokratyczny charakter. Unieważniono wprawdzie listy komunistyczne, ale po doświadczeniach 1920 roku takie decyzje można zrozumieć. Kolejne wybory przeprowadzono w 1928 roku, a więc w trzecim roku dyktatury i trudno by je było nazwać niedemokratycznymi skoro partia rządząca — BBWR uzyskała zaledwie 21,2 proc. głosów, a zdecydowaną większość mandatów zdobyła opozycja. Dopiero czwarte, a ostatnie za życia Józefa Piłsudskiego wybory w 1930 roku, wiązały się z łamaniem demokracji i naruszaniem wolności obywatelskich. A *„ponura farsa wyborcza"* — jak twierdzi Jacek Dębski — rzeczywiście miała miejsce, ale w wyborach 1935 i 1939 roku, za które już inni ponosili odpowiedzialność — między innymi Edward Rydz-Śmigły, którego w sukurs autor przywołuje. Twierdził ponoć, że ten Marszałek *„człek to nienormalny".*

O Edwardzie Rydzu-Śmigłym Stanisław Cat-Mackiewicz napisał, że to bałwan, albo więc uznajmy że „wart Pac pałaca,', albo obu zostawmy w spokoju, nie oceniając na podstawie jednej wypowiedzi.

Były karne obozy w Brześciu i w Berezie Kartuskiej — argumentuje Jacek Dębski i ma rację w przypadku Brześcia, rzeczywiście ciemnej plamy na politycznym życiorysie Marszałka, natomiast za hańbę Berezy dogorywający, a następnie nieżyjący Józef Piłsudski odpowiadać nie może.

Przy okazji warto może zapoznać się z nieco inną niż obiegowe opinią na temat Brześcia. Otóż kilka miesięcy temu otrzymałem list z Waszyngtonu od profesora Wacława Jędrzejewicza, jednego z bliskich współpracowników Marszałka, autora kilku książek o Józefie Piłsudskim. Nawiązując do sprawy brzeskiej profesor pisał:

„Aresztowania byłych posłów we wrześniu 1930 r. były bardzo trudną decyzją dla Piłsudskieyo. Ale trzeba tu przytoczyć jej powody. 21 sierpnia Centrolew uchwalił zorganizowanie 14 września wieców w 21 miastach żądając zwołania Sejmu, likwidacji dyktatury i walki z kryzysem ekonomicznym. Piłsudski doskonale rozumiał konsekwencję tych wieców; w 21 miastach z Warszawą włącznie wybuchłyby walki, w porównaniu z którymi wypadki majowe byłyby drobnym epizodem. Trzeba było przeciwdziałać temu zawczasu. Stąd decyzja aresztowania byłych posłów. Inna rzecz, że umieszczenie ich w Brześciu i warunki więzienia były najzupełniej niewłaściwe. Ale decyzja była słuszna".

Przytoczyłem ten fragment listu zgodnie z zasadą „audiatur et altera pars".

„O Piłsudskim mówi się też z nabożną czcią z ambon" — to kolejna pretensja Jacka Dębskiego, bo przecież — jak twierdzi — *„stosunek Piłsudskiego do pierwszej żony był jak najdalszy od nauki kościoła".*

O Boże! To już jest szczyt wszystkiego. Proszę sobie wyobrazić wielkość Napoleona mierzoną jego wiernością małżeńską. Przykłady zresztą można by mnożyć. A *„z nabożną czcią"* o Józefie Piłsudskim mówić się powinno chociażby z powodu bitwy warszawskiej, czy jak kto woli „Cudu nad Wisłą".

Ma Jacek Dębski za złe Józefowi Piłsudskiemu błędną decyzję o wyborze sojuszników w 1914 roku, postawienia na Niemcy i Austrię, które wojnę przegrały. A na kogo miał postawić? Na Rosję? A ona co, wygrała wojnę? Józef Piłsudski miał tylko dwie możliwości. Wystąpić przeciw Rosji lub nie robić nic. Wybrał działanie, otworzył jeszcze jedną drogę walki o Niepodległą, drogę walki zbrojnej. Nikt nie ma prawa za to go potępiać.

I nie ma wreszcie zgody na kategoryczne stwierdzenie Jacka Dębskiego, że *„Józef Piłsudski tylko raz zasłużył się prawdziwie Polsce. Było to w listopadowych dniach 1918 roku, gdy stanął na czele odradzającego się państwa, zapobiegając niebezpieczeństwu zbrojnej konfrontacji sił lewicy z obozem konserwatywno-narodowym".* To prawda, ale przecież nie cała. Zasłużył się także prawdziwie Józef Piłsudski Polsce zbrojnie wytyczając wschodnie granice Rzeczypospolitej. Gdyby pozostawił rzeczy swemu biegowi powstałaby Polska między Wartą a Bugiem. Zasłużył się prawdziwie Polsce Józef Piłsudski w 1920 roku, zatrzymując idące na podbój Europy sowieckie armie.

W czambuł potępiając Józefa Piłsudskiego Jacek Dębski eksponuje zalety Romana Dmowskiego. Nie mam zamiaru działać na zasadzie odwrotności. Roman Dmowski i Józef Piłsudski byli sobie obcy, odmienne mieli cele i metody walki politycznej, ale był czas, gdy obaj całe swoje życie podporządkowali temu samemu celowi — Polsce Niepodległej. Zbiegły się prawie w czasie decyzja Józefa Piłsudskiego o przerwaniu walki zbrojnej i Romana Dmowskiego o utworzeniu w Paryżu Komitetu Narodowego Polskiego. Zakończył się etap walki zbrojnej, rozpoczęła walka dyplomatyczna o miejsce dla Polski w Europie. Niepodległościowe działania Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego układały się w jedną logiczną całość. Warto pamiętać o tym, zanim jednego lub drugiego zacznie się odsądzać od czci i wiary.

ZENON JANUSZ MICHALSKI

PRAWDZIWA WIADOMOŚĆ O NIEPRAWDZIWYM SKARBIE

Budząca swego czasu na łamach prasy krajowej (również w „Odgłosach") i zagranicznej niezdrową sensację sprawa księgozbioru stanowiącego własność jednego z członków łódzkiej gminy wyznania Mojżeszowego, została 24 stycznia 1990 r zbadana z inicjatywy zastępcy naczelnika dzielnicy Łódź-Śródmieście mgr inż. Włodzimierza Zajdlera przez zespół ekspertów z zakresu bibliotekarstwa i księgoznawstwa.

W skład zespołu wchodzili: doc. dr hab. **Janusz Dunin** — prezes Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Bibliologicznego, mgr **Michał Kuna** — z ramienia Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki, mgr **Andrzej Kempa** — prezes Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich Okręg Łódź i wicedyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego, dr **Jan Janiak** — dyrektor Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego, dr **Jerzy Andrzejewski** — kierownik Oddziału Zbiorów Specjalnych BUŁ, mgr **Aleksandra Pluszczyńska** — kierownik Działu Gromadzenia Zbiorów MBP i mgr **Anna Michalewska** — kierownik Oddziału Gromadzenia Zbiorów BUŁ.

Zespół zapoznał się z aktualnym stanem przechowywania i zabezpieczenia księgozbioru, podjął się jego chrakterystyki oraz ocenił przydatność ksiąg dla celów naukowych w przypadku unormowania stanu prawnego własności zbioru zdeponowanego w pomieszczeniu Urzędu Dzielnicowego Łódź-Śródmieście.

Księgozbiór, liczący ponad 5000 jednostek inwentarzowych, znajduje się na masywnych regałach drewnianych. Jest odkurzony na tyle, na ile pozwalały warunki pospiesznego przemieszczenia. Lokal jest suchy, zabezpieczony mocnymi drzwiami i zaplombowany, zapewnione są warunki okresowego wietrzenia i odpowiednia cyrkulacja powietrza.

Przeważają książki w języku hebrajskim i jidysz dotyczące problematyki religijnej, stwierdzono również niewielkie ilości książek rosyjskich i niemieckich, a także współczesne książki i czasopisma wydane w kraju i za granicą. W księgozbiorze znajdują się także dzieła hebrajskie i w języku jidysz wydane w stuleciach XVI—XIX na terenie dawnej Rzeczypospolitej i te księgi posiadają niewątpliwe znaczenie dla dziejów żydowskiego księgarstwa nakładowego i obiegu czytelniczego na ziemiach polskich.

Bariera, jaką dla zespołu ekspertów stanowiła nieznajomość języków w piśmiennictwie żydowskim, udaremniła pełniejszą orientację w treści zdeponowanego księgozbioru. Wobec nikłego zainteresowania księgozbiorem ze strony lokalnych i centralnych instytucji żydowskich pozostaje nadal otwarta sprawa dalszych losów owej kolekcji, ważniejszej zapewne dla kultury żydowskiej aniżeli polskiej.

Zespół przedstawia niniejszy tekst Czytelnikom „Odgłosów" w celu przeciwdziałania krążącym pogłoskom o unikatowym charakterze i szczególnie wysokiej wartości księgozbioru oraz o zagrożeniach spowodowanych jakoby niewłaściwym przechowywaniem, z zastrzeżeniem, że opinia dotyczy jedynie stanu stwierdzonego przez zespół 24 stycznia 1990 r. Relacje dziennikarskie o delikatnie mówiąc beztroskim postępowaniu z zabezpieczanym księgozbiorem odbiły się głośnym echem w prasie światowej, nadając sprawie posmak skandalu i nie przysparzając chluby naszej kulturze.

W przyszłości, proponuje zespół, należy z upoważnienia władz miasta powołać biegłych rzeczoznawców — wysoko kwalifikowanych pracowników obydwu czołowych bibliotek naukowych Łodzi: Biblioteki Uniwersyteckiej i MBP im. L. Waryńskiego, którzy byliby uprawnieni do uczestnictwa w czynnościach zabezpieczania książek i innych materiałów bibliotecznych. Biegli określaliby wówczas merytoryczną wartość zbioru i przedstawiali o nim miarodajne opinie.

JERZY ANDRZEJEWSKI, ANDRZEJ KEMPA

„DLACZEGO NIE MOŻNA ZBUDOWAĆ DOMU?"

W związku z artykułem, który pt. „Dlaczego nie można zbudować domu" ukazał się w „Odgłosach" 4.02.1990 r. pragnę wyrazić oburzenie i protest przeciwko tendencyjnemu i jednostronnemu przedstawieniu sprawy budowy, a ściślej niemożności zbudowania domu przez p. Janusza Zatorskiego. Z jakiego powodu zostałem wpleciony w sensacyjny wątek tej opowieści? Z treści artykułu trudno się domyślić, jaką rolę miała odegrać moja osoba. Zostałem przedstawiony jako człowiek za nic sobie mający przepisy i nakazy prawa, bezwzględny prostak. *„Mściwie mielący przekleństwa"*, podejmujący działania wyłącznie niezgodne z prawem, wykorzystując do tego rozległe koneksje w PZPR, milicji i Bóg jeszcze wie gdzie. (...)

Czy oprócz pani Barbary Zatorskiej ktoś jeszcze słyszał, jak wykrzykiwałem, że ...*„dopóki Kulesza na Dzielnicy... itd."* Nie znam pana Kuleszy i nie miałbym powodu, żeby się na niego powoływać. Zresztą ja także nie dostałem zezwolenia na rozbudowę warsztatu, pewnie za sprawą pani Zatorskiej, więc jeśli to zależało od p. Kuleszy, to raczej pani Zatorska miała powody wykrzykiwać zdania, które w swej relacji włożyła w moje usta.

Czemu miały służyć opowiastki o biciu psa przy okazji rozbierania płotu? Płot był mój, dzieliłem działki nr 6 i 8, a państwo Zatorscy są właścicielami działki nr 8a, żadną miarą więc nie mogłem *„bezprawnie"* rozebrać płotu pp. Zatorskich. A czemu to pani Zatorska nie wspomniała, że bez zakłóceń korzysta z instalacji elektrycznej przeprowadzonej przez mój budynek. Podobno pies p. Zatorskiej boi się ludzi z mojego powodu. Zanim pp. Zatorscy z wiadomych powodów zaczęli często bywać na działce dokarmiałem tego psa, tak, jak i inni sąsiedzi.

Dlaczego to *„codzienna praca"* nauczycielki, Barbary Zatorskiej *„budującej podstawy tego ustroju i kraju"* bardziej zasługuje na otrzymanie zezwolenia na budowę niż codzienna praca rzemieślnika, który wybudował swój warsztat nie bezprawnie (jak robi wszystko, zdaniem p. Zatorskiej), ale na podstawie zezwolenia otrzymanego na ładnych parę lat przedtem, zanim pani Zatorska stała się właścicielką działki. Widać postanowiła pozbyć się wszelkiego sąsiedztwa i do tego celu użyła „Odgłosów".

Ci *„pazerni na ciszę i świeże powietrze"* ludzie, jeszcze nie mieszkają na swojej działce, a już są skłóceni z sąsiadami. Zatorscy słyszą w Łodzi hałas mojego warsztatu, natomiast mieszkający w moim najbliższym sąsiedztwie nie skarżą się, po prostu go nie słyszą.

To, co napisałem, w bardzo oględny sposób ilustruje „spokojną" działalność pp. Zatorskich na ul. Szpaczej, ale brzydzę się metodami stosowanymi przez nich. Pani Zatorska nie zawahała się rzucić na szalę rangę zawodu nauczycielskiego, a to zawód szczególny, wymagający wysokich walorów moralnych i nie wiem, czy treść artykułu opublikowanego w „Odgłosach" pomoże pani Barbarze w podniesieniu pozycji zawodowej, wiem natomiast, że mnie bardzo zaszkodziła.

Artykuł został tak napisany, że mnie, jako obiekt złości, nienawiści czy zawiści p. Zatorskiej włączono niejako przy okazji, jako paskudny przerywnik do sprawy budowy domu. Poruszono urzędniczki z Wydziału Architektury i Gosp. Przestrzennej, cytowano treści rozmów telefonicznych, skąd autor artykułu czerpał pewność, że tylko ta relacja jest prawdziwa i nikogo nie obraża?

JÓZEF GARDYS

NIE ZAGLĄDAĆ DO CUDZEJ SAKIEWKI!

W 5 numerze „Odgłosów" p. Andrzej Karol złamał zasadę stanowiącą, iż dżentelmeni nie mówią o pieniądzach i spróbował zajrzeć do sakiewki skarbnika Unii Polityki Realnej. Oczywiście informacje p. Karola o stanie kasy Unii są nieprawdziwe, ponieważ Unia nie ma zwyczaju wpuszczać na pokoje ludzi, którzy łamią dżentelmeńskie konwencje i p. Karol zbierając „dane" skazany był na plotki z magla i sutereny.

Kodeks Boziewicza zakazuje pojedynku z ludzmi podejrzanego autoramentu, podobnie polemika z bywalcem suteren nie leży w zwyczaju unistów. Dlatego rezygnujemy z moralnego osądu postępku p. Karola i nie zamierzamy żądać od niego satysfakcji ograniczając się do sprostowania „informacji" zawartej w zdaniu: *„partia jest biedna jak mysz kościelna i składa się chyba też z golców".*

Członkami i zaangażowanymi finansowo sympatykami Unii są m.in.: p. Janusz Baranowski — prezes „Westy", senator Andrzej Machalski — współwłaściciel firmy „Unicum" szef Konfederacji Pracodawców Polskich, poseł Andrzej Zawiślak udziałowiec spółki kształcącej biznesmenów „International Business School" p. Jerzy Grohman w prostej linii potomek jednej z najsłynniejszych rodzin przemysłowych Łodzi.

To wszystko co uznaliśmy za stosowne w tej sprawie napisać.

JACEK DĘBSKI
(członek Zarządu Ziemi Łódzkiej Unii Polityki Realnej).

UWAGA! WŚCIEKLIZNA

Wojewódzki Lekarz Weterynarii w Łodzi informuje, że w ostatnich dniach został stwierdzony przypadek wścieklizny u zwierząt dzikich na terenie Lasu Łagiewnickiego.

W związku z powyższym obowiązuje na terenie całego Lasu Łagiewnickiego zakaz:

— wstępu na obszar leśny,
— urządzania wycieczek, rajdów pieszych i konnych,
— samowolnego zabijania psów i kotów, które skaleczyły człowieka lub inne zwierzę.

Zobowiązuje się posiadaczy psów i kotów, które skaleczyły człowieka oraz poszkodowanych do natychmiastowego zgłaszania takich przypadków Państwowemu Terenowemu Inspektorowi Sanitarnemu dla dzielnicy **Łódź-Bałuty, ul. Smugowa 6 tel. 57-24-61** lub **Państwowemu Zakładowi Leczniczemu dla Zwierząt Łódź-Bałuty, ul. Łagiewnicka 97 tel. 57-76-63.**

Należy unikać wszelkich kontaktów ze zwierzętami dzikimi, a w przypadku znalezienia ich zwłok bądź napotkania zwierząt z objawami nasuwającymi podejrzenie wścieklizny — niezwłocznie powiadomić służbę weterynaryjną.

DZIĘKUJEMY, NIE SKORZYSTAMY!

Z listów, które nadesłali do nas: **Wiktor Biryta, Czesław Żyliński, Wiesław Pawełczyk, Mieczysław Kozak, Robert Kerchner, Paweł Izdebski, Piotr Michałowski** nie skorzystamy. Przepraszamy!

KAKTUS' 90

Wojewódzki Dom Kultury w Sieradzu oraz redakcja tygodnika „Nad Wartą" ogłaszają konkurs na rysunek satyryczny — KAKTUS '90. Do udziału zapraszają profesjonalistów i amatorów. Tematem konkursu jest nasza aktualna rzeczywistość społeczna, polityczna, gospodarcza oraz obyczajowa.

Nagrodami będą autentyczne kaktusy wraz z kopertami o zawartości stosownej do zajętego w konkursie miejsca. Na nagrody przeznaczono 0,5 mln zł. Ponadto nagrody przyznają: redakcja „Nad Wartą" (za rysunek poświęcony środkom masowego przekazu), Miejski Dom Kultury w Sieradzu oraz Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia „PAX".

Do **5 marca 1990 r.** pod adresem redakcji **„Nad Wartą"** (98-200 **Sieradz, ul. Armii Czerwonej 15)** należy nadesłać zestaw czterech rysunków (format nie większy niż A-4) wykonanych czarnym tuszem na białym tle. Do rysunków opatrzonych godłem należy dołączyć zamkniętą kopertę z danymi autora.

Wręczenie nagród 1 kwietnia 1990 r. w czasie prima aprilisowej akademii zorganizowanej przez Miejski Dom Kultury w Sieradzu.

Paradoksy naszego prawodawstwa.

Wylewanie piwa z wodą

MONIKA MATUSZAK

1.

Kiedy zrobi się ciepło, powróci ten sam od lat problem — czym się orzeźwić? Skrzynkę wody mineralnej temu, kto wskaże w Łodzi miejsce jej sprzedaży. Sklep przy ul. Juliana Tuwima od dłuższego czasu jest zamknięty na głucho. Nawet wtedy, gdy był czynny, trzeba było nie lada szczęścia, żeby trafić na dostawę.

Wydział Handlu i Usług Urzędu Miasta Łodzi wielokrotnie interweniował, aby sprzedaż wód mineralnych została utrzymana. Wyznaczono dwie placówki, które zostały zobowiązane do sprzedaży wód mineralnych. Są nimi: **DH „Magda"** i pawilon ogólnospożywczy przy ul. Marcelego Nowotki 118. W „Magdzie" w połowie stycznia 1990 r. z wód mineralnych był tylko... tonik. (!).

Sklep przy ul. Juliana Tuwima podlega **PSS „Społem" oddział Śródmieście.** 21 grudnia 1989 r. spółdzielnia podpisała umowę o nieodpłatnym udostępnieniu lokalu **Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi** na sprzedaż m.in. wód mineralnych. Ponieważ przez miesiąc sprawa nie ruszyła z miejsca, „Społem", któremu — jak twierdzi prezes **Zdzisław Dryżek — zależy** na działalności tego lokalu, było zdecydowane rozwiązać umowę z niesolidnym kontrahentem.

Sekretarz Zarządu Łódzkiego PCK — **Stanisław Maciejewski** obiecał, że do końca stycznia placówka zostanie uruchomiona. Zwłokę spowodowało poszukiwanie ekipy remontowej. Sklep w ciągu ostatnich 12 lat był bardzo zaniedbany i Sanepid nie wyraził zgody na podjęcie sprzedaży w tym lokalu. W odświeżenie pomieszczeń **PCK** zainwestowało już 1,8 mln zł, w związku z czym **„Społem"** zdecydowało wstrzymać się z wypowiadaniem umowy.

PCK chce sprzedawać wody lecznicze i odzież z przeceny dla niezamożnych klientów. Handel samymi wodami jest nieopłacalny, ale ponieważ punkt przy ul. Juliana Tuwima jest znany w mieście, zdecydowano nie zmieniać profilu sklepu. Dochód ze sprzedaży wybrakowanych tekstyliów ma pokryć czynsz i opłaty za energię elektryczną.

2.

Pan K.J. dysponuje dwoma lokalami w Łodzi i chce sprzedawać wody mineralne i lecznicze. Ponieważ sam transport towaru jednorazowo zamknąłby się kwotą około 1 mln zł, co byłoby na granicy opłacalności, pan K.J. handel wodami mineralnymi chce połączyć ze sprzedażą polskiego piwa dobrej marki.

— Po co sięgać po piwo czeskie, niemieckie czy zachodnie, skoro w Poznaniu, Żywcu, Okocimiu produkują wcale niezłe gatunki. W mieście poza „Łódzkim" i „Mazowieckim" innych rodzajów nie ma w sklepach. Lepsze piwo można dostać tylko w spożywczych butikach lub z pokątnej sprzedaży na bazarach.

Wszystkie podania o pozwolenie na obrót piwem składane w **Wydziale Handlu i Usług** spotykają się z odmową. Urzędnicy są skrępowani wciąż obowiązującą ustawą o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi z 26 października 1982 r. i aktem wykonawczym Ministra Handlu Wewnętrznego i Usług z 6 maja 1983 r.

Przed wprowadzeniem w życie ustawy piwo było traktowane jako napój chłodzący. Za taki uważano każdy napój, który zawierał poniżej 4,5 proc. alkoholu etylowego. Obecnie granicę tę obniżono i ustalono ścisłe reguły sprzedaży napojów zawierających więcej niż 1,5 procent.

Zarządzeniem Ministra Handlu Wewnętrznego i Usług nr 5 z 25 marca 1985 r. **Państwowy Hurt Spożywczy** został jedyną instytucją uprawnioną do prowadzenia dystrybucji, obrotu i zbytu napojów alkoholowych przeznaczonych do spożycia poza miejscem sprzedaży. Przedsiębiorstwo to może prowadzić sprzedaż we własnych punktach lub udzielać nieodpłatnie, na okres przejściowy upoważnień do sprzedaży napojów alkoholowych innym jednostkom handlu uspołecznionego.

Wydział Handlu i Usług UMŁ na szczeblu wojewódzkim wydaje pozwolenie na sprzedaż alkoholu placówce „Społem", która musi jeszcze uzyskać cesję PHS, czyli upoważnienie do działania w imieniu monopolisty. Zezwoleń dla osób prywatnych ustawa nie przewiduje. Zupełnie inaczej wygląda sprawa, jeśli chodzi o pozwolenia na prowadzenie wyszynku.

— W każdej chwili mogę dostać pozwolenie na pijalnię piwa, ale tylko do konsumpcji na miejscu. Gdybym sprzedawał na wynos, odebrano by mi koncesję — mówi pan K.J.

Za sprzedaż napojów alkoholowych bez wymaganego zezwolenia podlega się karze pozbawienia wolności do lat dwóch, ograniczenia wolności lub grzywny. Wszystkie sklepy prywatne i bazarowi handlarze sprzedają piwo krajowe i importowane nielegalnie i na własne ryzyko. **Wydział Handlu i Usług UMŁ** przeprowadza systematyczne kontrole i wiele spraw trafiło już do prokuratury rejonowej.

Za detaliczną sprzedaż i dystrybucję piwa w Łodzi i województwie odpowiedzialny jest **Państwowy Hurt Spożywczy,** wspierają go **Łódzkie Zakłady Piwowarskie.** Gastronomia ma oddzielne zezwolenie **UMŁ** i radzi sobie na własną rękę. W województwie znajduje się 666 punktów uprawnionych do sprzedaży piwa, z czego 487 to sklepy, reszta — zakłady gastronomiczne. Mimo wysokiej marży (20 proc.) część sklepów nie chce handlować piwem. Gatunki, jakie otrzymują, szybko fermentują i w poniedziałek pracownicy sklepów zastają połowę piątkowej dostawy na... suficie. Trzymane w cieplę butelki po prostu strzelają.

Istnieją dwa firmowe sklepy **Browarów Łódzkich** — przy ul. Orlej i Marcelego Nowotki. W planach jest uruchomienie trzeciej placówki przy ul. Sędziowskiej, ale nie spełnia ona warunków określonych przez ministerstwo.

Punkt sprzedaży napojów alkoholowych (powyżej 1,5 proc.) musi być oddalony minimum 100 metrów od: — tu następuje długa lista — szkół i innych placówek oświatowych, obiektów kultu religijnego, domów studenckich, hoteli pracowniczych, zakładów opieki zdrowotnej i społecznej, izb wytrzeźwień, dworców kolejowych, autobusowych, lotniczych i portowych, zakładów przemysłowych, obiektów zajmowanych przez organy ścigania i wymiaru sprawiedliwości, zakładów dla nieletnich, zakładów karnych i aresztów śledczych oraz ośrodków przystosowania społecznego, obiektów wojskowych, sportowych, plaż, basenów i kąpielisk.

Do laski marszałkowskiej wpłynął projekt nowelizacji ustawy popularnie zwanej antyalkoholową. Zmiany obejmowałyby demonopolizację rynku, wolne i zróżnicowane w różnych kategoriach lokali marże, wyłączenie piwa jako napoju konkurencyjnego, zwalczającego konsumpcję wysokoprocentową, przyznanie uprawnień do wydawania pozwoleń na handel alkoholem organom administracji szczebla podstawowego, przywrócenie całodziennej sprzedaży.

Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy jest **przeciwny nowelizacji ustawy. Jego działacze uważają projekt za zbyt liberalny. Swoje stanowisko przedstawili w parlamencie.**

Mówi **Michalina Falkowska,** sekretarz Oddziału Wojewódzkiego.

— Piwo u nas jest utrwalaczem dla wypijanej wódki. Jeśli przestanie być uznawane za alkohol, będzie można je sprzedawać wszędzie, nawet w szkolnym sklepiku i fabrycznym bufecie. Co to za różnica — rozcieńczyć kieliszek wódki szklanką wody czy wypić butelkę piwa? Jestem za tym, aby w każdym sklepie było piwo dobrej marki, ale to nasze jest okropne, zwłaszcza w Łodzi. Służy tylko do „poprawiania" po czymś mocniejszym. W Polsce nie ma tradycji i trudno będzie nauczyć społeczeństwo takiego picia piwa jak w Anglii czy Niemczech, gdzie jeden kufel starcza na cały wieczór. Myślę, że nic by się nie stało, gdyby smakosze gatunków mieli pewne trudności z nabyciem piwa. Jeden czy dwa sklepy w mieście w zupełności by wystarczyły. Rozszerzenie sprzedaży i brak kontroli pozwoli młodzieży na jeszcze większe picie. Czy pani wie, co się dzieje w domach studenckich? Kupują całe skrzynki piwa! (albo całe plecaki — przyp. M.M.). **Może teraz cena trochę to ograniczą. Piwo bezspornie jest alkoholem i uznanie go za napój orzeźwiający, dopuszczenie do normalnej sprzedaży będzie najgorszą rzeczą, jaka może się zdarzyć!**

— Pod pokrywą ustawy o wychowaniu w trzeźwości odbywa się systematyczne rozpijanie ludzi — mówi K.J. — **Sprzedaż wódki w dużych butelkach, piwko obliczone na tych, którzy chcą się tylko „ubzdryngolić". Uważam, że ustawa jest pruderyjna. Jeśli chodzi o piwo, jest to klasyczne wylewanie dziecka razem z kąpielą. Wolno mieć mordownię z wyszynkiem, ale nie wolno prowadzić kulturalnego sklepu. Już samo połączenie wód leczniczych z piwem ma dla niektórych dziwny posmak, co najmniej jakbym chciał otworzyć porno-shop. Przy dzisiejszych cenach nikt nie będzie handlował tylko wodami mineralnymi. Czekam na decyzje, jakie zapadną w Sejmie. Mam świadomość tego, że akurat ta ustawa będzie rozpatrywana w ostatniej kolejności. Pierwszeństwo będą miały sprawy dużo ważniejsze...**

Ustawa doprowadziła do sytuacji niekiedy absurdalnych. Bo jak inaczej nazwać sprzedaż denaturatu od godziny 13!? Powinno się jeszcze objąć specjalnymi przepisami sprzedaż płynu borygo, „Przemysławki", wody brzozowej i kropli miętowych. Astronomiczne ceny na alkohole wysokoprocentowe nie odstraszają „nałogów". Kto pił, nie zrezygnuje. Ucierpi na tym tylko rodzina.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Na co skarżą się ludzie?

Rzecznik Praw Obywatelskich kilkakrotnie ujawnił, że banki zmieniały wysokość oprocentowania kredytów, także w przypadkach, gdy w umowie o kredyt nie było ani słowa o możliwościach zmiany oprocentowania.

W 1990 roku do profesor Ewy Łętowskiej wpłynęły już skargi obywateli zaskoczonych zmianami w polityce podatkowej i celnej, które spowodowały, że podjęte w końcu ubiegłego roku działania gospodarcze — także indywidualne realizowane w 1990 roku okazały się przynoszącymi z dnia na dzień mniejsze zyski lub straty. Zarzuca się, że niektórymi ustawami uchwalonymi w końcu 1989 roku została naruszona konstytucyjna zasada państwa prawnego. Dotyczy to między innymi jednostronnej zmiany warunków kredytowych przez zmianę wysokości i zasad oprocentowania zaciągniętych kredytów. Zarzuca się bankom i rządowi nieposzanowanie zawartych umów cywilno-prawnych i zmuszenie osób, przedsiębiorstw, instytucji etc. jako słabszych ekonomicznie od banku i przez to od niego uzależnionych do przyjęcia narzuconych warunków.

W listach do Rzecznika Praw Obywatelskich często wysuwane jest podejrzenie, że naruszono zasadę lex retro non agit — prawo nie działa wstecz, jednakże naruszenie w ustawach tej zasady spowodowałoby natychmiastowe zaskarżenie spornego aktu. I mimo to, że nie naruszono zasady lex retro non agit to ustawom gospodarczym może być postawiony zarzut złamania zasady nieretrospektywności, a to dlatego, że wprowadzenie ich obowiązywania z dniem ogłoszenia nie daje podatnikom i podejmującym działania gospodarcze szans ustawienia własnych interesów odpowiednio do wprowadzanych zmian.

Problemem społeczno-prawno-politycznym jest ochrona przed skutkami „bezpośredniego działania" nowych ustaw. Zasada „bezpośredniego działania" oznacza zastosowanie reguł ustalonych przez nowe ustawy do umów zawiązanych dawniej. Posługiwanie się zasadą bezpośredniego działania nowej ustawy pozostaje w sprzeczności z zasadą pewności prawa i zasada zaufania, nie ma na szczęście naruszenia zasady lex retro..., a wytępuje „nieelegancja prawna".

„Rzecznik Praw Obywatelskich" — to z wystąpienia profesor Ewy Łętowskiej do wiceprezesa Rady Ministrów, ministra finansów Leszka Balcerowicza — *przyjmując, że pakiet ustaw gospodarczych został przez Sejm uchwalony przed wejściem w życie zmian w Konstytucji RP musi jednak zauważyć, że Państwo prawne, o którym stanowi art. 1 Konstytucji, oznacza między innymi obowiązek zachowania (...) reguł, o których była mowa (...).*

Analiza uchwalonych ustaw pozwala także na wyrażenie opinii, że bardziej staranne ich opracowanie legislacyjne oraz właściwe zastosowanie instrumentów prawa przejściowego pozwoliłoby na uniknięcie bądź ograniczenie niektórych zarzutów jakie są obecnie zawarte w skargach do Rzecznika Praw Obywatelskich".

Tak więc nie naruszono zasady *„prawo nie działa wstecz"*, nie złamano prawa, a że postąpiono niezbyt elegancko...

B. A. M.

OGŁOSZENIA DROBNE

NIERUCHOMOŚCI

DZIAŁKĘ 6200 zagospodarowaną, domek sprzedam Tramwajowa 3 m 8. 17531-g

KUPNO-SPRZEDAŻ

MAJSTERKOWICZE proste projekty obrabiarek do samodzielnego wykonania. 33-60-35. 17391-g

GRZEJNIKI olejowe. Cena zbytu 220 tysięcy. 81-67-96. 17355-g

SPRZEDAM szwedzkie lodówko-zamrażarki, kuchnie elektryczne, 51-99-63 (godz. 16—20). 17381-g

NISKONAKŁADOWĄ, prostą technologię chałupniczą — sprzedam. 78-50-67. 6098-g

TVC, video — sprzedam. — 43-73-93, Łódź. 6319-g

MEDYCZNE

APO — pielęgniarstwo, dyżury, opieka, masaż, rehabilitacje. — 86-69-69. 3809-g

NAUKA-PRACA

JĘZYK polski — 36-79-11. 5967-g

USŁUGI

SZYJEMY eleganckie firanki na zamówienie Łódź 12-10-32. 17776-g

ZE SLAJDÓW — zdjęcia wykonuje MiG Rycel, Łódź, Wojska Polskiego 120, tel. 57-40-87. 2715-g

PRALKI — naprawa 34-23-03. 6354-g

ZGUBY

MAREK Szcześniak zgubił legitymację studencką 62759/S UŁ. 17808-g

CEZARY Meyer zgubił legitymację studencką 64230 PŁ. 5814-g

DARIUSZ Ewop zgubił leg. studencką WAM. 6737-g

PRZEMYSŁAW Jaźwiec zgubił legitymację studencką 5989 WAM. 6041-g

JAROSŁAW Bieńkowski zgubił legitymację studencką — 60209/S UŁ. 6684-g

TOMASZ Kowalski zgubił leg. studencką 64301/S UŁ. 6739-g

UNIEWAŻNIA się skradzione pieczątki „Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Usługowe „Promar" spółka z o.o. w Toruniu Oddział w Łodzi, Łódź, ul. Piotrkowska 118, tel. 32-06-88". „Z-ca Dyrektora d/s handlowych Maria Dolna". 6686-g

HOROSKOPY

ZODIAKALNE, GALLIJSKIE, CHIŃSKIE

Widokówki z datą urodzenia prześlij pod adresem

MONA, ul. Kossaka 17/25, 93-213 Łódź. 6719-g

ZAPISY i INFORMACJA

na dostawę

PUSTAKÓW ŚCIENNYCH (OCIEPLANYCH) KERAMZYTOWYCH

przyjmuje

Wielobranżowe Ogólnopolskie Przedsiębiorstwo „KOOPOL"

Oddział w Łodzi, ul. A. Struga 46, tel. 32-66-43. 443-k

od środy do środy

PROGRAM TV

ŚRODA 21.II.1990 R.

PROGRAM I

6.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiad.
9.25 „Właściciel zakładu samochodowego" — czech. film fab.
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: SOS — Sami o sobie
16.50 Dla dzieci: Cojak — telet.
17.15 Teleexpress
17.30 Gry wojenne
17.55 Telew. Inform. Wydawn.
18.15 Dawniej niż wczoraj
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Plus — minus
19.30 Wiadomości
20.05 „Dziecinne pytania" — polski film fab.
21.45 Sport
21.55 „Noc kolibra" — ang. film dok.
22.55 Echa dnia
23.15 J. angielski

PROGRAM II

16.25 Korepetycje dla maturzystów
16.55 J. francuski
17.25 Program dnia
17.30 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102"
19.00 „Pokój niżej" — odc. 7 (ostatni) ang ser.
19.30 Zwierzęta wokół nas
20.00 Czarno na białym
20.40 Przegląd muzyczny
21.00 Ze wszystkich stron
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wyznanie hochsztaplera Feliksa Krulla" — odc. 3 ser. RFN
22.45 Telewizja nocą
23.30 Komentarz dnia
23.35 Ekspres gospodarczy

CZWARTEK 22.II.1990 R.

PROGRAM I

6.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiad.
9.25 „Policjanci z Miami" — odc. ameryk. ser. pt. „Evan"
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kwant — oraz film z serii „Ordy"
17.15 Teleexpress
17.30 Kalejdoskop — mag.
17.55 Koncert z Żelazowej Woli — gra Ewa Pobłocka
18.25 Magazyn katolicki
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Interpelacje (1)
19.30 Wiadomości
20.05 „Policjanci z Miami" — odc. ameryk. ser. pt. „Evan"
20.55 Interpelacje (2)
21.35 Sport
22.05 Pegaz
22.50 Echa dnia
23.10 J. angielski

PROGRAM II

16.25 Korepetycje dla maturzystów
16.55 Język rosyjski
17.25 Program dnia
17.30 „Barwy Jukonu" — film dok.
18.00 Program lokalny
18.30 Program na życzenie
19.30 Zielone kino: „Las i jego znaczenie" — czech. film dok.
20.00 Wielki sport
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne Dwójki: Cervantes — „Teatr cudów".
To jeden z pierwszych, drobnych utworów scenicznych Miguela Cervantesa, które miały służyć publiczności ku zabawie i nauce. Do hiszpańskiej wioski przybywa wędrowny teatr, jego twórca tak wyjaśnia „Teatr Cudów": „Z powodu cudowności, które się w nim pokazują i objawiają...
22.30 Komentarz dnia

PIĄTEK 23.II.1990 R.

PROGRAM I

6.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiad.
9.25 Słynne historie zbójeckie" — odc 2 czech. ser.
15.50 Program dnia — Telegazeta
15.55 Intersygnał
16.25 Dla młodych widzów: Rambit
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Raport
17.50 Skarbiec — mag.
18.30 Rzeczpospolita samorządna
18.50 Weekend w Jedynce
19.00 Dobranoc
19.10 Program publ.
19.30 Wiadomości
20.05 Kino muzyczne Kydryńskiego: „Tańcząca Wenus" — ameryk. film fab.
Bohaterka filmu (Joan Crawford) występuje w burleskach bez większych sukcesów, dopóki bogaty playboy nie zwróci uwagi na jej urodę i talent. Ale na Broadwayu rządzi wielki Patch Gallagher (Clark Gable), od którego wiele zależy...
21.40 Sport
21.50 Snob literacki — Oficerty Pegaza
22.10 Spór o jutro — Otwarte studio (1)
23.10 Echa dnia
23.20 Spór o jutro — Otwarte studio (2)

PROGRAM II

16.55 Korepetycje dla maturzystów
17.25 Program dnia
17.30 Wszrockowa Lista Przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Za chwilę dalszy ciąg programu
19.30 Koncert Orkiestry Kameralnej PRiTV w Poznaniu
20.35 Program publ.
20.55 Scena i poza sceną
21.30 Panorama dnia
21.45 Więzy pokrewieństwa" — franc. film fab.
Victor, stary ekscentryczny wieśniak postanawia odnaleźć wnuka, aby z nim spędzić ostatnie lata życia. Poszukiwany potomek okazuje się... Murzynem. Mimo to dziadek decyduje się na wspólne zamieszkanie.
23.20 Komentarz dnia
23.25 Ekspres gospodarczy

SOBOTA 24.II.1990 R.

PROGRAM I

6.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie
8.40 Ziarno — progr. Red. Katolickiej dla dzieci
9.00 DROPS — mag. dla dzieci i młodzieży oraz film „Heidi" (2)
10.30 Wiadomości
10.40 „Azjatycka mozaika" — odc. 4 franc. filmu dok.
11.00 Zdrowie
11.40 Laboratorium
12.10 Koncert życzeń
12.45 „U wód" — rep.
13.15 Telew. Teatr Prozy: Sinclair Levis — „Babbit"
14.55 Prezydenci: Herbert Hoover
15.25 Filmy o miłości: „Seksolatki"
16.45 Flesz
17.15 Teleexpress
17.30 Studio sport
18.30 Butik
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 Wiadomości
20.05 „Pociąg do Hollywood" — polski film fab.
Młoda dziewczyna (Katarzyna Figura) marzy o karierze... Marilyn Monroe, jednakże uważa, iż karierę może zrobić tylko w Hollywood. Codzienność okazuje się bardziej szara niż mrzonki młodej bufetowej z pociągu. Film ukazuje przestrzeń, jaka rozciąga się między marzeniami a rzeczywistością, a także i to, jak te dziecinne marzenia przenoszą się w dorosłe życie.
21.40 Sport
22.10 Tydzień w polityce
22.40 Impresje karnawałowe
23.05 Telegazeta
23.15 Kino sensacji: „Ukryte namiętności" — ameryk. film fab.
Młode, kochające się małżeństwo zatrzymuje się w starym zajeździe. Gdy ona przebywa w eleganckim pokoju, nagle ukazuje się jej duch młodej kobiety, którą kiedyś powieszono za samordowanie kochanka. Zjawa wciąga bohaterkę w tragiczne wydarzenia z przeszłości, namawiając ją do...

PROGRAM II

12.30 Czas akademicki
13.00 W świecie ciszy
13.25 Studio im. Andrzeja Munka przedstawia
14.25 „5 — 10 — 15" — program dla dzieci i młodzieży
15.55 „Quiwija — wioska na Cabo Delgado" — film dok.
16.15 Studio sport
16.55 Program dnia
17.00 Godzina z Joanną Szczepkowską
18.00 Program lokalny
18.30 Legendy filmu: Ava Gardner
19.30 Alfa i Omega
20.00 Przed Konkursem Chopinowskim
21.00 Muzyka i polityka
21.30 Panorama dnia
21.45 „Znowu w Brideshead" — odc. 8 ang. ser.
22.45 Komentarz dnia

NIEDZIELA 25.II.1990 R.

PROGRAM I

7.00 Witamy o siódmej
7.30 Notowania
7.55 Po gospodarsku
8.10 Tydzień
8.55 Program dnia
9.00 Teleranek oraz film „Emil z wioski Lönneberga" (2)
10.30 Wiadomości
10.35 „Tajemnice rosyjskiej przyrody" — odc. 1 ser.
11.05 Kraj za miastem
11.30 Koncert życzeń
12.15 Morze
12.55 Teatr dla dzieci: „Awantury i wybryki małej małpki Fiki-Miki" (2)
13.25 Perski kot
13.55 Świat umykający (3)
14.25 Pieprz i wanilia — Z wiatrem i pod wiatr: „Zielona Australia"
15.15 Antena
16.25 „Panna dziedziczka" — odc. brazyl. ser.
17.15 Teleexpress
17.30 Agromarket
18.00 Sportowa niedziela
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Północ — Południe" — odc. 2 ameryk. ser.
21.40 7 dni — świat
22.10 Sport
22.40 Telegazeta
22.45 Filmy Józefa Rizchowicza

PROGRAM II

9.05 Przegląd tygodnia
9.40 „Północ — Południe" — odc. 2 ameryk. ser.
11.15 Krótkofalowcy
11.45 Jutro poniedziałek
12.15 Powitanie
12.20 PKF
12.30 Kino familijne: „Bajara" — odc. 9 ang. ser. pt. „Zapomniana baśń"
12.55 Publicystyka kulturalna
13.20 100 pytań do...
14.00 Maciej Niesiołowski — Z batutą i z humorem
14.15 „Polacy" — film dok.
15.00 Podróże w czasie i przestrzeni: „Czasy katedr" — odc. 1 franc. ser. dok.
15.50 Program muzyczny
17.00 Studio sport
17.30 Bliżej świata
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Galeria 37 milionów
20.00 Studio sport
21.00 Café „Żart" — spółka z o.o.
21.30 Panorama dnia
21.45 Café „Żart" — spółka z o.o.
22.30 „Kane i Abel" — odc. 1 ameryk. ser.
Akcja tego siedmioodcinkowego serialu (zrealizowanego w ciągu 52 dni!), opartego na bestsellerowej powieści Jeffreya Archera a przetłumaczonej na dwadzieścia jeden języków, rozgrywa się w ciągu 65 lat na dwóch kontynentach. Jej czas wyznaczają dziesięciolecia, a poczynaniom głównych bohaterów bezustannie towarzyszą siła, pasja i zemsta...
23.30 Komentarz dnia
23.35 Akademia wiersza

PONIEDZIAŁEK 26.II.1990 R.

PROGRAM I

16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 LUZ — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
17.55 Wędrówki dalekie i bliskie: „Platon i Atlantyda" — belg. film dok.
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 W Sejmie i w Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr TV na Świecie: W. Szekspir — „Koriolan" (spektakl TV BBC)
22.35 Sport
22.45 Kontrapunkt
23.15 Wiad. wiecz.
23.25 J. francuski

PROGRAM II

16.55 J. angielski
17.25 Program dnia
17.30 Antena Dwójki na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna
18.00 Program lokalny
18.30 Zmagania o Polskę: „W tym życiu — Kościół polski" — odc. 8 ang. ser. dok.
19.30 Muzyczne wizyty: Wojciech Matuszewski
20.05 Auto-Moto Fan Klub
20.40 Film dok.
21.30 Panorama Dnia
21.45 „Heimat" — odc. ser. RFN pt. „Żołnierska miłość"
22.45 Komentarz dnia

WTOREK 27.II.1990 R

PROGRAM I

6.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości
9.25 „Kir Royal — z życia reportera kroniki towarzyskiej" — odc. 5 ser. RFN
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla dzieci: — Tik — Tak
16.50 Kino Tik-Taka: „Opowieści Byczka" — odc. ser.
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia — mag.
17.55 Klinika zdrowego człowieka
18.15 Business
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Od „A" do „Z"
19.30 Wiadomości
20.15 „Kir Royal — z życia reportera kroniki towarzyskiej" — odc. 5 ser. RFN pt. „Jej Królewska Wysokość"
21.15 Sport
21.25 Sprawa dla reportera
22.05 Goście Festiwalu Karlsham
22.35 Wiecz. wiad.
22.50 Kinomania
23.15 J. rosyjski

PROGRAM II

16.55 J. angielski
17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna
18.50 Program publ.
19.30 Studio sport
20.00 Non Stop Kolor — mag.
21.00 Program publ.
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio im. K. Irzykowskiego: „Kocham kino" — reż. P. Łazarkiewicz
23.20 Komentarz dnia

lewym okiem

Słownik prawdy

Wydawnictwo „Epoka" opublikowało niedawno książeczkę Kazimierza Bartoszewicza pt. „Słownik prawdy i zdrowego rozsądku". Pierwsze jej wydanie ukazało się w roku 1905, teraz przypomniano nam ów słownik, bardzo trącący myszką o dowcipie przeważnie zwietrzałym i nader jednostajnym, ale przecież trafiają się i tu drobiazgi dziwnie aktualne. Lubię sięgnąć czasem do literackich staroci, a znajdowane tam aktualia uważam za miłą zabawę. Oto próbki „zdrowego rozsądku" u Kazimierza Bartoszewicza; parę wybranych haseł:

„Desperatów — są dwa rodzaje: jedni czytają poezje dekadenckie, drudzy jadają w restauracjach. I jednych i drugich dni są policzone."

„Honores mutant mores — zaszczyty zmieniają obyczaje. Zdanie to wciąż jest przytaczane, ale nie wiadomo dlaczego o drugiej jego części: sed raro in meliores (lecz rzadko na lepsze) trwa grobowe milczenie."

„Kwalifikacja — rzecz wymagana od niższych urzędników. Na wyższe stanowiska (prezesów, dyrektorów itd) wymaga się braku kwalifikacji."

„Mężczyzna — gatunek ludzi na wymarciu. Nawet w operetce śpiewają: „Nie ma mężczyzn już."

Jak widzimy piosenkę **„Gdzie te chłopy"** można było śpiewać już z górą osiemdziesiąt lat temu i pewnie cieszyłaby się równym poklaskiem. Tak ogromnie dużo na świecie się zmieniło, a mężczyzn nie było i nie ma. Co się z nimi dzieje?

Są też w „Słowniku prawdy i zdrowego rozsądku" hasła, które dzisiaj nie mają już żadnego pokrycia w rzeczywistości, a nawet stanowią jej odwrotność. Wystarczy zacytować jedno:

„Abonent — osobistość niezmiernie szanowana, zwłaszcza przy końcu każdego roku kalendarzowego. Dla uzyskania jego względów wydawcy są gotowi do wszelkich poświęceń."

Dziś, jak wiadomo, abonent jest nieszczęściem dla każdego wydawnictwa prasowego, a jeszcze bardziej dla poczty, wszyscy razem nie wiedzą jak się do tego zabrać, abonenta uważają za swego wroga nr. 1. Cóż, czasy się zmieniły.

Na zakończenie miałbym ochotę dodać małą próbkę haseł, które dzisiaj powinny się w nim znaleźć.

„Konferencja — zbiera się paręset osób, siedzą wiele godzin, kilkanaście z nich zdąży zabrać głos, reszta siedzi i walczy z sennością."

„Komisja — grupa osób powołana dla opracowania problemu. Zbiera się raz, dla podziału godności prezesa, wiceprezesa, sekretarza. Po czym już się nigdy nie zbiera."

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Produkt

Pan N. ma pięćdziesiąt lat z ogonkiem. Niegdyś posiadał gęstą czuprynę, która teraz mocno już się przerzedziła. Twarz jednak ciągle zachowuje jakąś młodzieńczą werwę. Jest w niej co prawda coś chłodnego i pospolitego, ale dzięki swemu subtelnemu sposobowi bycia wyuczonemu w ciągu wielu lat, w tej chwili są to cechy zewnętrzne raczej trudne do zauważenia. Większość tych, którzy spotykają się z panem N. twierdzi, że to niezmiernie miły i sympatyczny człowiek. *„Taki delikatny i kulturalny"* — mówią o nim kobiety. I rzeczywiście potrafi się znaleźć w każdej sytuacji, w towarzystwie czuje się jak ryba w wodzie, zawsze ma w zanadrzu jakieś śmieszne anegdotki. Porozmawiać z nim można właściwie na każdy temat — oj, jak on ładnie mówić umie — wszelako trzeba uważać, by w jakiś problem nie zanurzać się zbyt głęboko.

Pan N. rzadko miewa złe humory, jego maksymą życiową, którą powtarza wyjątkowo często jest *„brać z życia wszystko to, co najlepsze"*. Choć zdarzają się takie chwile, kiedy potrafi kogoś mocno i bezpardonowo zaatakować, zawsze jednak robi to za plecami i zawsze wtedy, kiedy tamten jest już skończony, bronić się więc nie może. A pan N. wyczuwa takie momenty intuicyjnie. Najlepiej więc wie, z kim i kiedy zawierać sojusze. W tej dziedzinie jest prawdziwym mistrzem. *„Jak on to robi?"* — pyta ten i ów. Ale pan N. nie jest skory do zdradzenia tej tajemnicy, jest to zresztą jedyna jego wielka tajemnica i jedyny problem, który zaprząta od rana do wieczora jego umysł. A gdy ktoś nieopatrznie zapytał go o to wprost (zdarzyło się to tylko dwa albo trzy razy w jego życiu) odpowiadał fragmentem wiersza swojego ulubionego poety:

Gdy wieje wiatr historii,
Ludziom jak pięknym ptakom
Rosną skrzydła, natomiast
Trzęsą się portki pętakom.

W 1956 roku zaangażował się mocno w odnowę i zapisał się nawet do partii; w roku 1968 gromy rzucał na syjonistów; w 1970 z całego serca poparł towarzysza Edwarda; w 1976 niezbyt mocno, ale jednak skrytykował radomskich warchołów; w 1980 stał się odnowicielem; po grudniu lekko przycichł. To był jedyny moment, kiedy się trochę pogubił. Stanął wtedy z boku (żałując, że nie wykonał pewnych ruchów w roku 1981) i tak szczęśliwie doczekał do roku 1989. Rzucił wtedy legitymację PZPR i w glorii i chwale stał się głębokim orędownikiem nowej sprawy.

Ale nie wie zapewne, jak pięknie go opisał pewien poeta, na nazwisko którego pan N. wstrząsnąłby się pewnie w tej chwili z odrazą, bo nie kto inny to był, jak sam piewca rewolucji — Włodzimierz Majakowski:

„(...) jego talent,
sztuka rzadka
to —
subtelny sposób bycia.
Liże
czule i uczenie
w ręce,
w biodra,
w pas i —
niżej,
tak jak suka
liże szczenię,
tak jak kociak
kotkę liże.
Za względami władz
w pogoni
wciąż
językiem wdzięcznie myrda,
tak spienionym,
że się golić
może
bez użycia mydła.
wszystko chwali,
wziąwszy rozpęd,
czego tylko
myślą dotknie:
wasz charakter,
waszą ospę,
wasze męstwo
i nagniotki.
Ma już order,
wyróżnienie,
ton nadaje
i ustawy.
W pewnym miejscu
omal że nie
znalazł się —
„u steru nawy".
A niech
znajdzie się przy sterze,
wszystkich
zmierzy
własną miarką,
miamląc:
— „Respekt mieć należy,
szanowanie
przed hierarchią". —
My patrzymy,
pełni strachu,
jak urasta
wśród tej braci
hyper-super-nad-hierarchia
urągając
demokracji.
Miotły
trzeba by tu
szorstkiej,
aby wymieść
śmiecie z dworu:
wszech
lizusów protektorskich,
wszech
lizuńskich protektorów."

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

Tajemniczy telefon

Zdzicho Grzesiak ma pecha i o tym wie. 30 czerwca 1989 roku w jego pechowym życiu zapisało się czarną kartą. Wieczorem poprzedniego dnia pod domem Zdzicha Grzesiaka stał ukochany maluch LZF 5592. Rano już go nie było. Zdzicho Grzesiak zameldował o kradzieży milicji, dał ogłoszenia do gazet i telewizji, obiecał nagrodę i nic. Mijały dni i noce a pod domem Zdzicha Grzesiaka nie było malucha LZF 5592. Poszedł więc do PZU i wymeldował swój umiłowany pojazd, to samo zrobił w Wydziale Komunikacji UML. Milicja umorzyła dochodzenie. Mały fiat LZF 5592 zniknął w wielkiej Łodzi niczym kamień w wodzie.

W przyrodzie — jak uczyli nas w szkole — nic nie ginie. I samochód Zdzicha Grzesiaka nie zginął. Zmienił właściciela. Okazało się, że stoi pod blokiem na... Retkini. Milicja nie miałaby większych trudności z jego odnalezieniem. I stałby sobie tam dalej, gdyby nie... tajemniczy telefon.

— *Czy pan Zdzicho Grzesiak?* — zapytał miły damski głos.

— *Tak, ja* — odpowiedział Zdzicho G. lekko się niepokojąc, bo obok siedziała narzeczona.

— *Czy to panu zginął samochód LZF 5592?*

— *Tak!* — wykrzyknął radośnie Zdzicho G.

— *Ten samochód stoi pod plandeką na Retkini. Niech pan czeka przy telefonie. Podam adres jeszcze dziś albo jutro rano.*

Zdzicho Grzesiak czekał. Nie pozwolił nikomu nigdzie dzwonić. Naraził się wszystkim domownikom oraz narzeczonej. Tego dnia telefon jednak nie zadzwonił. Dopiero następnego i ten sam miły głos podał dokładny adres. Stało się to 7 lutego 1990 roku i ten dzień Zdzicho Grzesiak zapisał złotymi literami w swoim podręcznym kalendarzu.

Wieczorem wziął świadków i pojechał na milicję. Tam się wcale nie ucieszyli. Dochodzenie umorzyli, po co im nowy kłopot? Zdzicho Grzesiak wraz ze świadkami pojechał na miejsce, gdzie pod plandeką stał jego samochód. Był używany. Ale nie miał już zapasowego koła i akumulatora. Być może jego „użytkownik" zabrał z sobą do domu, aby nikt mu nie porwał ukradzionego samochodu. Zdzicho Grzesiak czekał na MO. Podjechał radiowóz, ale okazało się, że to nie o ten samochód chodzi. Milicjanci odjechali wyrażając się o Zdzichu Grzesiaku w sposób wielce niepochlebny. Następnie przyszedł milicjant i poradził, aby Zdzicho Grzesiak zaczaił się na złodzieja, następnie skopał go, pobił, a wtedy nasz dzielny stróż prawa ujmie złodzieja i przy okazji... ukarze Zdzicha G. za napad.

Zdzicho Grzesiak nie czekał już dłużej na pomoc milicji i zabrał samochód wraz z plandeką.

Następnego dnia udał się do PZU, aby zawiadomić o cudownym odzyskaniu zguby. Pan za biurkiem popatrzył na Zdzicha Grzesiaka z obrzydzeniem i poradził: — *Samochód należało rozebrać i sprzedać na części. Dałoby to więcej pieniędzy niż samochód jest wart. I nie byłoby kłopotu.*

Zdzicho Grzesiak był jednak uparty. Chciał mieć samochód. No to go ma. A urzędnicy mają kłopoty ze Zdzichem Grzesiakiem i patrzą nań z obrzydzeniem.

MO też wezwała Zdzicha Grzesiaka. Wybrał się tam na trzęsących się nogach. Okazało się jednak, że MO ma drzwi zamykane elektrycznie, a akurat prąd wyłączyli. Zdzicho Grzesiak stał godzinę pod drzwiami. Gdy wreszcie prąd włączyli i Zdzicho G. wszedł do środka, okazało się, że ma złożyć dwa podpisy w sprawie samochodu i może iść do domu.

I to wszystko!

ZENON POROWATY

Sekrety prominentów (12)

ALEKSANDER MINKOWSKI

W trójnogu nad ogniskiem dojrzewał bigos. Najpierw skosztował go Major, potem leśniczy. Rem wolał bigos własny, ale i temu niczego nie można było zarzucić: brunatny, gęsty, lśniący, przesycony aromatem leśnego dymu, wędzenia ziół.

— Po kielichu? — zaproponował Major. — Teraz już możemy. Najważniejsze za mną.

— Czemu nie — zgodził się Rem.

Na znak komendanta młodziutki ochroniarz z wąsami nalał im do kubków wódki z dzbana. Była to degustacja zgodna z regulaminami. Pili małymi łyczkami, smakując temperaturę i moc, zakąszali bigosem ze wspólnej menażki.

— Od wczoraj miałem jakieś paskudne przeczucia — wyznał Remowi Major. — Na szczęście przeszły mi.

— Kto to może wiedzieć.

— Ja chyba wiem, czy mi przeszły. Nie?

— Kto to może wiedzieć — powtórzył leśniczy, rzucając Żulowi kawał boczku wyłowionego z menażki. — Czasami przed agonią umierający jakby zdrowieje.

— Rem, co ty pleciesz?

— Pojęcia nie mam — wyznał z zawstydzeniem Leonard. — Bywa, że słowa same ze mnie wyłażą. Trzeba się mieć na baczności.

— Gadasz, Remie...

Mimo to komendant wezwał oficera i rozkazał szybko sprawdzić teren, wzmocnić posterunki, skontrolować pracę czujników.

— Zaraz tu będzie kierownictwo — powiedział. — Czuwajcie.

— Czuwamy, panie komendancie — zapewnił oficer z motylkiem w klapie kurtki sportowej.

Gdy nadciągnęło kierownictwo, gdy się rozsiadło gwarnie przy stole pod jabłonią i nic się nie wydarzyło niezwykłego, Major odetchnął po raz drugi. Gdakanie Rema było jednak denerwujące. Naczelny skinął na komendanta, wyciągnął w jego stronę kieliszek:

— Napijesz się ze mną?

— Tak jest — strzelił obcasami Major, przyjmując z rąk ochroniarza kubek wódki. — Za wspaniały strzał!

Naczelny na ułamek chwili wpił się wzrokiem w oczy Majora. Było to doznanie prawie fizyczne — jakby mu gałki oczne wpychał do oczodołów.

— A nie kpisz czasem? — usłyszał.

— Gdzież śmiałbym...

Naczelny przyciągnął go do siebie, posadził obok, ogarnął ramieniem.

— Pamiętasz, żebym spudłował? — suchy szept szefa spływał mu prosto w ucho. — Kiedykolwiek? Jeżeli strzelałem, to na pewniaka, ty to musisz wiedzieć, musisz pamiętać, zawsze byłeś blisko. Rozklejam się, komendancie, to przez nich, tych tutaj, bez przerwy trzeba uważać, patrzeć na ręce. Zgraja... Przegnam, rozpędzę na cztery wiatry. Hieny cmentarne. Tłuszczem poobrastały od wygodnego życia. Tylko intrygi im w głowie.

Wypili. Jeszcze raz wypili. I jeszcze raz. Szef sam pił do dna i pilnował, żeby Major wypijał swoje. Po raz pierwszy, odkąd Major go znał, wyglądało na to, że Naczelny chce się upić.

— Patrz na nich! — syczał mu do ucha, czołem naciskając na skroń. — Nigdy nie bili się. Błąd zrobiłem, za daleko poszedłem z nimi, ciągną mnie w topiel. Ja się otrząsnę! Zobaczysz, Major! Zrzucę ich z siebie, jak brudne ścierki, i pójdę dalej. Ciebie nie zostawię, bądź pewien, Gorbana i ciebie nie opuszczę nigdy.

— Dziękuję — wyszeptał Major.

Rozglądał się czujnie, czy nie podsłuchują nie słyszą. Nie słyszeli. Zgromadzili się na przeciwnym krańcu stołu, tocząc spór o dwa ustrzelone dziki, a właściwie o coś całkiem innego, wypróbowaną techniką aluzji i niedopowiedzeń, min grymasów, spojrzeń. Może szef zaraził Majora, ale po raz pierwszy ten spojrzał na kierownictwo inaczej — z pogardliwą wyższością. Kim byli naprawdę? Fantomami, które przywołał jego frontowy dowódca. Żołnierskim kaprysem. Strzeli w powietrze i nie będzie ich, uciekną pod stół.

— A teraz gadaj — usłyszał nagle i poczuł jak palce szefa wpijają mu się w łokieć. — Ten drugi strzał. Ty?

— Nie — twardo odpowiedział Major.

— Łżesz. Nie waż się okłamywać dowódcy. Masz mi natychmiast prawdę powiedzieć.

— Nie ja! — warknął Major. — I nikt inny! Sam szef! Oficerskie słowo honoru.

— Teraz ci wierzę — powiedział Naczelny głosem z nagła rozpogodzonym. — Możesz odejść, komendancie.

Major wrócił do obowiązków. Opróżnione półmiski cicho znikały ze stołu, a napływały nowe z płatami pieczonych mięs i ryb wędzonych. Tamara i Laura usługiwały Naczelnemu, bliźniaczki Ola i Ela reszcie biesiadników. Na przyzbie rozpoczął się koncert gitar klasycznych, ulubionych instrumentów szefa. Trójkę artystów sprowadzono specjalnie na tę okazję ze stołecznego Teatru Muzyki.

— Zaraz coś się stanie — szepnął Rem do przechodzącego Majora.

Ten go minął, zawrócił:

— Co powiedziałeś?

— Stanie się, czuję.

— Ale co? Gdzie? Kiedy?

— Chyba zaraz...

— Zamach? Gadaj! — Major potrząsnął Remem, przyciągnął do siebie za klapy, drugi raz potrząsnął: — Mówże!

— Nie zamach... — wymamrotał leśniczy, pochylając głowę na pierś Majora. — Ale śmierć czuję.

Żul zawył. Był sprzężony ze swoim panem.

— Remie, błagam, czyją śmierć? — zaskomlał Major. — Spręż się i uprzedź, muszę wiedzieć!...

— Żadnego z nich — Rem wskazał na stół biesiadny. — Ani z nas. Więcej nie wiem, puść mnie.

Major zwolnił uścisk, cofnął ramiona. Rem zachwiał się, byłby upadł, gdyby nie pień gruszy, pod którą rozmawiali. Przywarł plecami do niego i patrzył na Majora, który bezradnie rozglądał się wokół, wypatrując śmierci. Tylko czyjej? W jaki sposób? Jeśli go Rem wpuszcza w maliny, będzie miał jutro za swoje. Bęc po premii, nagana z wpisaniem do akt. Takich wygłupów komendant Ośrodka „S" nie będzie u siebie tolerował.

Stanęła przy stole biesiadnym, jakby wyrosła spod ziemi. Ubrana na czarno, twarz jak śnieg, gorejące zielone ślepia. W lewej granat, w prawej bańka.

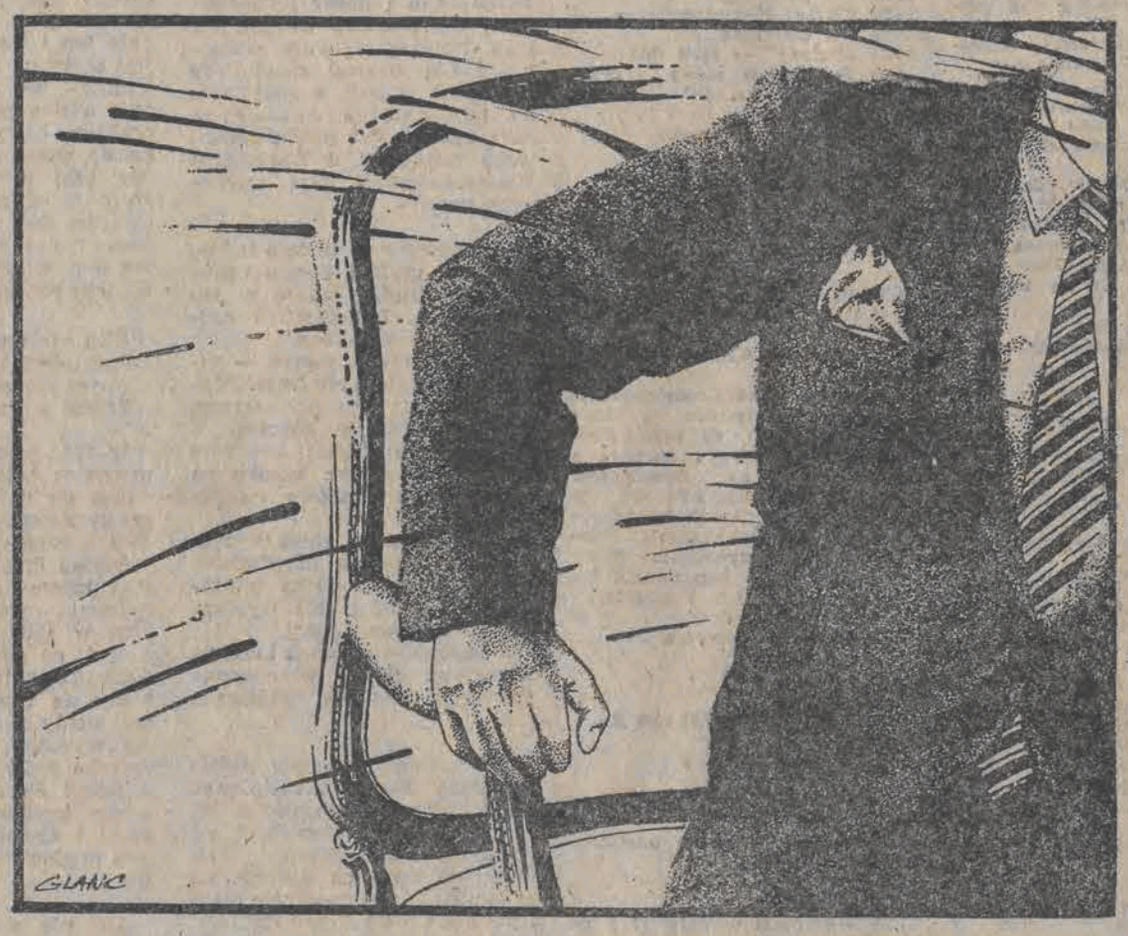

Rys. Janusz Szymanski-Glanc

— Nie ruszajcie się. Odbezpieczony. Nic wam nie będzie, jeśli pan Naczelny mnie wysłucha.

Major natychmiast rozpoznał: kociooka. Nie miała prawa tu się znaleźć. Nikt nie miałby prawa tu się znaleźć, dopóki działają czujniki, obserwatoria, kamery i warty. A wszystko działa. A kociooka jest tutaj. I może tym granatem rozerwać szefa na strzępy. I nic, ale to nic nie da się zrobić.

Kierownictwo znieruchomiało za stołem. Patrzyli na Naczelnego, a ten był spokojny, twarz miał kamienną, bez wyrazu.

— Proszę mówić — odezwał się po pauzie tonem bezosobowym, jak do słuchawki telefonicznej.

— Nazywam się Anna Genowefa. Przemawiam w imieniu narodu.

Świat dostaje kota — rozmyśla Rem, patrząc tępo na dziewczynę z granatem i bańką. — Świat pławi się we własnej niemocy, zjada własne ciało. Niemożność. Tu w lasach, kiedy nie było jeszcze Ośrodka, żyły różne zwierzęta i ptaki, których już nie ma. Teraz sosny usychają. Jeszcze trochę i nie będzie sosen. Od czego ślepną sikorki, stadami lecą w płomienie ogniska? Co z borsukami? Domowe koty rozrywają pazurami niemowlęta, gęsi nagle dziczeją, zające na miedzach atakują ludzi. Krowa w Dukli urodziła jagnię. Wilków coraz więcej, coraz śmielej podchodzą do zagród, wyją niecierpliwie. Staruchę Burkową zagryzły w biały dzień. A świecące deszcze, po których ziemia cuchnie kamforą? A błyskawice i gromy z bezchmurnego nieba? A te obrazy dziwne, te ryje wykrzywione, które się pokazują z nagła na ekranach telewizorów? A spazm spod podłogi, jęk dziecka w litym murze, pogłos dzwonów z dna jeziora, krew na obrusach?

Świat choruje — stwierdza Rem, przyglądając się granatowi w dziewczęcej dłoni. Choroba zbliża się do ludzkich mózgów, poraża myślami szalonymi, mami godzeniem sprzeczności. Z trucizn produkuje się lekarstwa. Radioaktywność zabija i ocala życie. Wielka wojna rozładowałaby furię, z którą nie ma co robić.

— Nazywam się Anna Genowefa. Dostał pan naszą petycję, dwa tysiące podpisów.

— Dostałem — potwierdził Naczelny.

— Przysięgnie pan spełnić żądania ludu?

Lud ma nieskończone mnóstwo swoich przedstawicieli — rozmyśla Rem oparty plecami o gruszę — rozdarty lud i sprzeczne żądania, jak przeciwstawne modlitwy, stracające się nawzajem po drodze do nieba. W imieniu ludu przemawia kierownictwo i antykierownictwo, ksiądz i komunista, sprzedający i kupiec, łajdak i święty. Prościej by było powoływać się na Boga, bo lud jest na miejscu. I co z tego? Nic. Ludzie odchodzą od prostoty i wołają o prostotę. Czy Anna Genowefa zamieniłaby swoją eleganką czerń na lniany worek? Granat na kamień? Bańkę z benzyną na kubeł wody?

Albowiem Rem już wie, że w bańce jest benzyna. Wie co będzie dalej. Może by i mógł czemuś zapobiec, ale nie kiwnie palcem, jako że nie po to mu dany został dar jasnowidzenia, żeby innym psuć szyki.

Misterium przyczyny i skutków to najsekretniejszy sekret w naturze. Sam diabeł nie wie, co z czego potrafi wyniknąć. Ani anioł. Tylko gdzieś tam w górze, ponad wszystkim szybuje czysta sprawiedliwość. Powiedział cadyk z Piaseczna: „JAK KTO CHCE KOGO ZROBIC NA ZLE, TO GO WYCHODZI NA SAM" — otóż i tak, i nie tak, raz wychodzi, raz nie wychodzi.

— Przysięgnie pan spełnić żądania ludu? — powtarza swoje pytanie Anna Genowefa.

— Dwa tysiące podpisów to trochę przymało — odpowiada Naczelny. — My pod naszą petycją zebralibyśmy dwieście tysięcy, a nawet dwa miliony.

— Bo macie aparat nacisku.

— Wyobraża pani sobie świat bez elektryczności? Bez lekarstw? Bez środków transportu? Wieś bez nawozów i maszyn?

— A czymże jest zawracanie rzeki dla własnego widzimisię, jak nie arogancją władzy? — replikuje Anna Genowefa.

— O czym my tu mówimy? — pyta Naczelny.

— Przysięgnie pan spełnić żądania ludu?

— Lud to my! — odpowiada z mocą Naczelny. — Nie pozwolimy się szantażować! Precz stąd!

Wkrótce się to stanie, uświadamia sobie Rem widząc, jak zaczynają drżeć wargi Anny Genowefy, jak żar zaczyna buchać z jej kocich rozwścieczonych oczu.

Major stoi z boku. Już postanowił. Byle zdążyć. Byle nie spóźnić się i nim wybuchnie, przykryć własnym ciałem. Jest chłodny, zdecydowany. Rozważa, z jaką siłą rzuci granat Anna Genowefa, gdzie ten spadnie, jakie ruchy trzeba wykonać, żeby wziąć go pod siebie i przygnieść do ziemi.

Tymczasem Anna Genowefa uspokaja się z wolna. Rysy jej twarzy zaczynają łagodnieć.

C.D.N.

Sergiusz Piasecki urodził się w 1899 lub 1901 r., zmarł w 1964 roku. Jest autorem głośnej powieści „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy", którą napisał w 1935 r. podczas odsiadywania wyroku za działalność przemytniczą i rozbójniczą na pograniczu polsko-radzieckim. W okresie II wojny światowej trafił do Anglii, gdzie napisał kolejne książki, m.in. „Żywot człowieka rozbrojonego" i „W imieniu organizacji". Rozpoczynamy druk fragmentów jego „Zapisków oficera Armii Czerwonej". Wydawnictwo „Książka Dla Wszystkich", Gryf Publications LTD, Londyn 1957.

Zapiski oficera Armii Czerwonej

SERGIUSZ PIASECKI

Noc była czarna jak sumienie faszysty, jak zamiary polskiego pana, jak polityka angielskiego ministra. Lecz nie ma siły na świecie, która by powstrzymała żołnierzy niezwyciężonej Armii Czerwonej, idących dumnie i radośnie wyzwalać z burżuazyjnego jarzma swych braci: chłopów i robotników całego świata.

Zaskoczyliśmy nieprzyjaciela całkowicie Ja szedłem pierwszy z pistoletem w pogotowiu. Za mną bojcy. Na granicy nie spotkaliśmy nikogo. Przyszliśmy ku polskiej strażnicy. Otoczyliśmy ją wzorowo i idziemy do środka. Drogę zastąpił nam jakiś zezwierzęcony żołnierz faszystowski. Przystawiłem mu pistolet do piersi, a bojcy bagnety.

— Ręce do góry, pachołku!

Rozbroiliśmy go i szorujemy do środka. Prawie wszyscy tam spali. Nikt nie stawiał oporu. Zabraliśmy broń ze stojaków i wyłączyli telefon. Spytałem jednego z żołnierzy:

— Gdzie wasz dowódca?

— Ten — wskazał palcem.

Patrzę ja: zupełnie chudy pan. Może nawet z robotników wygrzebał się swych braci sprzedając. Tacy są najgorsi. Pytam ja go:

— Ty tu dowódca?

— Ja — powiada. — O co chodzi?

Złość mnie porwała, ale nie miałem czasu porządnie z nim rozprawić się. Tylko powiedziałem:

— Skończyło się twoje panowanie i koniec waszej pańskiej Polsce! Napiliście się dużo ludzkiej krwi! Teraz trzeba będzie i swoją wyrzygać!

Należałoby się, według sprawiedliwości, i jego, i tych wszystkich otumanionych pachołków kapitalistycznych powystrzelać, chociaż kul szkoda na takie burżujskie ścierwo. Ale rozkaz mieliśmy jasny: „Jeńców odsyłać na tyły". Więc zostawiliśmy eskortę i poszli dalej. Nasze orły z NKWD tam z nimi rozprawią się. A nam szkoda czasu. Mamy do wykonania ważne bojowe zadanie.

Poszliśmy dalej wprost drogą. Kierunek na Mołodeczno. Cicho... Nigdzie ani światła, ani człowieka. Zdziwiło to mnie nawet. Tyle czytałem o przebiegłości polskich panów. A tymczasem myśmy ich przechytrzyli. Jak śnieg na głowę im spadliśmy.

Ech, żeby moja Dunia zobaczyła: jak dumnie i śmiało kroczyłem na czele całej Armii Czerwonej, jako obrońca proletariatu i jego wybawiciel! Ale pewnie spała i nie śniło się jej nawet, że ja, Miszka Zubow, stałem się tamtej nocy bohaterem Związku Radzieckiego. Nie wiedziała tego, że aby ona mogła spokojnie, radośnie i w dobrobycie żyć i pracować, ja szedłem w krwawą paszczę burżuazyjnego zwierza. Lecz jestem z tego tylko dumny. Rozumiem, że przyniosłem do Polski, dla moich uciemiężonych przez panów braci i sióstr, światło nieznanej im wolności i naszą wielką, jedyną na świecie, prawdziwą, sowiecką kulturę. Właśnie o to chodzi: o kulturę, psiakrew! Niech się przekonają, że bez panów i kapitalistów staną się wolnymi, szczęśliwymi ludźmi i budowniczymi wspólnej, socjalistycznej ojczyzny proletariatu. Niech odetchną wolnością! Niech zobaczą nasze osiągnięcia! Niech zrozumieją, że tylko Rosja, wielka MATKA ludów uciemiężonych, może wybawić ludzkość od głodu, niewoli i wyzysku! Tak.

Dopiero po siedmiu kilometrach od granicy spotkał nas zwierzęcy opór krwawych kapitalistów. Zapewne ktoś ze strażnicy polskiej zdołał uciec, wykorzystując ciemność, i powiadomił burżuazję, że idzie niezwyciężona armia proletariatu. Ktoś krzyknął do nas coś w sobaczym polskim języku. Nie zrozumiałem: co, tylko odpowiedziałem głośno i groźnie, aż echo poszło lasem:

— Poddaj się, faszysto, bo zniszczymy!

Przed nami zadudniło tylko. Więc my po krzakach, po rowach: jak wojskowa taktyka nakazuje — osłony szukać. Potem podciągnęliśmy maszynki i dawaj sypać po nich seriami. Tylko las jęczał. Ze dwie godziny tak biliśmy z kulomiotów. Nikt nie odezwał się. Ale zawsze trzeba ostrożnie. Wróg chytry: może zaczaił się i czeka.

Tymczasem rozwidniło się. Patrzymy: na drodze przed nami naładowany sianem wóz stoi, a przy nim zabity koń leży. Więcej nikogo... Wtedy ruszyliśmy ostrożnie naprzód, aby w zasadzkę nie trafić. Ale wszystko skończyło się szczęśliwie. Widocznie wróg zrozumiał, z jaką potęgą ma do czynienia i haniebnie uciekł.

Takim to sposobem ja, młodszy lejtnant niezwyciężonej Armii Czerwonej, wkroczyłem na czele mego plutonu do burżuazyjnej Polski. A stało się to nocą 17 września 1939 roku. Hura! hura! hura!

Zapiski te zaczynam w mieście Vilniusie. Piszę je na chwałę naszej potężnej Armii Czerwonej i — przede wszystkim — jej WIELKIEGO wodza, towarzysza Stalina. Jemu też, naturalnie, zadedykowałem je. Rozumiem dobrze, że pióro moje jest bezsilne, gdy chce opisać wielkość naszego wodza i moją miłość dla niego. Na to trzeba pióra Puszkina lub Majakowskiego. Ja zaś mogę tylko dokładnie zanotować to, co widzę i słyszę w tych wielkich, historycznych dniach, które wyzwoliły kilka uciśnionych narodów z kapitalistycznej niewoli.

Gdy myślę o naszym wielkim WODZU I NAUCZYCIELU, to czuję, że do oczu mi napływają łzy. Kim by ja był bez niego? Carskim niewolnikiem, gnębionym i eksploatowanym nieludzko. A teraz ja, którego ojciec był zwykłym robotnikiem, jestem oficerem. Mam zaszczyt należeć do komsomołu. Ukończyłem dziesięciolatkę. Umiem czytać i pisać prawie bez omyłek. Potrafię też rozmawiać telefonicznie. Znam politgramotę. Jem codziennie prawdziwy chleb. Chodzę w butach ze skóry. Jestem człowiekiem oświeconym i kulturalnym. Poza tym korzystam z największych wolności, jakie może mieć człowiek na ziemi. Wolno mi nawet nazywać GO — naszego wodza — towarzyszem. Pomyślcie sobie tylko uczciwie: ja mam prawo swobodnie i wszędzie nazywać GO towarzyszem! Towarzysz Stalin! TOWARZYSZ STALIN! ... Otóż to jest moją największą dumą i radością!... Czy może obywatel państwa kapitalistycznego nazwać swego prezydenta lub króla towarzyszem? Nigdy! Chyba tylko inny krwiożerczy prezydent albo zezwierzęcony król. A ja... Czuję, że łzy radości i dumy napływają mi do oczu... Muszę przerwać pisanie i zapalić, bo nie wytrzymam nadmiaru szczęścia i serce mi pęknie.

C.D.N.